ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 4/619 1999

• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

B. KERSKI: **WIDMO GLOBALIZACJI**
J. REYKOWSKI: **SENS POROZUMIEŃ OKRĄGŁEGO STOŁU**
M. WILK: **ZAPISKI SOŁOWIECKIE**
K. WOLICKI: **POMIĘDZY NATO I PAPIEŻEM**
A. KORASZEWSKI: **TERROR EKONOMII**

SPIS RZECZY

Basil Kerski: *Widmo globalizacji* 3
Janusz Reykowski: *Sens Porozumień Okrągłego Stołu* . . 13
Mariusz Wilk: *Zapiski sołowieckie* 29

WIERSZE

Janusz Szuber: *Morze sargassowe* 37
Teresa Tomsia: *...Urodziłam się... – ...Jeśli są jasne noce...* 38
Anna Kowalska: *Dziwadło* 39
Elżbieta Michalska: *Jacewicz – Czerwony goździk* 41

ARCHIWUM POLITYCZNE

Stefan Abner: *Trudne sąsiedztwo* 43
Richard Pipes: *Odpowiedź* 52
Jerzy Pomianowski: *Replika* 53

KRAJ

Andrzej Micewski: *Z geografii politycznej III Rzeczypospolitej* 59
SMECZ: *Z ukosa* 64
Ewa Berberyusz: *Kartki ze skażonej strefy* 79
Krzysztof Wolicki: *Pomiędzy NATO i Papieżem* 89

SPRAWY I TROSKI

Jerzy Giedroyc i A. Chrzanowski: *Nowa afera* 97

SĄSIEDZI

Bohdan Osadczuk: *Ukraina na rozdrożu między Wschodem i Zachodem* 101
– *Kronika białoruska* 106

NOTATKI REDAKTORA 108

KRONIKA KULTURALNA

Arkadiusz Pacholski: *Kim jest Mickiewicz* 113
Jan Kott: *Grotowski i jego wiek* 127
Andrzej Werner: *Jan Bloch w Petersburgu* 131
– *VIII Szkoła Letnia 1999* 133
– *Stypendia Fundacji Bankowej im. Leopolda Kronenberga* 136

KSIĄŻKI

Andrzej Koraszewski: *Terror ekonomii* 137
Feliks Netz: *Błazen – wielki mąż* 146
Konrad W. Studnicki-Gizbert: *Polska widziana z Nieświeża* 152

●

– *Wydarzenia miesiąca* 156

●

A. Rosenbusch: *List do Redakcji* 158
– *Odpowiedzi Redakcji* 159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień/Avril 1999

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dla uczczenia pamięci Przyjaciół: Karola Wagnera-Pieńkowskiego, Romana Palestra i Feliksa Konarskiego (Ref-Rena) – Weronika i Jacek Machniewiczowie, Paryż ..... **F. 300,00**

Dla uczczenia pamięci moich Rodziców Aleksandra i Marii Wasung i mego Brata Andrzeja Wasunga – Krystyna Wasung, Genewa – franków szwaj. 100,00 ..... **F. 400,00**

Dla uczczenia pamięci Brata, śp. Tadeusza Ungara – w 5-tą rocznicę Jego śmierci 28 maja 1994 – siostra Jadwiga, Irvington, NJ (USA) – dol. 500,00 ..... **F. 2.800,00**

Marta Komler i Maciej Szymańscy, Vancouver (Kanada) – zamiast kwiatów na trumnę naszego Przyjaciela, architekta Macieja Krasińskiego, zmarłego w Warszawie 8 lutego 1999 – dol. can. 50,00 ..... **F. 210,00**

Irena Szwede, Palo Alto, CA (USA) – zamiast kwiatów na świeży grób Męża, Jerzego Szwede – dol. 100,00 ..... **F. 560,00**

Henryk Zegadło, Söller, Mallorca (Hiszpania) – po raz 10-ty – DM 15,00 ..... **F. 50,00**

Zamiast kwiatów na trumnę Jerzego Szwede, długoletniego serdecznego przyjaciela mego i mojego zmarłego Męża – Olga Izdebska, San Mateo, CA (USA) – dol. 50,00 ..... **F. 280,00**

●

Jadwiga i Maciej Bernhardtowie, Warszawa – Zamiast kwiatów na grób Wacława Bernhardta – w 119-tą rocznicę Jego urodzin – na Fundusz Towarzystwa Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu – zł 350,00 ..... **F. 600,00**

DZIĘKUJEMY

DO PRENUMERATORÓW I CZYTELNIKÓW «KULTURY»

Gorąco prosimy osoby czy instytucje, które będą wpłacały pieniądze na nasze konta pocztowe:
18 228 56W Paris (konto francuskie) i 18 228 38B Paris (konto zagraniczne) o zastąpienie słowa „Paris" cyframi 020 co, jak nam powiedziano, znaczy PARIS. Ostatnio w Niemczech i w Danii nie przyjęto dla nas pieniędzy – zarówno bank jak i poczta – oświadczając, że musimy zmienić konto, gdyż 18 228 38B nie istnieje. Na nasze oburzenie jakim prawem zmieniono nasze konto bez porozumienia się z nami (w/w konto mamy od 50-ciu lat) wyjaśniono nam, że nic nie zmieniono, że numery są takie same jak były, ale już przed trzema laty zastąpiono „Paris" numerem 020 i nie rozumieją dlaczego dopiero teraz instytucje zagraniczne na to zwróciły uwagę.

W każdym razie prosimy żeby wysyłając do nas pieniądze na konto pocztowe podawać nasze numery:

18 228 56 W020 lub 18 228 38 B020

Francuskie banki przeszły już na „euro" co wywołało wszędzie nieporządki i błędy. Ponieważ my także musieliśmy przejść na komputery, z góry przepraszamy gdyby były jakieś błędy.

Redakcja KULTURY

Widmo globalizacji

KILKA UWAG NA MARGINESIE NIEMIECKIEJ DYSKUSJI O KAPITALIZMIE

1. Reklama koncernów motoryzacyjnych w *print* mediach z reguły nie służy dyskusjom gospodarczym. Dlatego moją uwagę przyciągnął umieszczony w hamburskim tygodniku *Die Zeit* anons koncernu BMW. Zamiast kolorowych zdjęć przedstawiających najnowszy model limuzyn, bawarski koncern przedstawił swoje poglądy na temat skutków globalizacji dla Niemiec: „Globalizacja nie jest pułapką. Dzięki naszej globalnej działalności mogliśmy w latach dziewięćdziesiątych w naszych fabrykach oraz firmach dostawczych zapewnić około 20.000 miejsc pracy. (...) W długodystansowej perspektywie tylko jako *global-player* (uczestnik na rynku światowym) BMW sprosta wymaganiom odpowiedzialności za niemiecką gospodarkę".

Reklama BMW jest ciekawym zwierciadłem obaw niemieckiego społeczeństwa przed negatywnymi skutkami globalizacji, szczególnie przed utratą miejsc pracy na skutek odpływu kapitału niemieckiego oraz zagrożenia modelu państwa opiekuńczego przez liberalizację światowej gospodarki. Pojęcie globalizacji stało się widmem dyskusji politycznych. Jak słusznie zauważył berliński publicysta Thomas Rathnow pojęcie to służy jako narzędzie, bezpodstawny argument, do różnych celów politycznych[1]. Ci którzy chcą obniżyć poziom

---

1. Thomas Rathnow, „Das Globalisierungsgespenst", *Der Tagesspiegel*, 17 grudnia 1997.

płac oraz likwidować struktury państwa opiekuńczego czynią to powołując się na konieczność wzmocnienia konkurencyjności gospodarki niemieckiej w epoce globalizacji. Znowuż ci, którzy nie są w stanie przeprowadzić koniecznych reform systemu socjalnego, odwracają uwagę od swojej nieudolności twierdząc, że „klasyczne instrumenty polityczne straciły swoją skuteczność w czasach globalizacji". Obok tych grup politycznych instrumentalizujących pojęcie globalizacji specyficzną rolę odgrywają w Niemczech intelektualiści. Wśród nich zaobserwować można znaczącą grupę, w argumentacji której można doszukać się monokauzalnego myślenia, iż globalny kapitalizm jest zagrożeniem dla demokracji oraz przyczyną największych naszych trosk: masowego bezrobocia, rozpadu tradycyjnych struktur społecznych w życiu rodzinnym i państwowym, rosnącej przepaści pomiędzy bogatymi i biednymi, masowych ruchów migracyjnych. Tezy te weszły do dyskusji politycznej w Niemczech pod zbiorowym pojęciem *Globalisierungsfalle* to znaczy „pułapka globalizacji". Jest to tytuł bestssellera redaktorów magazynu *Der Spiegel,* Hansa-Petera Martina i Haralda Schumanna, którzy w swojej książce, w stylu przypominającym skrzyżowanie reportażu z politycznym manifestem, ostrzegają przed nadchodzącą „dyktaturą ryków", przed niebezpieczeństwem nowego totalitaryzmu: „Dla obywateli starego kontynentu oznacza to, iż muszą postanowić, które z dwóch potężnych tradycji europejskiego dziedzictwa będą decydować o przyszłości Europy: tradycja demokratyczna, która ma swoje korzenie w Paryżu 1789 roku, czy ta totalitarna, która w 1933 roku zwyciężyła w Europie"[2].

Książka redaktorów tygodnika *Der Spiegel* jest warta uwagi, ponieważ trafiła w rodzący się w latach dziewięćdziesiątych w szerokich kręgach niemieckiego społeczeństwa krytycyzm wobec dominującej w poprzedniej dekadzie neoliberalnej myśli gospodarczej. Nawet można posunąć się dalej i uznać sukces książki Schumanna/Martina za renesans myśli antykapitalistycznej na Zachodzie. Bez złośliwości twierdzę, iż w „Pułapce globalizacji" można odkryć echa „Manifestu komunistycznego". W końcu Marksa i Engelsa – nawet bez

2. Hans-Peter Martin / Harald Schumann: „Die Globalisierungsfalle. Der Angriff auf Demokratie und Wohlstand", Reinbeck bei Hamburg: Rowohlt Verlag 1996.

sympatii dla komunizmu – można uznać za pierwszych analityków skutków gospodarczej globalizacji: „Potrzeba zwiększenia zbytu produktów goni burżuazję po całej kuli ziemskiej. (...) Stare narodowe technologie zostały zniszczone i są niszczone codziennie. Zostają wypierane przez nowy przemysł, (...) który przetwarza już nie tylko rodzime surowce, ale i surowce z najbardziej odległych stref, a których wyroby są poszukiwane nie tylko w kraju ale jednocześnie we wszystkich częściach świata. (...) W miejsce starej, lokalnej i narodowej samowystarczalności i odosobnienia wkracza wszechstronny ruch i współzależność narodów; nie tylko w sferze materialnej, ale także w sferze duchowej produkcji" (cytat z „Manifestu komunistycznego").

Martin i Schumann domagają się zachowania reńskiego kapitalizmu, zachodnioniemieckiego państwa opiekuńczego, ponieważ najważniejszą gwarancją dla demokracji jest sprawiedliwość społeczna (*Verteilungsgerechtigkeit*). Proces globalizacji spowodowany nie tylko postępem technicznym lecz także realizacją neoliberalnej ideologii wolnych rynków, likwidowaniem barier międzynarodowego systemu handlowego i finansowego, jest według Martina/Schumanna „napadem na demokrację i dobrobyt w wielu państwach". W dzisiejszym systemie międzynarodowej współpracy gospodarczej szanse wynikające z globalizacji oceniają oni jako nieporównywalnie mniejsze od jej niebezpieczeństw. Według ich przekonań rosnąca konkurencja na rynku światowym ułatwia neoliberalnym politykom i przedsiębiorcom systematyczną likwidację systemu socjalnego w państwach Europy Zachodniej. Rewolucja technologii informacyjnej umożliwia dzisiaj opanowanie rozległych światowych systemów logistycznych i przyczynia się do wzrostu produktywności, co w konsekwencji oznacza, że w wysoko rozwiniętych światowych strukturach gospodarczych ludzka siła robocza traci znaczenie. Niebezpiecznym zjawiskiem politycznym deregulacji rynku światowego pod wpływem myśli neoliberalnej jest według autorów „Pułapki globalizacji" nie tylko wysoka stopa bezrobocia mimo rosnących zysków makroekonomicznych w krajach OECD lecz także procesy koncentracji kapitału.

Interpretacji aktualnej dyskusji na temat skutków globalizacji nie można jednak ograniczać do powrotu „Manifestu

komunistycznego" w nowej wersji kilka lat po upadku Bloku Sowieckiego. Dyskusja ta jest godna uwagi, ponieważ prowadzą ją również liberałowie, środowiska prokapitalistyczne. W Niemczech zainteresowała szerokie kręgi zamożnego mieszczaństwa. Zasadnicza kwestia niemieckiej dyskusji na temat globalizacji nie jest zredukowana do konfliktu pomiędzy kapitalizmem a socjalizmem. Jest ona dyskursem na temat przyszłych modeli kapitalizmu, na temat zderzenia „anglosaskiego kapitalizmu" z „reńskim".

Według niemiecko-brytyjskiego socjologa Ralfa Dahrendorfa „anglosaski model kapitalizmu" stawia na światową konkurencyjność bez ograniczeń politycznej wolności. Jest to jednak model, który osłabia spójność systemu społecznego. Nieprzypadkowo Margaret Thatcher głosiła kiedyś, że według niej coś takiego jak „społeczeństwo" nie istnieje, dla niej istnieją tylko „jednostki". Jednak po przerwie przypomniała sobie, że prowadzi partię konserwatywną i dodała – podkreśla Dahrendorf – iż obok jednostek istnieją także rodziny. W przeciwieństwie do modelu anglosaskiego „reński model kapitalizmu" przypisuje duże znaczenie spójności społeczeństwa, przy czym wolność polityczna nie jest ograniczana z powodu polityki socjalnej. Ten model kapitalizmu krytycznie nastawiony jest do bezgranicznych warunków konkurencyjności. Dahrendorf szkicuje także trzeci model kapitalizmu, „azjatycki", który łączy wysoki poziom konkurencyjności ze społeczną spoistością. W przeciwieństwie do kapitalizmu reńskiego i anglosaskiego jest to model autorytarnej i kontrolowanej polityki społecznej. Jako przykład podaje Dahrendorf Singapur, w którym *social cohesion* stanowi dogmat polityczny. W rzeczywistości *social cohesion* oznacza, że mimo systemu wolnego rynku sfera publiczna jest ściśle kontrolowana przez władzę. (Ponad 80% mieszkańców Singapuru żyje w mieszkaniach państwowych)[3].

Za dyskusją na temat globalizacji kryją się zatem różne podejścia do konkurencyjności, jest to dyskurs na temat granic liberalizacji rynku, na temat politycznych ograniczeń kapitalizmu w celu zachowania suwerenności i dobrobytu narodów. Dyskusja ta jest ważna, ponieważ procesu globalizacji nie da się przeanalizować wyłącznie z perspektywy gospodarczej: nosi on w sobie silny element polityczny. Warto także zwrócić uwagę, że geneza globalizacji nie jest czysto „naturalna", ekonomiczna. Globalizacja gospodarcza jest skutkiem neoliberalnej polityki deregulacji rynków światowych, którą berliński socjolog Hans-Peter Müller nazwał „polityką likwidacji granic" (*Entgrenzung*)[4]. Wpływom tej likwidacji barier nie może umknąć żadna gospodarka narodowa, żadne państwo, żadna instytucja ani żaden człowiek. Nikt nie kwestionuje pozytywnych skutków tego procesu, jak wzrost handlu, przyśpieszenie komunikacji globalnej, zwiększenie możliwości komunikowania i podróżowania. Niekwestionowane są jednak także negatywne skutki tego procesu jak problemy ekologiczne oraz zagrożenie przemieszczania miejsc pracy z krajów o wysokim standardzie socjalnym. (Według badań Massachusetts Institute of Technology do 2010 roku około 80% miejsc pracy w siedmiu czołowych krajach uprzemysłowionych potencjalnie będzie można przenieść do innych państw.)

Z perspektywy politycznej proces globalizacji, dostęp do informacji z całego świata i konfrontacja z problemami innych obszarów naszego globu przyniosły nie tylko upadek systemów autorytarnych ale także spowodowały powrót tych tradycjonalnych prądów myślenia.

2.

Skupmy się jednak na ekonomicznych aspektach globalizacji. Z tej perspektywy globalizacja oznacza jedynie powstanie, istnienie rozległego rynku gospodarczego na świecie. Przy dokładnej analizie można dojść do wniosku, że proces globalizacji nie dotyczy jeszcze wszystkich obszarów życia gospodarczego. W sferze inwestycji bezpośrednich wymiana międzynarodowa skupia się jedynie na krajach OECD, dwie trzecie inwestycji bezpośrednich świata realizowane jest tylko w dziesięciu państwach. Z perspektywy niemieckiej warto dodać, że 90% (!) rocznych inwestycji bezpośrednich niemieckie przedsiębiorstwa realizują nadal we własnym kraju. Także międzynarodowy handel, mimo silnie rosnących obrotów, natrafia nadal na wiele przeszkód. Pogłębiającą się na całym świecie

3. Ralf Dahrendorf, „Weltmarkt und Sozialökonomie", *Merkur*, nr 9/10, wrzesień/październik 1997.

4. Hans-Peter Müller, „Spiel ohne Grenzen?", *Merkur*, nr 9/10, wrzesień/październik 1997.

regionalizację handlu (Unia Europejska, Nafta, Mercosur, Asean itd.) można nie tylko interpretować jako nasilenie się powiązań międzynarodowych, ale także jako próbę obrony rynku przed globalną konkurencją. Wzrost importu jest przez wiele państw odbierany jako zagrożenie, jako eksport miejsc pracy. Pozytywniejsza jest oczywiście percepcja napływu inwestycji bezpośrednich, które tworzą nowe miejsca pracy w kraju przyjmującym obcy kapitał. W sferze światowego rynku pracy mobilność jest najniższa. Obok językowych i kulturowych przeszkód, które utrudniają globalizację, decydującym czynnikiem ograniczającym liberalizację tego rynku jest restryktywna polityka migracyjna większości państw wysoko uprzemysłowionych.

Jedynym obszarem międzynarodowej gospodarki, który osiągnął w ciągu ostatnich lat poziom całkowitej globalizacji jest rynek finansowy i kapitałowy. Objętość globalnych transferów finansowych przekracza kilkakrotnie handel światowy. Wartość obrotów międzynarodowego rynku handlowego wynosi jedynie 15% obrotów światowego rynku finansowego. Codziennie pomiędzy giełdami obracana jest suma pieniędzy, która jest dwa razy wyższa od wartości rezerw walutowych wszystkich banków centralnych na świecie. Oznacza to, iż rynki finansowe nie tylko odcięły się od kontroli politycznej, ale także od realnego rozwoju gospodarczego na świecie.

Niekontrolowane spekulacje finansowe przyczyniły się do nagłych zmian kursów walut, co w przypadku ekonomicznie mało stabilnych państw, jak Rosja czy państwa azjatyckie, spowodowało pogłębienie kryzysu gospodarczego. Konieczność regulacji międzynarodowego systemu finansowego zaakceptowali już nawet neoliberalni ekonomiści. Jeffrey Sachs, były doradca premiera Balcerowicza, propaguje dalszą liberalizację handlu towarowego, jednocześnie jednak domaga się „klasycznych reguł" dla rynku finansowego, ponieważ rynek ten nie jest w stanie sam się regulować: „Przecież znam problemy, które powstają przy napływie 'gorącego pieniądza', to znaczy czysto spekulacyjnych pieniędzy, które szybko wpływają i odpływają z kraju. Ten krótkoterminowy obrót kapitału można zatrzymać, tak jak nastąpiło to w Chile. Ilość krótkoterminowo napływających pieniędzy po prostu trzeba ograniczyć. W Chile opodatkowano te spekulacje oraz

wymaga się kaucji od inwestorów. Metoda ta stanowczo ogranicza energie spekulantów."[5]

Podczas ubiegłorocznego szczytu elit świata gospodarczego w szwajcarskim Davos zmiana postawy ekonomistów i menagerów w kwestii kontroli rynków była wyraźnie widoczna.[6] W Davos dyskutowano model światowego banku centralnego, który oceniałby sytuację kredytową oraz sytuację finansową państw. Dodatkowo żądano kontrolerów międzynarodowego handlu walutowego, którzy mieliby prawo eliminowania niebezpiecznych fenomenów spekulacyjnych. Dyskusja w Davos nie ograniczyła się wyłącznie do rynku finansowego. Poparcie uzyskał także pomysł światowego urzędu do spraw karteli. Genewska Światowa Organizacja Handlu (WTO) powinna dążyć do realizacji wiążących na całym świecie zasad polityki konkurencyjnej.

Innym propagowanym przez niemieckiego ministra finansów Oskara Lafontaine'a pomysłem jest powrót do zmodyfikowanego systemu stałych kursów walutowych, w którym granice zmian kursu byłyby dokładnie określone. Książka Oskara Lafontaine'a i jego żony Christy Müller „Nie bójcie się globalizacji" jest ciekawym dokumentem woli zachowania liberalizacji światowego rynku gospodarczego, z którego czerpią zyski Niemcy, przy jednoczesnej próbie kontrolowania gospodarki w celu eliminowania negatywnych skutków globalizacji[7]. Lafontaine i Müller nawiązują do dyskutowanych w Davos rozwiązań, jak np. kontrola kapitału spekulacyjnego, wprowadzenie światowego urzędu do spraw karteli oraz powrotu do systemu stałych kursów walutowych. Centralną propozycją ministra finansów Niemiec i jego żony jest jednak harmonizacja systemów podatkowych oraz podwyższenie standardów socjalnych w Europie i na świecie, innymi słowy – eksport socjalnych standardów niemieckich w celu zabezpieczenia „reńskiego modelu kapitalizmu".

5. „Es wird weh tun" – rozmowa z Jeffreyem Sachsem; *Der Spiegel*, 5 października 1998.

6. Uwe Jean Heuser, „Die Rückkehr des Staates", *Die Zeit*, 5 lutego 1998.

7. Oskar Lafontaine/Christa Müller, „Keine Angst vor der Globalisierung. Wohlstand und Arbeit für alle", Dietz Verlag; Bonn 1998.

W walce z negatywnymi skutkami globalizacji największe nadzieje większość lewicowych krytyków (jak na przykład Oskar Lafontaine i Christa Müller) pokłada w dalszej integracji Unii Europejskiej oraz wprowadzeniu euro. Pozytywne nastawienie tego środowiska do Unii jest warte szczególnej uwagi, ponieważ jeszcze kilka lat temu niemieccy socjaldemokraci nieufnie odnosili się do planów Kohla i Mitteranda wprowadzenia euro, podejrzewając ich o urzeczywistnianie neoliberalnych planów i obawiając się destabilizacji narodowego państwa opiekuńczego. Niewykluczone, że za tą znaczącą zmianą percepcji euro, pójdzie za kilka lat także zmiana oceny epoki Kohla przez środowiska niemieckiej socjaldemokracji. W oczach SPD kanclerz zjednoczenia z neoliberała przekształci się w obrońcę niemieckiego modelu socjalnej gospodarki wolnorynkowej.

3.

Śledząc niemiecką dyskusję na temat globalizacji nie sposób uniknąć pytania, na ile odzwierciedla ona ekonomiczną rzeczywistość. Już wcześniej wskazałem na różnice stanu globalizacji w różnych sferach międzynarodowej gospodarki. Czyżby wizja konfliktu pomiędzy kapitalistycznymi modelami: reńskim, anglosaskim i azjatyckim nie jest kontynuacją myślenia ideologicznego, według modelu światowego konfliktu pomiędzy różnymi ideami? A może na świecie zaczęła już dominować symbioza myślenia socjalnego, socjalistycznego z liberalno-gospodarczym? Taką wizję przyszłego stulecia propaguje brytyjski historyk idei Eric Hobsbawn w swojej książce o naszym „krótkim dwudziestym wieku" „The Age of Extremes": „Upadek modelu sowieckiego utwierdził obrońców kapitalizmu w przekonaniu, że gospodarka nie może funkcjonować bez giełdy; upadek modelu skrajnie liberalnego utwierdził socjalistów w ich wierze, iż sprawy ludzkie, łącznie z gospodarką, są zbyt ważne, aby pozostawić je działaniu rynku. Potwierdził też domniemanie sceptycznych ekonomistów, że nie ma widocznego związku między gospodarczymi sukcesami lub niepowodzeniami krajów a jakością jego teoretyków ekonomii. Możliwe jednak, iż w sporze, który postawił naprzeciw siebie kapitalizm i socjalizm jako przeciwne i wzajemnie wykluczające się bieguny, przyszłe pokolenia zobaczą przeżytek zimnych wojen religijnych – ideologicznych – XX wieku. Możliwe, że ten spór okaże się dla Trzeciego Świata również nieistotny, jak nieistotna okazała się w wiekach XVIII i XIX dyskusja między katolikami a rozmaitymi reformatorami XVI i XVII stulecia na temat istoty prawdziwego chrześcijaństwa".[8]

Może rzeczywiście jesteśmy świadkami przeskakiwania rowu pomiędzy zwolennikami neoliberalizmu a zwolennikami państwa opiekuńczego. Jednak spodziewam się, że ta intelektualna zmiana (a może nawet rewolucja) postaw wśród ekonomistów tak szybko się na arenie gospodarki światowej nie urzeczywistni. Większość propozycji zwalczania negatywnych skutków globalizacji wydaje się być nie do zrealizowania. Na razie nie widać śladów wprowadzenia systemów stałych kursów walut. Wprowadzenie euro stanowi rzeczywiście pierwszy krok w tę stronę. Jednak powiązanie euro z jenem, czy dolarem wymagałoby także daleko idącej harmonizacji polityki gospodarczej tych krajów. Po drugie, system wyznaczonych granic zmian kursów walutowych nie chroni przed spekulantami, jak w przypadku Sorosa, któremu w 1992 roku udało się rozsadzić Europejski System Walutowy. Prawdopodobnie ponownie wypróbowaliby wytrzymałość tych nowo wyznaczonych granic zmian kursu walut. Także mało realistyczną wydaje się propozycja Lafontaine'a osiągania wspólnego poziomu podatkowego na kontynencie i na świecie oraz wspólnych standardów socjalnych. Mało prawdopodobne jest to, że wysokie standardy socjalne Niemiec będą akceptowane przez inne państwa, to samo dotyczy oczywiście systemu podatkowego.

Na wiele przeszkód natrafi również próba kontrolowania najbardziej zglobalizowanego ze wszystkich rynków, mianowicie światowego rynku finansowego: „Mało prawdopodobne jest, że państwa odzyskają kiedykolwiek kontrolę nad finansami (...) Wszystkie przyszłe próby rekonstrukcji kontroli ruchu kapitałowego albo mocy podatkowej są mało wiarygodne. (...) Opierające się na wysokich podatkach systemy dobrobytu –

8. Eric Hobsbawn, „Age of Extremes. The Short Twentieth Century 1914-1991"; Michael Joseph, London 1994 (cytat w polskim tłumaczeniu Krzysztofa Pomiana).

amerykański i europejski pozostaną niewypłacalne. Obciążenie ludzi zamożnych podatkami już nie jest realistyczną opcją, ludzie zamożni już nie siedzą w jednym miejscu i nie czekają, aby obciążyć ich podatkami.[9]

Warto także dodać, że nic nie wskazuje na to że konkurencja pomiędzy różnymi systemami gospodarczymi – „anglosaskim", „reńskim" czy „azjatyckim" – jest nierzeczywista i że zniknęła ze świata gospodarki. Jak bardzo jest aktualna zaobserwować można chociażby wśród zachodnioeuropejskich socjaldemokratów, pomiędzy polityką gospodarczą Tony Blaira a Gerharda Schrödera.

Na koniec chciałbym podzielić się jeszcze jedną obserwacją. W swojej debacie na temat globalizacji, Niemcy nie powinni popełniać błędu, który często popełniają ich francuscy sąsiedzi, mianowicie propagowania swojego „reńskiego modelu gospodarczego", jako jedynego zapewniającego dobrobyt i demokrację. Przed odruchowym przeciwstawianiem się anglosaskiemu liberalizmowi w dyskusji na temat globalizacji ostrzegał niemieckich intelektualistów w hamburskim tygodniku *Die Zeit* publicysta Richard Herzinger. Herzinger zwrócił uwagę przeciwnikom neoliberalnych myślicieli jak Popper czy Hayek na fakt, iż neoliberalizm nie jest powrotem do epoki barbarzyństwa, a głęboko humanistyczną filozofią. Chroniący jednostkę liberalny model ekonomiczny opierał się nie tylko na zasadzie gospodarczej wydajności lecz także na etycznej maksymie. Zasada wolności ekonomicznej ma umożliwić wolnym obywatelom odkrywanie korzyści współpracy i wyważenia interesów poprzez niezależne działanie; a także na podstawie zasady umów bezkrwawego i samodzielnego rozwiązywania konfliktów. Przy czym według liberałów skuteczne instytucje demokratyczne oraz władza sprawiedliwych ustaw są ważnymi podstawami wolnego rynku.[10]

marzec 1999 r.

Basil KERSKI

9. Walter Rees-Mogg; „Down and Out on Trillionaire's Row", *The Financial Times*, 11 października 1993.

10. Richard Herzinger; „Früh vergreist. Ein deutsches Schreckbild: der 'Neoliberalismus' ", *Die Zeit*, 3 października 1997.

Sens Porozumień Okrągłego Stołu

Dziesiąta rocznica Porozumień Okrągłego Stołu – tak jak każda rocznica wydarzeń mających doniosłe, historyczne znaczenie – daje okazję ich uczestnikom i obserwatorom do przedstawiania swoich rozbieżnych wersji i rozbieżnych ocen. Daje też okazję zwalczającym się politycznym obozom do oskarżania i atakowania przeciwników. Wprawdzie mało kto przeczy, że owe Porozumienia nadały impet i kierunek procesom, które zmieniły kształt Europy i w konsekwencji przyczyniły się do zmian politycznych o charakterze globalnym, ale jest kwestią sporną, czy te Porozumienia w ogóle były potrzebne – wszak, jak głoszą ich krytycy, te same globalne zmiany nastąpiłyby bez żadnych porozumień. A jeśli tak, to Okrągły Stół był po prostu szkodliwy, ponieważ spowodował koszty polityczne, których w ogóle nie trzeba było płacić; te koszty to zachowanie ekonomicznego i politycznego „imperium komunistycznej nomenklatury" i „bezkarność funkcjonariuszy komunistycznej dyktatury".

Sądzę, że ów spór o sens Porozumień Okrągłego Stołu ma głębokie podstawy. Wiąże się on z różnym rozumieniem mechanizmów społecznej zmiany i z różnym rozumieniem warunków, od których zależy proces formowania ładu demokratycznego. Wiąże się też z różnicą ujmowania zasad mających określać kształt życia politycznego w Trzeciej Rzeczpospolitej. Tak więc, jak zwykle, spór o sens przeszłości jest zarazem sporem o teraźniejszość i przyszłość. Postaram się w niniejszym tekście przedstawić, na czym, w moim mniemaniu, istota tego sporu polega.

Ujęcie narracyjne

W rozważaniach nad Porozumieniami Okrągłego Stołu zdaje się dominować podejście narracyjne. Są to opowieści o tym „jak do tego doszło" i „co tam się działo". Wydaje się, że najczęściej spotyka się trzy wersje takich opowieści. Jedna – która uzyskała pozycję dominującą w dyskursie publicznym – mogłaby zostać zatytułowana „Jak pokojowo wywalczyliśmy wolność". Przedstawia ona historię zmagań grona nieugiętych, a zarazem mądrych bojowników z okrutnym, podstępnym i znienawidzonym przez społeczeństwo reżimem. Okrągły Stół i czerwcowe wybory to kulminacja tej walki. Dzięki tym zmaganiom reżim został zmuszony do kolejnych ustępstw, aż został ostatecznie pokonany. Bojownicy sprawy wolności i sprawiedliwości zatryumfowali.

Jest też druga opowieść o zupełnie innym wydźwięku, o tym „Jak zmarnowano szansę wywalczenia prawdziwej wolności". Mówi ona o „głupocie" i „zdradzie" przywódców Solidarności, którzy czy to dali się w wywieść w pole „czerwonej nomenklaturze", czy też podzielili się z nią wpływami i władzą, zdradzając w ten sposób ideały swego ruchu. Kluczowym obrazem tej opowieści jest tajemniczy spisek zawarty w Magdalence.

Ta druga opowieść wypowiadana jest głośniej i z większym tupetem niż pierwsza. Można odnieść wrażenie, że wiąże się to z pewną defensywnością bohaterów i uczestników pierwszej opowieści. Ta defensywność zdaje się mieć swoje źródła w niepewności, co do rzeczywistego sensu tego co się wydarzyło: Może to prawda, że „komunistyczny reżim" sam by upadł pod ciężarem swych ciężkich wad i nieprawości? Po cóż więc było podejmować cały ten negocjacyjny wysiłek?

Trzeba dodać, że jest też i trzecia wersja opowieści o Porozumieniach Okrągłego Stołu. Przedstawia ona ich historię od strony ówczesnej władzy. Jej główny temat to „Jak zapewniliśmy pokojowe przekształcenie niewydolnego reżimu". Mówi ona o mądrych i przewidujących mężach stanu, którzy stworzyli warunki do pokojowego przejęcia władzy przez siły zdolne do przeprowadzenia gruntownych reform w Polsce.

Oprócz tych trzech, jak sądzę głównych, wersji opowieści o Porozumieniach Okrągłego Stołu i ich następstwach, są też i inne. Ale mimo występujących między nimi zasadniczych różnic mają one coś ze sobą wspólnego: wszystkie one ujmują rozpatrywane wydarzenia jako rezultat działań i zaniechań określonych konkretnych osób i zespołów, i związanych z tym zasług lub win. Otóż sądzę, że nie można dobrze zrozumieć sensu owych działań i zaniechań, ani też dokonać ich sprawiedliwej oceny, bez uwzględnienia okoliczności, w których się to działo – ich społecznego i politycznego kontekstu. Bez tego kontekstu nie można też prowadzić rozważań – tak ważnych dla oceny ówczesnych wydarzeń – o tym, co mogłoby się stać, gdyby aktorzy wydarzeń wybrali inne sposoby postępowania.

Co spowodowało, że doszło do podjęcia rozmów przy Okrągłym Stole

Okrągły Stół był rezultatem procesów zachodzących w społeczeństwie, w ruchu opozycyjnym i w systemie władzy.

W społeczeństwie narastało powszechne niezadowolenie z panujących stosunków politycznych, gospodarczych i społecznych. Było to coś więcej niż niezadowolenie z istniejącej władzy. W rzeczy samej w latach osiemdziesiątych narastała niewiara w to, że jakakolwiek forma socjalizmu może przyczynić się do polepszenia losu ludzi. Równocześnie wzrastała aprobata dla gospodarki rynkowej i demokratycznej formy władzy. Zmiany te można było wyraźnie dostrzec analizując wyniki badań socjologicznych, które, choć fragmentaryczne, umożliwiały porównanie stanu umysłów ludzi w połowie lat siedemdziesiątych (słynne badania Stefana Nowaka pt. „Ciągłość i zmiana tradycji kulturowej") i w trakcie całych lat osiemdziesiątych (chodzi o dane zbierane w cyklu badań „Polacy lat.." prowadzonych przez Instytut Filozofii i Socjologii PAN). Ale przecież o głębokich zmianach postaw polskiego społeczeństwa mówiły nie tylko wyniki badań socjologicznych. Gołym okiem było widać, że w latach osiemdziesiątych znaczna część społeczeństwa – przede wszystkim środowisk opiniotwórczych – zaczęła odmawiać

współdziałania z władzą, co jeszcze w latach siedemdziesiątych było zjawiskiem rzadkim.

Na szczególne podkreślenie zasługuje pewien ważny aspekt zmian w stosunkach społecznych, który miał rozliczne i dalekosiężne konsekwencje. Chodzi tu, mianowicie, o odwrócenie dominujących trendów społecznej ruchliwości. O ile przedtem – jak to wykazywał prof. Pohoski – przeważała tendencja do awansu (*upward mobility*), to w latach siedemdziesiątych pojawił się trend odwrotny – proporcja tych, którzy przesuwali się wyżej na drabinie społecznej okazała się mniejsza, niż tych którzy przesuwali się niżej. Oznacza to zamykanie się dróg awansu społecznego. Wagę tego procesu możemy lepiej sobie uświadomić mając w pamięci masową skalę tego awansu w pierwszych powojennych dekadach i rolę tego procesu dla legitymizacji istniejącego systemu. Kiedy więc coraz bardziej niewydolna socjalistyczna gospodarka utraciła możliwości rozwojowe, to utraciła tym samym możliwości realizacji społecznych aspiracji. Był to ważny czynnik delegitymizacji systemu.

Należy podkreślić, że główną ofiarą tego rodzaju zmian było młode pokolenie. Konstatowało ono, że nie ma przed sobą przyszłości – drogi awansu są zamknięte a perspektywy polepszenia bytu – żałosne. Nic więc dziwnego, że to ono stanowiło siłę napędową zmian – to ono nadało dynamikę strajkom 1988 r.

Nie można też pomijać istniejących w polskim społeczeństwie silnych pragnień wolnościowych – silne niezadowolenie z systemu, który ograniczał prawa jednostki i tęsknota do pełnej suwerenności.

Wszakże mimo całego niezadowolenia i krytycyzmu wobec panującego systemu, w społeczeństwie nie było rewolucyjnych nastrojów (z wyjątkiem części środowisk młodzieżowych). Nie było gotowości do zbiorowych wystąpień, do ponoszenia ofiar na rzecz radykalnych zmian. Przekonało się o tym boleśnie kierownictwo Solidarności, kiedy próbowało mobilizować szersze kręgi społeczne do przeciwstawiania się polityce stanu wojennego.

Doświadczenie lat osiemdziesiątych miało też wielkie znaczenie dla obozu opozycji skupionego pod sztandarami Solidarności. Były to lata krystalizacji politycznego doświadczenia i tworzenia realistycznych wyobrażeń o naturze politycznych procesów. Szesnaście miesięcy „pierwszej Solidarności" to bohaterski okres nie wolny od wielu złudzeń i mitów. Stan wojenny i to co po nim nastąpiło było lekcją politycznego realizmu. Można zaryzykować twierdzenie, że w latach 1981-89 ukształtowała się w kierownictwie Solidarności grupa doświadczonych polityków, którzy potrafili myśleć o politycznej rzeczywistości nie tylko w kategoriach wartości i ideałów, które działają na wyobraźnię mas, ale również w kategoriach układu sił politycznych – wewnętrznych i zewnętrznych – oraz w kategoriach bliższych i dalszych konsekwencji politycznych działań. To grono przywódcze nie mogło nie zauważyć postępującej erozji ich własnego politycznego autorytetu oraz wyłaniania się nowej fali młodych radykalnych organizatorów, dla których doświadczenie stanu wojennego było jakąś trudną do zrozumienia przeszłością. O erozji autorytetu przywódców Solidarności mówiły z jednej strony wyniki badań socjologicznych, a z drugiej codzienne doświadczenie opozycyjne, relacjonowane – po latach – przez działaczy ruchu.

W tym kontekście ważne było doświadczenie strajków roku 1988. Ich uczestnikami byli przede wszystkim ludzie młodzi – starsi sympatyzowali, ale włączali się do nich w niewielkim stopniu. Strajki odbywały się pod sztandarami Solidarności, wszakże na ich przebieg przywódcy Solidarności nie mieli, jak się zdaje, zbyt dużego wpływu. Doświadczenie to wskazywało, że zaczyna się rodzić nowe pokolenie rewolucjonistów.

Biorąc to wszystko pod uwagę można powiedzieć, że opozycja była zarazem silna i słaba. Była silna, bo cieszyła się szerokim poparciem społecznym, bo miała rozległą sieć organizacyjną, bo miała wsparcie Kościoła katolickiego. Ale była też słaba, bo jej apele i akcje miały słabnący efekt w społeczeństwie, bo spadał autorytet przywódców, bo pojawiały się nowe, niezależnie działające, politycznie niedoświadczone ale radykalne kręgi młodych działaczy.

Pod koniec lat osiemdziesiątych w kręgach władzy zaczęto coraz lepiej zdawać sobie sprawę z sytuacji w społeczeństwie i w opozycji. Przede wszystkim stawało się coraz bardziej oczywiste, że bez gruntownych zmian sposobu

gospodarowania nie ma żadnych szans polepszenia bytu społeczeństwa i uzyskania politycznej równowagi.

Jako ilustrację sposobu myślenia w ówczesnych kręgach kierowniczych państwa mogę przytoczyć następujący epizod. Jesienią 1987 r. zostałem zaproszony na rozmowę przez sekretarza KC Kazimierza Cypryniaka, którego uprzednio nie znałem. Tematem tej rozmowy było poszukiwanie sposobów uzyskania poparcia społeczeństwa dla planowanych reform rynkowych przygotowywanych przez ówczesnego wicepremiera, prof. Zdzisława Sadowskiego. K. Cypryniak, którego uważano za przedstawiciela skrzydła konserwatywnego w kierownictwie PZPR opowiedział mi o swoim doświadczeniu w Szczecinie, w 1970 r., kiedy jako sekretarz Komitetu Wojewódzkiego zetknął się osobiście z wybuchem protestu społecznego. Mówił w bardzo dramatycznych słowach o palącym się Komitecie, o oddziałach wojska strzelającego do tłumu i o przeżytym przez siebie szoku – on, uważający siebie za działacza robotniczego, przekonany, że władza, którą sprawuje ma służyć ludziom pracy, znalazł się nagle po drugiej stronie barykady atakowany przez ludzi pracy. Stwierdził, że nigdy więcej nie chciałby znaleźć się w podobnej sytuacji. Tymczasem istnieje groźba, że może się ona powtórzyć, ponieważ stan gospodarki jest bardzo zły. Widzi, że dotychczasowy sposób gospodarowania nie sprawdza się i żadne próby poprawiania go niczego nie dają. Dlatego konieczne jest dokonanie zmian radykalnych – reforma prof. Sadowskiego jest ostatnią szansą. Ale jak zdobyć dla niej społeczne poparcie? Bez takiego poparcia przeprowadzić się jej nie da.

Zainteresowanie gruntownymi zmianami miało w kręgach władzy różne źródła. Z jednej strony było to narastające doświadczenie „niesterowalności" systemu politycznego i gospodarki. Jaskrawym dowodem owej „niesterowalności" była działalność opozycji politycznej. Opozycja istniała w Polsce od kilkudziesięciu lat. Mimo, że zwalczano ją różnymi sposobami, z których najdrastyczniejszym było wprowadzenie stanu wojennego, nie wygasała. Przeciwnie – tworzyły się nowe pokolenia opozycjonistów. System polityczny w jego ówczesnej postaci nie umiał ani radzić sobie z nią, ani „konstruktywnie wykorzystać". W tych warunkach władza stawała przed wyborem: albo wybrać kurs skrajnej represyjności (jak to czyniły reżimy sąsiedzkie), albo szukać nowych środków politycznych.

Za tym drugim rozwiązaniem opowiadała się znacząca część ówczesnego systemu władzy.

Przekonałem się o tym w styczniu 1989 r., kiedy zgodziłem się uczestniczyć w pracach Biura Politycznego. Jako człowiek z zewnątrz, spoza kręgów władzy, podejmowałem tę funkcję z wieloma obawami. Przede wszystkim spodziewałem się, że przyjdzie mi się zderzyć z „twardogłowym" konserwatyzmem przeciwnym czy wrogim wszelkim zmianom. Tymczasem już w pierwszych tygodniach kontaktów z aparatem Komitetu Centralnego przekonałem się, że jest tam wielu młodych ludzi krytycznie nastawionych wobec panujących porządków i bardzo otwartych na ideę zmian – gotowych do stanowczego oporu wobec partyjnego „betonu". Ludzie ci nie mieli też uprzedzeń w stosunku do środowisk opozycyjnych. Muszę przyznać, że nie od razu zrozumiałem skąd się brały tego rodzaju postawy, sprzeczne ze stereotypem „klasowego interesu rządzących", którzy powinni być niechętnie czy wrogo nastawieni do wszystkiego, co podważa ich prawa i przywileje.

Przyglądając się bliżej sposobowi życia, warunkom działania, mentalności elit politycznych i gospodarczych w ówczesnej Polsce, zdałem sobie sprawę z tego, że panujący system jest dla nich źródłem silnych frustracji na różnych polach. Przede wszystkim na polu ekonomicznym. Wprawdzie pozycja we władzy dawała pewne przywileje, jeżeli chodzi o dostęp do deficytowych dóbr, ale cóż to były za przywileje. Sklepy „za żółtymi firankami", schowane przed zazdrosnym okiem reszty obywateli, były to prymitywne, ciasne, ubogie magazyny; których ani pod względem zaopatrzenia, ani obsługi, ani wystroju nie można porównać nawet do współczesnego gminnego domu towarowego – ten ostatni to przy tamtych szczyt luksusu. W ogóle poziom życia najwyższych elit politycznych w Polsce można by, z trudem, porównać do poziomu niższej klasy średniej na Zachodzie. Liczne też były ich frustracje na polu zawodowym. Ludzie pełniący jakieś odpowiedzialne funkcje mieli bardzo często poczucie nieracjonalności i niesprawności systemu. Czuli się skrępowani i ograniczeni w realizacji swych ambicji zawodowych – mogli wprawdzie awansować po biurokratycznej drabinie, ale nie mogli dokonać niczego sensownego.

Należy zwrócić uwagę na ważny fakt socjologiczny: w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych następowała zmiana pokoleniowa w elitach władzy. Na miejsce dawnych partyjnych działaczy – w dużej części ludzi prostych, rekrutowanych z najniższych, najbardziej prymitywnych warstw społeczeństwa, zaczęli wchodzić ludzie wykształceni i to nie

tylko w szkołach partyjnych ale i na najlepszych polskich uniwersytetach. Ludzie ci mieli okazję stykać się Zachodem. Doświadczenie to uobecniało im i nieefektywność systemu, w którym działają i mizerny poziom własnej kondycji (w porównaniu do ich zachodnich partnerów). Stracili też ideologiczne złudzenia. Przestali wierzyć, że służą systemowi, który stwarza realne szanse rozwoju kraju. Ta właśnie kategoria ludzi stanowiła bazę społeczną odgórnych zmian.

Mówiąc o warunkach, dzięki którym rozmowy Okrągłego Stołu stały się możliwe, nie można pomijać zmian w Związku Sowieckim. Wszakże sens i losy tych zmian to była wielka niewiadoma. Przede wszystkim bardzo było niepewne, czy Gorbaczow pozostanie przy władzy, a polityka pierestrojki wytrzyma próbę czasu. Były różne sygnały o wewnętrznych zagrożeniach dla tej polityki.

Muszę przyznać, że nigdy w politycznych debatach gremiów kierowniczych, w których uczestniczyłem, nie odwoływano się wprost do opinii czy stanowiska władz ZSSR. Ale ZSSR był „po cichu" obecny w różny sposób. Tak np. w prywatnych rozmowach mówiło się o dramatycznych przejściach tych członków kierownictwa, którzy kontaktowali się z władzami sowieckimi w okresie otwartego konfliktu społecznego w Polsce.

Zapamiętałem pierwszą rozmowę, jaką odbyłem z gen. W. Jaruzelskim, po objęciu przeze mnie funkcji politycznej. Powiedział mi między innymi o tym, jak ciężkie były dla niego przeżycia związane z kontaktami z kierownictwem sowieckim na początku lat osiemdziesiątych. Nie chciał mówić o szczegółach – powiedział, że zabierze je ze sobą do grobu.

Był też obecny w postaci „doniesień" o nieformalnych kontaktach pewnych ludzi ze środowiska władzy z instytucjami sowieckimi znanymi z niechętnego stosunku do pierestrojki i Gorbaczowa. Dochodziły do tego sygnały o przejawach niezadowolenia sąsiadów z kierunku polskiej polityki. Ale były to tematy rozmów „korytarzowych" a nie debat politycznych. Te ostatnie odbywały się w cieniu tych rozmów.

Opisany tu cały kompleks czynników sprawił, że idea rozmów Okrągłego Stołu mogła się narodzić. Trafiała ona

najlepiej w potrzeby społeczeństwa (które chciało zmian, ale nie chciało konfrontacji), w potrzeby opozycji (która dążyła do pokojowych zmian w kraju, ale zaczynała rozumieć, że jeśli sytuacja będzie się przedłużała to przestanie być twórcą i aktorem zmian) i w potrzeby władzy (która zdała sobie sprawę z tego, że dalej w ten sposób rządzić się nie da i nie da się przeprowadzić żadnych reform, a alternatywą rozmów jest eskalacja represji). Idei tej sprzyjał też fakt dokonujących się zmian imperialnej polityki Związku Sowieckiego.

Czy rozmowy musiały się udać?

Przedstawione wyżej okoliczności stanowiły „obiektywną bazę", która sprzyjała poszukiwaniu pokojowych sposobów dokonania gruntownych zmian w kraju. Ale jak dobrze wiadomo, istnienie sprzyjających warunków nie gwarantuje pomyślnego obrotu rzeczy. Historia chyba każdego kraju opisuje sytuacje marnowania największych nawet szans. W każdym razie wiele jest takich rozdziałów w naszej własnej historii.

Porozumienia Okrągłego Stołu to przykład sytuacji, gdy szans nie zmarnowano, choć było wiele ku temu okazji. Można je było zmarnować jesienią 1988 r. stawiając drugiej stronie niemożliwe do zaakceptowania warunki wstępne, w styczniu 1989 r., gdy na posiedzeniu Komitetu Centralnego PZPR znaczna część zebranych próbowała zablokować porozumienia z Solidarnością – opór został przełamany dzięki zdecydowanej postawie gen. Jaruzelskiego i jego najbliższych współpracowników, którzy zagrozili dymisją.

Szanse można było zmarnować w kilku krytycznych sytuacjach – w trakcie rozmów (np. przy ustalaniu ordynacji wyborczej do senatu, przy ustalaniu uprawnień senatu, w momencie impasu, jaki powstał w trakcie finałowych obrad plenarnych i in.) i później (najgroźniejszy był moment po 4-tym czerwca, gdy uaktywniły się bardzo duże siły dążące do anulowania wyborów). Można chyba stwierdzić, że doprowadzenie do rozmów i ich pomyślny przebieg jest zasługą ludzi, którzy w proces ten byli uwikłani.

Z jednej strony są to zasługi Demokratycznej Opozycji

skupionej w ruchu „Solidarności", która z ogromną determinacją i poświęceniem dążyła do pokojowego przekształcenia stosunków politycznych i ekonomicznych w Polsce. Z drugiej strony, są to zasługi tych ludzi ówczesnego obozu rządzącego, którzy uświadomili sobie konieczność radykalnych reform oraz zdali sobie sprawę z faktu, że reform tych bez porozumienia z Demokratyczną Opozycją nie da się przeprowadzić. Istotną rolę wspomagającą proces porozumień odegrało kierownictwo Kościoła katolickiego w Polsce. Dzięki jego pośrednictwu i moralnemu poparciu proces ten mógł się dokonać.

Wprawdzie zainicjowanie i realizacja polityki porozumień wymagała wielkiego zaangażowania obu stron, ale zaangażowanie to nie może być mierzone tą samą miarą. Walka o pokojowe przemiany podejmowana przez środowiska solidarnościowe wymagała wielkiego hartu moralnego, ofiarności, nieugiętości w dążeniu do celu. Osoby uczestniczące w tym ruchu były ofiarami prześladowań ponosząc ogromne koszty psychiczne i materialne. Nie wszyscy, którzy krzywd tego rodzaju doznali uzyskali zadośćuczynienie w Trzeciej Rzeczypospolitej.

Działania na rzecz zmian podejmowane w ramach obozu rządzącego wymagały od tych, którzy się w nie zaangażowali przede wszystkim odwagi intelektualnej – umiejętności zerwania z przyjmowanymi dotąd schematami i gotowości wejścia na nową, nieznaną drogę. Wymagały także umiejętności poradzenia sobie z siłami konserwatywnymi we własnym obozie. Wejście na drogę radykalnych reform wiązało się, dla autorów tej polityki, z ryzykiem niepowodzenia oraz negatywnych konsekwencji – społecznych i osobistych. Jak pokazuje doświadczenie, ryzyko to nie było czysto teoretyczne – część spośród osób zaangażowanych osobiście w przeprowadzenie zmian, stała się przedmiotem politycznych rozliczeń. Wszakże należy podkreślić, że skala i bezpośredniość ponoszonych kosztów nie może być porównywana z tym, czego doświadczyli działacze Obozu Demokratycznego. Dlatego jest zrozumiałe, że rola zaangażowanych w porozumienie stron musi być ujmowana w zupełnie innych kategoriach, a ówcześni przywódcy Solidarności mają szczególny tytuł do chwały.

Tym co sprzyjało znajdywaniu pozytywnych rozwiązań było przyjęcie pewnych zasad postępowania wobec partnerów negocjacji. Na następujące z tych zasad chciałbym tu zwrócić uwagę:

Po pierwsze, z wielką konsekwencją trzymano się zasady równouprawnienia stron. Począwszy od tak prostych technicznych spraw jak równa liczebność składów delegacji do poszczególnych „stołów" i „stolików" (w późniejszych etapach rozmów sprawa ta wydawała się mniej istotna), jak kolejność zabierania głosu (zawsze przedstawiciele stron mówili naprzemiennie), jak zasady przewodniczenia obradom (wymiana przewodniczącego w równych odstępach czasu), jak proces ustalania porządku obrad i in. Szczególnie ważne było zachowanie równości przy przedstawianiu przebiegu i wyników obrad opinii publicznej (np. czas antenowy, brak cenzury).

Po drugie – już w początkowych stadiach rozmów przyjęto założenie, iż niezależnie od ogromu różnic i zaszłości dzielących strony, zbiera je przy wspólnym stole cel nadrzędny – dokonanie reform, które mają otworzyć nowe możliwości rozwojowe dla naszego kraju. Duch „wspólnego zadania" powstał już na pierwszym spotkaniu kierownictw zespołów negocjacyjnych w Magdalence (styczeń 1989 r.) i utrzymywał się, z pewnymi wahaniami, w trakcie całych dwumiesięcznych obrad. To on pomagał w radzeniu sobie z różnymi kryzysowymi sytuacjami.

Po trzecie, przyjęto że będzie się unikać konfliktów o charakterze symbolicznym – w tym przede wszystkim konfliktów o przeszłość i jej ocenę, skupiając się na zadaniach, których rozwiązanie jest ważne dla przyszłości. Doświadczenia przeszłości były (i są) silnie naładowane emocjonalnie i podejmowanie ich mogłoby zrujnować proces negocjacyjny. Ale zdarzały się momenty, w których nagle wybuchały emocje zakorzenione w przeszłości, czy też ktoś stawiał na porządku dziennym kwestie ideologicznych różnic. Obie strony podejmowały natychmiast wysiłki, aby nie dopuścić do wykolejenia negocjacji tego rodzaju tematami.

Po czwarte, trzymano się zasady „niewyprowadzania w pole" partnera (w tym wypadku mówię o postawie większości osób uwikłanych w negocjacje po tzw. stronie rządowej – nie

wiem jak to ujmowała strona solidarnościowa). A więc przyjęto, że negocjuje się w dobrej wierze, że umowy będą dotrzymywane, że nie składa się partnerowi obietnic, których nie potrafi się dotrzymać, że nie udziela się partnerowi fałszywych czy mylących informacji itp. Myślę, ze rzetelność negocjatorów stała się przesłanką pewnego elementarnego zaufania, bez którego pomyślny przebieg rozmów nie byłby możliwy.

Muszę dodać, że nie wszyscy uczestnicy czy obserwatorzy rozmów patrzyli na nie w sposób, który tu opisywałem. Tak np. Dawid Warszawski – działacz Solidarności i dziennikarz obserwujący dokładnie przebieg rozmów, opublikował rok później książkę pt. „Mebel", w której opisuje negocjacje. W książce tej nie ma już nic z opisywanego tu ducha wspólnego zadania i wzajemnej lojalności. Jest to rzecz o tym, jak nasi dzielni chłopcy przechytrzyli komunistów i pokojowo wywalczyli dla Polski wolność. W trakcie obrad wielekroć kontaktowałem się z autorem i miałem poczucie, że jest między nami jakaś nić porozumienia. Mogłem się mylić. Ale nie wykluczam też, że sposób myślenia o przebiegu tych rozmów uległ zmianie po odniesieniu zwycięstwa. Skoro „nasi" odnieśli tak spektakularny sukces, to po co go pomniejszać twierdzeniami, że wchodziło się w jakieś prawdziwe porozumienia z pokonanym wrogiem?

Czy Okrągły Stół był potrzebny?

W kręgach politycznych zwycięskiego obozu solidarnościowego są co do tego poważne wątpliwości. Skoro system upadł i to bardzo szybko – w ciągu kilku miesięcy – to najpewniej musiał upaść. Po co więc było siadać do tych negocjacji i w konsekwencji umożliwić dawnym elitom stosunkowo łatwą adaptację w nowych warunkach – ba, dzielić się z nią władzą, pozwalając na zachowanie wpływów w gospodarce i polityce. Jak to stwierdził w niedawnej dyskusji telewizyjnej jeden z byłych solidarnościowych premierów, najlepszym dowodem na to, że Okrągły Stół był zbędny jest fakt, że w większości krajów regionu system rozpadł się bez żadnych negocjacji i porozumień.

Uważam, że ten sposób myślenia opiera się na fałszywych założeniach co do mechanizmów społecznej zmiany i na fałszywych wyobrażeniach na temat warunków tworzenia ładu demokratycznego.

Co się tyczy mechanizmów społecznej zmiany, to wspomniane tu rozumowanie sugeruje, że upadek systemu społeczno-politycznego przypomina, w jakiś sposób, zawalenie się źle skonstruowanej, przerdzewiałej budowli – oto system znalazł się w głębokim, nieodwracalnym kryzysie i musiał zginąć. Jest to grube uproszczenie.

Po pierwsze, dotychczasowe historyczne doświadczenie wskazuje, że zahamowanie rozwoju, długotrwały kryzys, utrata wiary w system, wcale nie gwarantują radykalnych zmian. Były i są państwa, które wegetują przez dziesięciolecia i dłużej, ale system władzy i system stosunków klasowych pozostają nie zmienione. Najwyżej, co pewien czas wybuch społecznego niezadowolenia zainicjuje jakiś pucz wojskowy, czy „przemeblowanie" na szczytach władzy. W Polsce były takie odłamy warstw rządzących, które wierzyły, że żadne zmiany ustrojowe (a tym bardziej porozumienia z opozycją) nie są potrzebne – że trzeba umocnić „kurs socjalistyczny". Gdyby te odłamy zdobyły przewagę, bieg zdarzeń musiałby być zupełnie inny.

Po drugie, dotychczasowe historyczne doświadczenie wskazuje także, że nawet najbardziej niewydolne czy skorumpowane reżimy mają swoich zaciętych obrońców, którzy gotowi są bronić z całą determinacją swoich pozycji i przywilejów. Nic więc dziwnego, że wielkie zmiany społeczne dokonywały się kosztem morza krwi i wielkich zniszczeń. Wielu obserwatorów zmian w Europie Środkowej zadawało sobie pytanie, dlaczego Polska i niektóre inne kraje regionu uniknęły takiego losu. Otóż w świetle tego, o czym mowa tu była wyżej, rysuje się odpowiedź na to pytanie – nie doszło do gwałtownych konfliktów ponieważ znaczące odłamy ówczesnych elit władzy stały się współautorami zmian. Było to zaś możliwe i dzięki temu, że same wyrażały wolę zmian i dlatego, że spotkały się z gotowością do współdziałania w przeprowadzeniu zmian ze strony zorganizowanej opozycji. Okrągły Stół był instytucjonalizacją tego współdziałania blokującą drogę do krwawej konfrontacji. Miał on jeszcze jedną, bardzo istotną funkcję: tworzył model pokojowych przekształceń ustrojowych. Bardzo wiele zmian społecznych dokonuje się na zasadzie modelowania. Proces zainicjowany w jednym kraju ma tendencje do przenoszenia się do innych

krajów znajdujących się w podobnym położeniu. Tak się działo w okresie Wiosny Ludów, tak inspirowane były ruchy narodowo-wyzwoleńcze w różnych krajach, tak następowała transmisja faszyzmu czy komunizmu. Dotyczy to także idei leżących u podstaw porozumień Okrągłego Stołu.

Po trzecie, koronnym argumentem krytyków porozumień Okrągłego Stołu jest teza, że siła tzw. komunistycznych reżimów w Europie opierała się na „sowieckich bagnetach". Skoro więc Związek Sowiecki w rezultacie pierestrojki wykazał *désintéressement* tym co się dzieje w Europie Środkowej, to tym samym skazał owe reżimy na upadek. Argument ten w ogóle nie bierze pod uwagę wzajemnego sprzężenia między procesami zachodzącymi w ZSSR a tym co działo się w innych krajach obozu, a przede wszystkim w Polsce (ze względu na jej strategiczne położenie w całym systemie). W szczególności nie uwzględnia ewentualnych konsekwencji załamania się polityki porozumienia w Polsce i wybuchu poważniejszych konfliktów dla polityki pierestrojki. Wybuch zamieszek w Polsce to czynnik, który mógł doprowadzić do mobilizacji sił wrogich polityce pierestrojki i upadku morale jej zwolenników. Obalenie Gorbaczowa (lub gruntowna zmiana prowadzonej przez niego polityki) to zjawiska, z którymi należałoby się bardzo poważnie liczyć.

Warto w tym kontekście przypomnieć pewien precedens historyczny – gwałtowny odwrót cara Aleksandra II i rosyjskiej opinii publicznej od polityki reform po wybuchu powstania styczniowego w Polsce.

W konkluzji można stwierdzić, że wcale nie jest pewne, że system musiał upaść, a jeżeli już miał upadać to nie jest też pewne jakie byłyby koszty owego upadku – komu by się „zwalił na głowę", a kto wyszedłby z tego wszystkiego obronną ręką. Patrząc na sytuację u naszych bliższych i dalszych sąsiadów możemy przekonać się, że w różnych krajach, w których nie było żadnych porozumień Okrągłego Stołu, stare elity władzy umocniły swą gospodarczą i polityczną pozycję, osiągając ogromne profity z dokonywanych zmian.

Okrągły Stół a budowa ładu demokratycznego

Rozważania typu „co by było gdyby..." mają wątpliwą wartość poznawczą. W rzeczy samej nie wiemy i nie możemy wiedzieć, jaki byłby przebieg procesu historycznego, gdyby jego aktorzy postąpili inaczej niż postąpili. Dlatego spór o znaczenie takiego zjawiska jak porozumienia Okrągłego Stołu ma bardziej moralny i filozoficzny, niż poznawczy sens. Z tego właśnie punktu widzenia warto spojrzeć na te porozumienia, jako ogniwo w procesie budowania ładu demokratycznego.

Krytycy owych porozumień powiadają, że były one szkodliwe ponieważ zablokowały czy utrudniły dekomunizację. Innymi słowy zdają się oni żywić przekonanie, że prawdziwa zmiana społeczna dokonuje się wtedy, jeśli stare „niesłuszne" elity zostaną przepędzone, a ich miejsce zajmą nowe – „nasze", „słuszne". Na tym polega każda rewolucja. Wszakże procedury rewolucyjne kiepsko nadają się do budowy ładu demokratycznego. Opierają się one na zastosowaniu przemocy i wyłączeniu pewnych kategorii społecznych z politycznego uczestnictwa. Tymczasem porządek demokratyczny zakłada równe prawa dla wszystkich członków społeczeństwa do politycznego uczestnictwa – demokracja tym lepiej spełnia swoje zadanie im lepiej i pełniej wyraża interesy istniejących w społeczeństwie grup.

Siła moralna porozumień Okrągłego Stołu na tym właśnie polega, że stanowiły one prototyp demokratycznego rozwiązywania konfliktów między grupami różniącymi się interesami, światopoglądem, położeniem społecznym i, co w tym przypadku szczególnie ważne, losami życiowymi – do wspólnych obrad zasiedli ci, którzy byli ofiarami politycznych prześladowań i ci, którzy ze względu na swoje rozumienie racji stanu ową politykę realizowali. Ale przez to właśnie, że zasiedli, położyli podwaliny pod taką formę ładu społecznego, w którym poszukuje się optymalnych, z punktu widzenia interesu publicznego rozwiązań, a nie niszczy i eliminuje przeciwnika.

Trzeba przyznać, że ten sposób rozumienia ładu demokratycznego, z wielkim trudem toruje sobie drogę do

umysłów polityków. Dla wielu z nich demokracja to swoista gra, w której chodzi głównie o to, aby skutecznie ograć przeciwników. Dlatego skupiają się przede wszystkim na tym, aby zdobyć większość w ciałach przedstawicielskich. Dzięki osiągniętej większości mogą obsadzać lukratywne stanowiska swoimi ludźmi i realizować swoją politykę z nikim innym się nie licząc. Instytucje polityczne nie służą im do uzgadniania rozbieżnych stanowisk, lecz do narzucania swojej woli tym, którzy znaleźli się w mniejszości. Można powiedzieć, że jest to bardzo ułomna wersja ładu demokratycznego.

Przesłanie Okrągłego Stołu jest zupełnie inne. Mimo, że w uzgodnieniach tam przyjętych zawarte były rozwiązania instytucjonalne zawierające ograniczenia mechanizmów demokratycznych (chodzi przede wszystkim o zasadę rozdziału miejsc w tzw. sejmie kontraktowym), to istota tego porozumienia była w pełni demokratyczna: było to wspólne opracowanie sposobów wprowadzenia naszego kraju na drogę demokratycznych przemian takich sposobów, które pozwalały uniknąć poważniejszych wstrząsów i zagrożeń. Patrząc po dziesięciu latach na osiągnięte wyniki można stwierdzić, że w swych podstawowych zarysach zamiar ten się powiódł. Mimo wielu słabości system demokratyczny w Polsce funkcjonuje prawidłowo i radzi sobie z wieloma rozmaitymi trudnościami. I to mimo głośnych lamentów tych, którzy nie mogą odżałować, że nie udało im się zagarnąć całej puli.

Janusz REYKOWSKI

JANUSZ REYKOWSKI – prof. zw., dr nauk humanistycznych, członek PAN, dyrektor Instytutu Psychologii PAN w Warszawie, uczestnik „Okrągłego Stołu".

Zapiski sołowieckie

„Każde autentyczne pisarstwo przybiera w końcu postać modlitwy, jestem o tym przekonany".
Gustaw Herling-Grudziński

1.

... i pisać rano, kiedy uwaga jest niezmącona, umysł czysty, odświeżony snem. Później, w ciągu dnia, uwaga się rozprasza – problemy z zamarzającą wodą, ktoś przyszedł, ktoś zadzwonił, w gazecie jakaś bzdura. Rano, kiedy w pieczce cicho potrzaskują drwa, sącząc aromaty żywicy, a słońce rozświetla świat za oknem – wydobywa Babią Łudę z mroźnego tumanu, odsłania Wilczą Sopkę na skraju pola widzenia i rzuca cienie Cypla Śledzia na lód Zatoki Pomyślności – w takie rano świat się staje na mych oczach.

2.

19 stycznia

Kreszczenije – święto Chrztu Pańskiego, zwane też *Bogojawlenijem*. Wczoraj rano na Świętym Jeziorze, z dala od posiołka, monastyrscy posłusznicy wyrżnęli *Iordan'* – przerębel w kształcie prawosławnego krzyża. Z bloków lodu ustawili ołtarz i stół pod Ewangelie. W przerębel opuścili drabinę dla tych, co nie potrafią się wydobyć z toni o własnych siłach. Około południa, po długiej liturgii św. Bazylego, poszli procesją nad przerębel i oświęcili wodę w jeziorze i czerpali ją później i nosili w butelkach, w garnkach, w kanistrach, we wiadrach, w beczkach do wieczora. Z Archan-

gielska po wodę przyleciał helikopter. Chodzą ploty, że komersant Fiedotow będzie ją sprzedawał.

O północy na dziedzińcu klasztoru zebrali się mężczyźni: mnisi, posłusznicy, pątnicy i mużyki z posiołka – skupieni i podekscytowani. Sformułowali pochód: na czele posłusznik z latarnią, za nim inni z chorągwiami, z ikonami, inok Filip z kadzidłem i Archimandryta Josif z braćmi i reszta. I ruszyli, śpiewając kondak: *Wieliczajem Tja; Żiwodawczje Christie; nas radi nynie płotiju krestiwszagosja ot Ioanna w wodach Iordanskich.* Zadzwoniły dzwony.

Mróz tymczasem zdążył pokryć szybką lodu krzyż przerębla. Było 30 stopni niżej zera. Jeden z posłuszników rozbił szybkę. Z przerębla parowało. Po krótkiej modlitwie, po kolei, poczynając od Namiestnika Josifa, każdy się rozbierał, stojąc twarzą na Zachód (co symbolizuje – według Grigorija Pałamy – zdjęcie z siebie grzechu), odwracał się na Wschód (czyli wyrzekał się Zła, którego Zachód jest siedzibą) i wskakiwał do *Iordani,* trzykrotnie się pogrążając z głową (co Pałama interpretuje trojako: pamięć o trzech dniach pobytu Chrystusa w grobie, pokłon dla Trójcy Świętej i zmartwychwstanie nas samych, to jest naszej duszy i uma i ciała), po czym jedni o własnych siłach wypełzali na lód, innych zaś trzeba było wyciągać. Czujesz powietrze, które żga jak ogień, lub lód, co stopy parzy? Nim podniesiesz ręcznik do głowy... tam sople.

Po mużykach poszły baby do przerębla

3.

22 stycznia

Dzień świętego Filipa igumena Sołowieckiego, metropolity Moskiewskiego i całej Rusi, Cudotwórcy. Ot, żywot.

Filip Sołowiecki (w świecie Fiodor) pochodził z bojarów Kołyczewych, którzy z rodem Romanowych, Szeremietiewych i Kalitów tworzyli zręby moskiewskiego państwa. Urodził się 5 czerwca 1507 roku.

O pierwszych 30-tu latach jego życia wiemy niewiele. Jak każdy syn bojarski umiał czytać, fechtować się i jeździć konno. Służył przy dworze regentki Jeleny Glińskiej, rządzącej w imieniu swego syna, małoletniego Iwana. Wielkoksiążęcy dwór, przepyszny i skorumpowany, był miejscem, skąd

młody Fiodor oglądał kulisy politycznego teatru, jego aktorów i statystów, ich namiętności i intrygi, przyoblekane w kostiumy różnych idei – dobra narodu, sławy państwa... Fabułę tam plotły knowania i zdrady, rekwizytem była mamona, miecz i jad. Krwawe waśnie wygubiły całe rody bojarów, w tym wielu Kołyczewych na tamten świat wysłano. 5 lipca 1537 roku w chramie Fiodor usłyszał słowa Ewangelii: „Nikt nie może dwom panom służyć; albo jednego będzie nienawidził a drugiego miłował, albo przy jednym stać będzie, a drugim wzgardzi". Po mszy zbiegł z Moskwy.

Poszedł na Północ, w starym kaftanie i łapciach, dla niepoznaki. Pośród błot i lasów jego tropa zawiodła nad jezioro Oniega. Tam u smerda Subboty pasł owce za chleb i pochlebkę. Po jakimś czasie trudno było rozpoznać w ubogim pastuchu bogatego dworaka. Rodzice tymczasem, po długich poszukiwaniach, uznali go za zmarłego. Jesienią Fiodor ruszył dalej na Północ i pod koniec nawigacji dotarł na Wyspy Sołowieckie. Tutaj go przyjęli na *posłuszanije:* rąbał drwa, kopał ziemię w ogrodzie, taszczył kamienie, ciągał sieci, nosił gnój na swoich plecach, czasem cierpiał obelgi i cięgi... Półtora roku później Fiodora postrzygli w monachy – pod imieniem Filipa. Był *kielejnikom* starca Jony, pracował w klasztornej kuźni, gdzie „...widok ognia przywodził mu na myśl Gehennę", i w piekarni tam „...mu się Matka Boska jawiła", i w chramie służył. Potem się odosobnił w pustelni w głębi Wyspy i żył w *bezmołwii* i poście. W końcu został przełożonym klasztoru.

Igumen Filip, zwany „wtórnym założycielem monastyru", przewodził braciom osiemnaście lat. Zbudowano w owym czasie sobor Uspienija Matki Bożej i sobor Preobrażenskij, kamienny budynek z celami dla braci i szpital, skit i przystań na Zajęczej Wyspie, pustelnie w lasach i *podwor'ja* w Nowgorodzie i Wołogdzie, i usypano kopce sygnalizacyjne wokół Zatoki Pomyślności, i odlano trzy ogromne dzwony. Za igumena Filipa rozszerzono hodowlę bydła na Muksałmie (z dala od klasztoru, szanując wolę św. Zosimy, bo ten nie chciał, aby bydło się płodziło na oczach braci) i puszczono renifery w sołowieckie lasy, zwiększono ilość warzelni soli i postawiono cegielnię, wytyczano drogi, osuszano błota, wycinano las. Sam Igumen wymyślił ów niezwykły system

hydrotechniczny – sieć kanałów, którymi połączył prawie kopę jezior, uzyskując tym samym drogę wodną dla spławiania drewna, energię dla młyna i sztuczny zbiornik, zwany Świętym Jeziorem. Igumen Filip był też autorem szeregu surowych reguł (między innymi zabraniały picia alkoholu i gry w kości we wsiach monastyrskich), określających ogólną zasadę sołowieckiego klasztoru: „jeśli ktoś nie chce pracować niechaj też nie je".

W 1565 roku car Iwan Groźny wezwał Filipa do Moskwy na tron metropolity Moskiewskiego i całej Rusi. Wkrótce między carem a nowym metropolitą doszło do sporu o opryczninę. Filip napominał cara, zrazu po cichu, potem publicznie, że władcy nie godzi się folgować namiętnościom, bo prawdziwym samodzierżcą jest ten, kto sam siebie potrafi dzierżyć w karbach, nie zaś niewolnik własnych chuci i gorszyciel poddanych. Car szalał z gniewu, judzony przez oprycznikow i szukał pretekstu, by ukarać śmiałka. Na metropolitę posypały się donosy. Knuli przeciw niemu i duchowni i świeccy – archijepiskop nowgorodzki Pimen i archijepiskop suzdalski Pafnutij, carski duchownik Jewstafij i kniaź Wasilij Tiomkin, lecz szalę przeważyli mnisi sołowieccy, ci oskarżyli Filipa o czary. 8 listopada 1567 roku w Uspienskim soborze podczas liturgii tłuszcza opryczników z orężem napadła na metropolitę i wywlokła go z chramu, lżąc i bijąc. Potem była męka i ciemnica, do której Filipowi podrzucono odciętą głowę jednego z Kałyczewych, potem sąd i kazamaty twerskiego klasztoru, gdzie dwa lata później – 23 grudnia 1569 roku – opryczník Maluta Skuratow udusił Filipa.

W 1590 roku ojciec Jakow, igumen sołowieckiego monastyru, uzyskał zgodę cara Fiodora Iwanowicza na przeniesienie zwłok Filipa na Wyspy. Po rozkopaniu mogiły – ciało nietknięte rozkładem roztaczało cudny aromat. *Moszczi* świętego triumfalnie przewieziono na Sołowki i pogrzebano pod kruchtą chramu Zosimy i Sawwatija. Zaczęły się cudowne ozdrowienia. Kalecy i chorzy z całego Pomorza pociągnęli na Wyspy. Aż sława sołowieckiego Cudotwórcy dotarła na dwór cara Aleksieja Michajłowicza. W 1652 roku *moszczi* świętego Filipa przeniesiono do Moskwy. Inicjatorem i wykonawcą był metropolita nowgorodzki Nikon, niegdyś posłusznik Eleazara z Anzera, a wkrótce Patriarcha. Nikon przywiózł na Sołowki carskie pismo, w którym Aleksiej Michajłowicz prosił Cudotwórcę o wybaczenie i modlitwę za Iwana Groźnego. Pismo włożono do dłoni świętego i po uroczystej mszy, przy dzwonach i płaczu braci, *moszczi* z orszakiem ruszyły do stolicy. Za Zajęczymi Wyspami sztorm ich złapał, że ledwie doszli do Oniegi. Do Kargopola płynęli rzeką, dalej lądem do monastyra św. Kiriłła, potem rzeką Szeksne do sioła Rybnego, skąd Wołgą do Jarosławla i wielką północną drogą przez Pieriejasławl, Troicko-Sergijewską Ławrę do Moskwy. Wszędzie po drodze wylegały tłumy i biły dzwony. W Moskwie na spotkanie Uspienskiego soboru wyszła procesja, na czele car w złotym kaftanie i czapie usianej drogimi kamieniami, z indyjskim pastorałem z kości słoniowej w ręku, za nim metropolita Warłaam, i duchowni, i możni, i motłoch. *Moszczi* świętego Filipa wniesiono do soboru i ustawiono w miejscu, gdzie zaczynała się jego męka. „Po dziesięciu dniach modłów i cudów złożono je w srebrnym grobowcu po prawej stronie ikonostasu, tam do dziś leżą, czczone przez ruski naród" – tak się kończy „Żywot świętego Filipa".

4.

Słowo *moszczi* w staroruskim języku oznaczało kości, zaś *nietlennyje moszczi* – kości nierozłożone. Niekiedy się zdarza, w niektórych gruntach (na przykład na pustyniach, w zmarzlinie Syberii, na cmentarzach Kaukazu...), że ciało zmarłego nie gnije lecz ulega naturalnej mumifikacji, co bynajmniej ze świętością się nie wiąże. Cerkiew w Dawnej Rusi naturalną mumifikację ciała świętego uznawała za szczególny dar Boży, choć niekonieczny dla kanonizacji. Dopiero później się przyjęło mniemanie, jakoby trupy świętych nie rozkładały się. Ani kanonizacja św. Serafina z Sarowa, ciało którego zgniło, ani opinia Synodu nie obaliły owego przesądu, starczy wspomnieć szok w narodzie, wywołany rozłożonymi resztkami świętych w grobach odkrytych przez bolszewików. Ba, sami bolszewicy zewłok swego wodza zabalsamowali i czcili jak *moszczi*.

5.

Z obfitej literatury o Filipie Sołowieckim warto wyróżnić książkę „Święty Filip, metropolita moskiewski" Georgija Fiedotowa, jednego z najwybitniejszych myślicieli rosyjskiej emigracji, którego – słowami ojca Mienia – można nazwać „teologiem kultury" bo jej korzeni szukał w wierze, w intuicyjnym postrzeganiu Realności. Sam Fiedotow objaśnił swoje zainteresowanie żywotami świętych we wstępie do „Świętych Dawnej Rosji" tak: „...w nich nie tylko czcimy niebiańskich opiekunów świętej i grzesznej Rusi, lecz i poszukujemy własnej drogi duchowej, bo jeśli całą kulturę narodu – w ostatecznym rozrachunku – określa jego religia, to w ruskiej świętości odnajdziemy klucz, tłumaczący wiele zjawisk w naszej współczesnej, sekularyzowanej kulturze".

W książce o Filipie Fiedotow rysuje epokę – koniec udzielnej Rusi i krach idei prawosławnego teokratyzmu, narodziny opryczniny i samodzierżawia – ukazując, jak historia się wplata w życie świętego. Filip uchodzi od świata, myśli się skryć, lecz świat go dopada, najpierw w monastyrze, dając mu posoch igumena, potem w Moskwie sadzając na metropolitalny tron. Fiedotow nazywa Filipa *bieglecom*, czyli zbiegiem, nie *borcom* – wojownikiem. Tym większy jest jego *podwig* nie tyle męczeństwa, co odpowiedzialności. „Dla zdobycia tego zaszczytu – mówi Filip do Groźnego – nie używałem ni modłów, ni układów, ni przekupstwa. Sam pozbawiłeś mnie pustelni i braci. Lecz jeśli rękę podnosisz na prawo, dla mnie nastaje czas *podwiga*". A gdzie indziej dodaje: „Moje milczenie kładłoby grzech na Twoją duszę, a ludziom niosłoby śmierć". Filip się nie uchylał od brzemienia odpowiedzialności – im większy ciężar nań spadał, tym donośniej brzmiał jego głos: „Pamiętaj, Gosudar, wszystko co zbierzesz na ziemi, tutaj się ostanie, a na niebiosach dasz słowo o swoim żywocie".

Spór między metropolitą i carem tyczył – w istocie rzeczy – koncepcji ruskiego państwa. Filip był rzecznikiem tak zwanej „symfonii", to jest współwładzy cara i cerkwi, Groźny zaś dążył do jedynowładztwa – konflikt na Rusi nienowy, starczy przypomnieć zatarg Wasyla III z metropolitą Warłaamem, zakończony kazamatą Kamiennego monastyru dla ostatniego. A i później obie strony nieraz się ścierały, nieprzypadkowo Fiedotow sięgnął po żywot św. Filipa niebawem po męczeńskiej śmierci patriarchy Tichona, kiedy Stalin się przymierzał do roli Groźnego. Trudno więc zgodzić się z tymi, co powiadają o ruskiej cerkwi, jakoby zawsze i do końca była uzależniona od władzy świeckiej. To jeszcze jeden stereotyp.

6.

Mładostarczestwo – zjawisko to Aleksij II określił jednym z poważniejszych problemów Ruskiej Cerkwi Prawosławnej na dorocznym zebraniu eparchialnym w Moskwie 23 grudnia ubiegłego roku. *Mładostarcy* – twierdzi Patriarcha – to ludzie, zwykle duchowni, „...krytykujący *Swjaszczienno naczalije* (administrację cerkiewną), aby podbudować w ten sposób własny autorytet. Głoszą przy tym, że jedynym i koniecznym warunkiem zbawienia jest podporządkowanie się im i robią z człowieka robota, który bez błogosławieństwa nie śmie niczego uczynić. *Starcy* ci (trafniej ich zwać *mładostarcami*), nie mając doświadczenia, narzucają osobom świeckim nie okrzepłym duchowo, praktyki odpowiednie dla mnichów". Innymi słowy, to raskolnicy.

Fragmenty wystąpienia Patriarchy publikuje *Russkaja mysl* w artykule „Itogi cerkownogo goda". Przytoczony powyżej kawałek o *mładostarcach* potwierdza moje obserwacje życia religijnego na Wyspach, gdzie klasztor zastępuje wiernym *prichod* (parafię), a monachy – popów. Bracia nie tylko spowiadają świeckich, ale i narzucają im swój obraz życia – reguły ascezy i posłuszeństwa. Stąd mimowolna hipokryzja i cały szereg dewiacji duchowych, na przykład donosicielstwo – żona na męża, syn na ojca, sąsiad na sąsiada zza płota. Parafianie tu żyją w dziwnym rozdwojeniu: z jednej strony świat, w którym przychodzi się borykać z realiami *postkommunisticzeskogo perioda*, a z drugiej – prawidła życia nie z tego świata i permanentne poczucie grzechu. Pokusą od biesa jest telewizja i szminka i spodnie dla kobiet i ziewanie w chramie i seks i mięso w środy i piątki... W

owym morzu pokus nie sposób się samemu rozeznawać (zbytnio się ludzie od Boga oddalili i zapomnieli – co to łaska, co grzech), dlatego ojców duchownych należy słuchać i prosić o błogosławieństwo: i na podróż do miasta i na spodnie w mróz i na mleko w post... Albowiem naszym pierwszym grzechem jest *samost'* – głoszą w monastyrze za Feofanem Zatwornikiem – kiedy człowiek odpadł od Boga i sam na się wziął śmiałość swoje życie urządzać.

7.

Samost' – według prawosławnych autorów – może być zgubą dla piszących, „...to jedna z najpowszechniejszych form grzechu pychy, wyrażającej się w hipertrofii autorskiego samolubstwa" – czytamy we „Wczesnochrześcijańskim ascetyzmie i początkach monaszestwa" Aleksieja Sidorowa.

Mariusz WILK

Wiersze

Janusz SZUBER

MORZA SARGASSOWE

Od czasu do czasu, najczęściej przed
Zmianą pogody, chodzenie *tamtego czegoś* po korytarzyku,
Wyraźny odgłos kroków, skrzypienie desek,
Samootwieranie się drzwi,
Do tego tupoty późnym wieczorem na stryszku
Nad sufitem, drobne, po przekątnej,
Turlanie jakby gałek po blasze – stąd poczucie
Osaczenia, ekscytujące, bo wtedy bardzo
Lubiliśmy się bać i nie było potrzeby
Sprawdzania na barometrze, więc tamten strach
Przed *mającym nadejść*, ów *der Schreck*
O smaku cytrynowej skórki, ścieranej
Tarkiem do kleistego ciasta,
Zanim je wsunięto w rozgrzaną czeluść bratrury,
Czekający od lat na pełne z orzeczeniem zdanie,
Razem z popękaną glazurą kuchennych kafli
Czyli mapą dla ćwiczeń w nawigacji
Przez sargassowe morza.
Tak, to było to.

Janusz SZUBER

Teresa TOMSIA

Urodziłam się w miasteczku przesiedleńców
z okruchów czułości, z jasnego pyłu spojrzeń babci
lepiłam dzieciństwo przy placu Gomułki.

W sercu matki przesypywał się popiół.
Cień dziadka z łagru błądził w wieczornym ogrodzie.
Nawoływał do czuwania, gdy było już za późno
na sny.

A jednak wstawałam radosna,
śpiewałam pieśni, uczyłam się tańczyć.
Słuchałam przypowieści i wierzyłam,
że nie jest za późno.

Włosy matki popieleją coraz bardziej,
a jej ugodzona młodość nie daje się przemienić
w Arkadię.

Teraz wiem, że nic nie może być ocalone,
Nie ma domu nad Odrą. Jest tylko przebiegły czas;
i bardziej od niego przebiegli handlarze;
i sprytniejsi od nich politycy. I moje pytania –
bez odpowiedzi.

Markowi Wittbrotowi

Jeśli są jasne noce, mimo ciemnych dni
i po burzy niebo nasycone błękitem, światłem
łagodnie wnika w nasze oczy
brązowiejąc w nich, tężejąc w obraz, w pamięć,
a ciepły wiatr osusza wilgotne cienie,
które zbłądziły, przytułek znajdując w nas;

jeśli otwiera się jeszcze jedno spojrzenie
w dal, w przestrzeń bez znaku,
chociaż żal po stracie, smutek –

może wtedy nasza podróż nie skończy się jutro,
będzie wciąż istnieć, dłużej od nas trwać.

Teresa TOMSIA

Dziwadło

Region północno-wschodniej Polski, jak każde chyba pogranicze kultur i narodów, obfituje w ludzi niezwykłych, a nikomu nieznanych.

Taką osobą jest też Elżbieta Michalska, 28-letnia mieszkanka Złotoryi – miejscowości położonej przy drodze do Tykocina, gdzie rzeka Supraśl łączy się z Narwią. Ta młoda kobieta, uprawiająca wraz z ojcem małe gospodarstwo, ma wykształcenie zaledwie podstawowe, ale wrodzona wrażliwość na piękno oraz ogromna ilość pochłanianych przez nią książek rozwinęły jej osobowość do granic nie spotykanych w jej środowisku.

Ta „inna" wrażliwość uczyniła ją ogromnie nieszczęśliwą, wyobcowaną i samotną wśród swoich przecież. Tam, gdzie mieszka, postrzegana jest jako dziwadło. Ani sąsiedzi, ani nawet rodzice nie chcą, a może nie potrafią, dostrzec tego co w niej najwartościowsze – jej talentu poetyckiego i malarskiego, bo Michalska także maluje.

Niezamężna, bezdzietna, bez przyjaciół, którzy potrafiliby ją zrozumieć, z lękiem myśli o przyszłości. „Przecież ja nic nie umiem, co będzie kiedy zostanę sama, bez rodziców? – mówi. – A moje wiersze, komu one potrzebne?"

To z samotności rodzi się jej poezja. Pisze o rzeczach

zwykłych, sprawach codziennych, ale niezwykły jest jej sposób odbierania świata i tego, co się wokół niej dzieje. Intuicyjnie potrafiła znaleźć swój styl, w którym często dostrzec można specyficzny – przewrotny, a czasem złośliwy – rodzaj dowcipu.

Te wiersze to jej świat, który tworzy na własny użytek, bo do innego nie ma dostępu. W świecie, w którym żyje – jest jej źle, tego, o którym marzy – boi się.

Czasem posyła swoje wiersze na konkursy poetyckie, ale robi to głównie z myślą o pieniądzach, które najczęściej stanowią nagrodę.

A kiedyś, wracając z konkursu w Białymstoku, spotkałam Małego Księcia – opowiada Elżbieta. – *Na dworze szalała wichura, różę, którą dostali wszyscy finaliści konkursu – w tym i ja – niosłam w ręce i ona tak mi się trzęsła, tak nią wiatr smagał, że zawiązałam na płatkach torebkę foliową. I gdy weszłam do budynku dworca, ludzie tak ze zdziwieniem patrzyli... A to była róża pod kloszem.*

W pewnej chwili przyszli dwaj Rosjanie. I tak właśnie wyobrażam sobie Korowiowa i Behemota z „Mistrza i Małgorzaty" Bułhakowa. Arcykomiczne postacie. Parsknęłam śmiechem i spojrzałam w bok. To samo zauważyłam na twarzy mężczyzny, który siedział obok. Po chwili ów mężczyzna zapytał, co trzymam w ręce? Trzymałam zeszyt z wierszami. Zaczęliśmy czytać wiersze, zaczęliśmy mówić o poezji. A róża leżała cichutko przy nas...

I wywiązała się wspaniała rozmowa, wspaniały dialog, który trwałby może w nieskończoność, gdyby nie to, co kazało Kopciuszkowi biec po schodkach. Mój autobus nadjechał i tak to się skończyło, że nie dałam Małemu Księciu zbiorku swoich wierszy. Może by je przeczytał...

Jest taki wiersz Józefa Barana o tym, że w zaświatach spotkamy tych ludzi, których spotkaliśmy na swojej drodze życia. Ludzi, których mogliśmy poznać, a nie poznaliśmy.

No i ja spotkam też Małego Księcia – tam...

Anna KOWALSKA

Elżbieta MICHALSKA

JACEWICZ

Mijając nieznanego mężczyznę pomyślałam
– on w tej kraciastej marynarce
wygląda jak Jacewicz.
Pierot przebrany za klauna.

Jacewicz nasz stary nauczyciel od języka rosyjskiego
w jakie pogrążył się teraz religie, pojęcia nie mam.
Czy rzępolą mu na skrzypcach mongoloidalne dzieci
kawałki z Czajkowskiego?
A on zasłuchany trzepie rudymi rzęsami
jak kucharka pianę, ich białe kokardy
większe od stronic „Prawdy".

Wieczorem wzdycham leżąc na tapczanie
a oddech mój tak głęboki
że odklejone paski tapety
unoszą się do góry i skręcają w wałki.

Więc minęło dzieciństwo i wielka nadzieja
że pójdę, na pewno pójdę do szkoły plastycznej
i że święty Jura Gagarin z gwiazd
ołówkiem szkicowany, będzie się do mnie śmiał
i mówił bajki które każdy na pamięć zna.

„Była zima, śniegu po szyję,
a ja w łapciach z kory poszedłem do szkoły.
Towarzysz nauczyciel rzecze tak: Jura, nie nadrobisz,
Masz zbyt duże zaległości. Za górami, za lasami
Nie ma dla ciebie szkoły. Tobie i w dzierewni
Chleba nie zabraknie..."

Jacewicz, kilka razy do roku
Zmontowanie gazetki ściennej w moje ręce składał.
Byłam w siódmym niebie, przypinając rysunki.
Co chwila wołał „Znowu krzywo. Teraz już prosto.
Ty Ela to masz talent, ale co ci po nim nie wiem?"

CZERWONY GOŹDZIK

A z czym skojarzyć wolno czerwony goździk
Rosnący na mogile nieznanego,
Co został przez leśnych zabity
Którejś wojennej wiosny, albo jesieni.
Myśleli, że to ktoś inny
I tak im się jakoś wystrzeliło w plecy
I leży samotny, nieznany, przy polnej drodze.
Obok ani żadnych ciał, ani kości.
Krzyż dostał w spadku,
Wzięty spod muru cmentarza.
Leży cicho, bez pretensji do granitu
Albo kutych liter
Więc może ze względu na przedziwną ciszę
Czerwony goździk warto porównać
Do rozwiszczanej królewny,
Wyrzuconej przez zbójców na bezludną wyspę.
Sama! – „Na otarcie łez
Nie zostawili nawet puderniczki, dranie."

Elżbieta MICHALSKA

Archiwum polityczne

Trudne sąsiedztwo

Poland in focus! – z pomocą tak sformułowanej po angielsku dewizy postanowił rząd premiera Perssona zintensyfikować w roku bieżącym szwedzko-polską współpracę. W istocie czas już najwyższy, aby stosunki między Polską i Szwecją osiągnęły normę sąsiedzką. Choć bowiem nie istnieją kwestie sporne na szczeblu rządów tych dwóch krajów[1], to jednak kontakty między ich społeczeństwami są nader ograniczone, a współpraca gospodarcza wyraźnie kuleje. Według danych *Polish Investment Agency* bezpośrednie inwestycje zagraniczne w naszym kraju przedstawiają się (w milionach USD) następująco:

	do czerwca 1998	planowane
1. USA –	4.696	3.338
2. Niemcy –	3.230	1.837
3. Firmy multinarodowe	1.896	751
4. Włochy	1.865	1.091
5. Francja	1.845	1.560
6. Wielka Brytania	1.767	641

1. Wbrew twierdzeniom niektórych komentatorów sprawa posiadającego szwedzkie obywatelstwo emerytowanego bibliotekarza z Uppsali, Stefana Michnika, nie ma żadnego znaczenia dla stosunków polsko-szwedzkich. Ewentualne żądanie jego ekstradycji byłoby bezprzedmiotowe, gdyż obywatel szwedzki może być wydany jedynie aparatowi sprawiedliwości innego państwa nordyckiego. W każdym innym wypadku odpowiadać może tylko przed sądem szwedzkim, naturalnie o ile zachodzi ewentualność przedawnienia.

7. Korea Południowa	1.272	416
8. Holandia	1.163	365
9. Rosja	834	826
10. Austria	759	174
11. Szwecja	619	176

Za dość szokujący należy uznać fakt, że nawet mała Holandia czy Austria zainwestowały w Polsce większe sumy niż sąsiednia Szwecja, mająca – w stosunku do swej wielkości – wyjątkowo dużo firm potężnych, działających w skali globalnej i wiodących technologicznie na świecie. Uderzająca jest zwłaszcza różnica między zaangażowaniem szwedzkiego businessu w Polsce i w maleńkim Balticum (głównie w Estonii, ale i na Litwie wysforowała się ostatnio Szwecja na pierwsze miejsce wśród bezpośrednich inwestorów zagranicznych, wyprzedzając Niemcy i USA). Ponadto na rynku szwedzkim z największą trudnością znaleźć można jakikolwiek polski produkt konsumpcyjny, a turyści szwedzcy wybierają się do Polski niechętnie i rzadko. Jakie są przyczyny tego stanu rzeczy?

Bardzo nam życzliwy szwedzki minister handlu, Leif Pagrotsky – którego żydowscy przodkowie wyemigrowali z Polski w połowie ubiegłego wieku – uważa, iż przyczyny te są głównie natury kulturowej; w jednym z ostatnich wywiadów prasowych mówił wręcz o przesądach i niewiedzy (*Finanstidningen* 18 II 99). Winą za ten stan rzeczy można zresztą obarczyć obie strony, ale – za przykładem niektórych szwedzkich publicystów – trzeba stwierdzić, że po stronie szwedzkiej jest więcej przesądów, po stronie polskiej – więcej niewiedzy.

Dla Polaków jest Szwecja krajem dość mitycznym, podawanym za przykład rzekomo dominujących sympatii prokomunistycznych, a w każdym razie lewicowego rozwydrzenia i nadmiernej opiekuńczości państwa. Jednakże stereotyp szwedzkiego *welfare state*'u już dawno nie ma pokrycia w rzeczywistości, a szwedzki pracobiorca od lat nie może nawet marzyć o tych przywilejach, które są udziałem np. jego niemieckiego kolegi. Dziś jest Szwecja krajem najniższej w Europie inflacji, budżetowej nadwyżki i wyjątkowo

niskich płac realnych[2]. Po reformie systemu emerytalnego, posiadanie dodatkowego, prywatnego ubezpieczenia stało się w Szwecji koniecznością, a gdyby – co *expressis verbis* stwierdzała prasa niemiecka – wprowadzono w ich kraju szwedzkie ograniczenia w ubezpieczeniu chorobowym, to Niemcy zostałyby sparaliżowane strajkiem generalnym (za pierwszy dzień choroby szwedzki pracobiorca nie dostaje ani grosza, za następne – tylko 80% poborów; przy niskich pensjach i najwyższych w Europie czynszach mieszkaniowych nawet grypa staje się finansowym problemem). Oskarżanie szwedzkich socjaldemokratów o sympatie prokomunistyczne jest szczególnym absurdem, gdyż właśnie oni traktowali śmiertelnie poważnie zagrożenie sowieckiego komunizmu. Oprócz normalnego kontrwywiadu wojskowego i cywilnej policji bezpieczeństwa, zbudowali jeszcze – wręcz unikalną w skali światowej – siatkę wewnętrznego wywiadu antykomunistycznego, opartego o socjaldemokratyczne związki zawodowe (jej informatorami z urzędu byli m.in. związkowi mężowie zaufania w zakładach pracy, a ochotniczo rolę tę pełnili nawet intelektualiści publicznie znani z bardzo „lewicowych" poglądów). Dziś wiadomo także, że cała szwedzka neutralność była humbugiem. Już w czasach stalinowskich zakładano, że w wypadku pierwszego sygnału o rozpoczęciu wojny przez Związek Sowiecki, uzbrojone w broń jądrową bombowce amerykańskie B47 miały startować z baz na Islandii i przelatywać nad terytorium Szwecji oraz Bałtykiem, aby z dużej wysokości niszczyć cele na terytorium Paktu Warszawskiego. Szwedzki samolot wywiadowczy DC3, zestrzelony przez Rosjan 13 czerwca 1952, wykonywał *de facto* pomiary dla potrzeb przyszłych rajdów bombowców amerykańskich. Przesłuchiwany latem 1998 przez komisję badającą szwedzką politykę pozornej neutralności Thede Palm, w latach 1946-65 dyrektor Biura T (jak wówczas nazywał się

2. W latach 90-tych szwedzka produkcja przemysłowa wzrosła aż o 43% (a więc czterokrotnie więcej niż przeciętna Unii Europejskiej). Płace realne jednak nie wzrosły, a zatrudnienie zmniejszyło się o 18%. Można więc powiedzieć, że coraz mniejsza liczba zatrudnionych w szwedzkim przemyśle produkuje coraz więcej towarów, otrzymując za swoją pracę wynagrodzenie niższe niż u konkurentów. Średni roczny dochód szwedzkiego pracobiorcy wynosi 204.033 SEK, szwajcarskiego – 343.777 SEK, duńskiego 255.339 SEK.

szwedzki wywiad ofensywy) podał szereg przykładów ścisłej współpracy służb szwedzkich i amerykańskich, ze wspólnym planowaniem akcji dywersyjnych włącznie. Natomiast były wysoki urzędnik rządowy, Sverker Åström przyznał, iż polityka neutralności była głównie grą dla własnego społeczeństwa, przygotowywanego do tzw. obrony totalnej: zgoda na bardzo wysokie wydatki i wola obrony byłyby mniej powszechne, gdyby społeczeństwo to wiedziało, iż neutralność kraju jest jedynie pozorna. To zresztą tylko kilka przykładów z całego szeregu znanych faktów, kwestionujących obraz „czerwonej Szwecji", nadal upowszechniany przez polską prasę.

Warto zauważyć, że także w kwestiach gospodarczych i technicznych polskie media – z chwalebnym wyjątkiem *Polityki* – prezentują obraz Szwecji dość daleki od rzeczywistości; przykładem może być zawierająca liczne błędy nota, jaką tygodnik *Wprost* (31 I 99) opatrzył wywiad z P. Barnevikiem[3].

W społeczeństwie szwedzkim ciągle pokutuje szereg przesądów na temat naszego kraju, kojarzonego z reguły z kopalniami, ciężkim przemysłem i „ekologiczną pustynią". Przeciętny Szwed widzi Polskę jako coś w rodzaju czwartej

3. Aby nie być gołosłownym, wymieńmy kilka najbardziej rażących błędów. Investor nie jest – jak podał tygodnik *Wprost* – holdingiem, „w skład którego wchodzą m.in. Ericsson, Electrolux, Scania, SAS i Astra", ale klasyczną *investment company*, w której Fundacja Wallenbergów posiada pakiet większościowy (*ca* 23% akcji). Sam Investor nie zawsze jest głównym właścicielem w/w firm, np. większość akcji Ericssona znajduje się w rękach różnych funduszy emerytalnych, a w nowym kolosie farmaceutycznym Astra-Zeneca będzie Investor posiadać 5% akcji. Różnice zdań i napięcie na linii Peter Wallenberg – Percy Barnevik znane są nie tylko wtajemniczonym, ale opisywane były w branżowej prasie. Nadmierne zaangażowanie ABB na tzw. *emerging markets*, zwłaszcza w Rosji, spowodowało, iż Percy Barnevik przestał być dyrektorem tej korporacji (nowy dyrektor, Göran Lindahl nie zalicza się do entuzjastów Europy Wschodniej); natomiast nowy dyrektor firmy Investor, 42-letni Marcus Wallenberg ma dokładnie przyglądać się Barnevikowi. No i nie Volvo chciało kupić Fiata, ale Fiat – Volvo, o czym powinien wiedzieć nawet każdy zwykły czytelnik codziennej prasy polskiej. Kompetentne dziennikarstwo ekonomiczne wymaga jednak umiejętności wyższego rzędu niż np. pisywanie sensacyjnych artykułów, z jakich zasłynął tygodnik *Wprost*.

republiki bałtyckiej, tyle tylko że większej i słowiańskiej, co nie może wywoływać pozytywnych asocjacji (o ile np. Niemcy odróżniają *slawisch* od *sklavisch*, o tyle w języku szwedzkim przymiotnik *slavisk* ma ciągle dwa znaczenia: 1) słowiański; 2) niewolniczy). Szwedzi, według różnych badań najbardziej ahistoryczny naród Europy, nie mają oczywiście pojęcia o przeszłości Polski, ale pamięć o naszym *liberum veto* przetrwała w języku szwedzkim jako idiom *polsk riksdag*, tłumaczony w słownikach: „burzliwe zgromadzenie, nie mogące podjąć żadnej decyzji". Wśród szwedzkiej inteligencji pewną popularność zdobyło dwóch polskich pisarzy (H. Krall i R. Kapuściński), bardzo nieliczni koneserzy cenią też S. Mrożka i W. Gombrowicza, ale nie zmienia to faktu, że można ukończyć szwedzkie gimnazjum i nie znać żadnego polskiego autora, gdyż w programie nie ma nawet polskich laureatów literackiej nagrody Nobla. W języku szwedzkim nie ma żadnych ustalonych reguł transkrypcji polskich wyrazów, choć reguły takie istnieją nawet w odniesieniu do chińskiego – zakochany w Polsce dziennikarz K.A. Abrahamson widzi w tym jeszcze jeden dowód bardzo słabego rozwoju szwedzko-polskich stosunków. Wbrew mitom tworzonym przez niektórych polskich publicystów, wcale liczna Polonia nie zdobyła w Szwecji liczącej się pozycji. Polacy – w przeciwieństwie do innych grup imigranckich – nie mają w szwedzkim parlamencie żadnego swojego posła! Mimo dużych zdolności asymilacyjnych i dobrego na ogół wykształcenia dotknięci są też w poważnym stopniu bezrobociem (np. w Malmö pracy nie ma co trzeci osiedlony tam Polak). Największe jednak znaczenie ma fakt, iż wśród wyższej kadry wielkich szwedzkich firm bezskutecznie poszukiwalibyśmy naszych rodaków. Każdego lata mają też Szwedzi problemy z polskimi zbieraczami jagód (oszuści zwabiający ich do tej pracy każą wpierw odpracować koszty podróży i zakwaterowania, zmuszając wręcz w ten sposób do kradzieży żywności), a ponieważ polscy przestępcy: przemytnicy amfetaminy i złodzieje samochodów też Szwecji nie unikają, podejrzliwość szwedzkich służb granicznych uderza rykoszetem w przybywających w interesach polskich businessmenów. Branżowa prasa szwedzka już kilkakrotnie pisała o upokarzającym traktowaniu Polaków, zwłaszcza przez

policję graniczną w Malmö. Wymaga ona od Polaków na dzień pobytu minimum 500 SEK gotówką, gdyż ciągle nie mieści jej się w głowie, że Polacy również mogą posiadać konta i karty kredytowe. Praktyki te, napiętnowane także przez Izbę Handlową Południowej Szwecji (Sydsvenska Handelskammaren), najlepiej chyba świadczą jaka przepaść ciągle dzieli odświętne deklaracje ministrów i wysokich polityków od trywialnej *praxis* dnia codziennego. – *Poland is a very important neighbor to Sweden* – mówi premier Persson, a policja nadal rewiduje, wytrząsa polskie portfele i często odsyła z powrotem.

Wśród przesądów, o których mówił Polsce minister Leif Pagrotsky wymienić też trzeba bardzo głęboką podejrzliwość Szwedów wobec polskiej prawicy. Cecha ta występuje zasadniczo w całym szwedzkim społeczeństwie, ale szczególnie silna jest wśród elit, a zwłaszcza wśród... prawicy. Choć szwedzcy socjaldemokraci ze zgrozą czytają doniesienia o wystąpieniach księży typu Rydzyka i Jankowskiego, o poglądach ministra Kapery na prezerwatywy czy o pielgrzymce trzech mołojców polskiej prawicy do Pinocheta, to jednak w gruncie rzeczy są to dla nich polskie sprawy. Ponadto socjaldemokraci sami są partią silnie związaną ze związkami zawodowymi i choć potrafią sobie z nimi radzić, to jednak łatwiej rozumieją, że ruch związkowy czasami stwarza kłopoty. Natomiast szwedzka prawica – z natury rzeczy związana z wielkim businessem, kapitałem i organizacją pracodawców – znacznie ostrzej ocenia Polskę, rządzoną w dużym stopniu przez związki zawodowe. To właśnie szwedzka prasa prawicowa najkrytyczniej oceniła AWS przy okazji wyborów parlamentarnych we wrześniu 1997, widząc największą szansę dla Polski w rządach koalicji SLD-UW, „naturalnie z legendarnym Balcerowiczem jako premierem". To korespondent *Svenska Dagbladet*, Tomas Lundin, przestrzegał przed wywodzącą się z ruchu związkowego AWS, jej nacjonalizmem, sceptycyzmem wobec Unii Europejskiej, niechęcią do prywatyzacji, nieufnością wobec kapitału zagranicznego. A czołowy publicysta polityczny *Finanstiningen*, Martin Ådahl bił na alarm w artykule zatytułowanym „Prawica w polskich wyborach budzi

przerażenie Rynku"[4]. Także i dzisiaj prasa prawicowa ostrzej ocenia brak konsekwencji rządu Jerzego Buzka, uległość wobec związkowych grup nacisku, opóźnienia prywatyzacji, ciągłe subwencjonowanie przemysłowych „dinozaurów", szybki wzrost długów polskich przedsiębiorstw państwowych etc.

Istnieje wreszcie jeszcze jedna polska cecha, niezrozumiała dla mentalności szwedzkiej – egzotyczna i groźna; jest nią polskie zapatrzenie w przeszłość, ten wielokrotnie opisywany fakt, iż drogowskazów na przyszłość Polacy zawsze szukają w historii. Nie jest przedmiotem niniejszego artykułu rozstrzyganie, jaki system kształcenia jest lepszy: czy polski, który każdemu Polakowi daje niezłą znajomość historii, czy szwedzki, który historię prawie ze szkół usunął, ale którego efektem jest to, że każdy młody Szwed swobodnie czyta i sprawnie mówi po angielsku oraz dysponuje wysokimi umiejętnościami komputerowymi. Interesuje nas tylko konstatacja faktu, że owa szczególna „historyczność" Polaków odbierana jest jako obciążenie. Dobrą ilustracją może być sam tytuł artykułu, jaki niedawno ukazał się w *Dagens Nyheter*: „Polacy opętani przeszłością" (*DN*, 29 XI 98); jego autor wpierw dziwi się olbrzymiej ilości książek historycznych w księgarniach Warszawy oraz niezrozumiałemu uporowi, z jakim Polacy chcą po dziesięciu latach przeprowadzić tzw. lustrację (której wiarygodność szwedzki dziennikarz kwestionuje), a następnie stwierdza, iż odnosi się wręcz wrażenie, jak gdyby nieustanne grzebanie w przeszłości utrudniało temu narodowi spojrzenie w przyszłość i zmierzenie się z jej wyzwaniami.

4. Prasa polska nie poinformowała naturalnie swoich czytelników o nader krytycznym stanowisku skandynawskich mediów wobec polskiej prawicy, Mariana Krzaklewskiego i przewidywanych wielkich trudności (które się zresztą sprawdziły) we współpracy AWS i UW. Coś jednak chyba na ten temat do Polski dotarło, skoro jeden z biskupów wyraził na łamach *Plus Minus* (tygodniowy dodatek do dziennika *Rzeczpospolita*) swoje zdziwienie stanowiskiem „popołudniówek w Oslo". Hierarcha ten nieco minął się z prawdą (miejmy nadzieję, że nieświadomie), gdyż nie chodziło o popołudniówki, ale o najpoważniejsze dzienniki, np. w Szwecji o *Svenska Dagbladet, Dagens Nyheter, Dagens Industri* i *Finanstidningen*.

Przybywający do Szwecji z jednodobową, zaplanowaną na 16/17 lutego (a później nawet trochę skróconą) wizytą, premier Buzek zdawał sobie sprawę, że stosunki polsko-szwedzkie ograniczają się głównie do pozytywnych frazesów polityków. W krótkim wywiadzie, jaki jeszcze przed samą wizytą zamieściła szwedzka prasa, polski premier zręcznie dał do zrozumienia, że oprócz retoryki chętnie widziałby także większą wartość szwedzkich inwestycji, poważniejszy napływ szwedzkich turystów i zwiększenie polskiego eksportu do Szwecji. Całkiem rozsądnie odmówił też spekulacji na temat możliwości zakupu przez polskie lotnictwo wojskowych szwedzkich samolotów: Rosjanie będą przystosowywać nam samoloty MiG 29 do standardów NATO, Polska podjęła już pewne decyzje o leasingu wysłużonych maszyn zachodnich (czy były to decyzje trafne, to temat do którego powrócimy w *Kulturze*), a decyzja o zakupie przez biedną Polskę samolotów wielozadaniowych to pieśń przyszłości. Wielkie brawa należą się też polskiemu premierowi, że stwierdził otwarcie, iż ewentualne decyzje polskich zakupów warunkowane będą przede wszystkim wysokością i atrakcyjnością tzw. *offsetu* czyli zakupów i inwestycji rewanżowych. Tak właśnie należy stawiać sprawę, gdyż rynek broni jest dziś klasycznym rynkiem nabywcy, którego wymagania mogą być znaczne. Zresztą w słowach Jerzy Buzek zawsze wypada znakomicie, gorzej jest tylko z czynami, ale trzeba pamiętać iż swoboda decyzji obecnego premiera jest dość ograniczona przez osoby z jego własnej partii.

Czy jednak wizyta premiera Buzka przyczyniła się do tej postulowanej zmiany we wzajemnym postrzeganiu Szwedów i Polaków, do przezwyciężenia owej niewiedzy i przesądów, o jakich mówił wspomniany powyżej minister Leif Pagrotsky? Odpowiedź na to pytanie musi być przecząca. Szwedzcy gospodarze rozumieli wprawdzie, że polski premier musi być obecny na sesji sejmu ratyfikującej wejście jego kraju do NATO („Czekaliśmy na to 54 lata" – powiedział Jerzy Buzek), ale jednak z pewnym rozczarowaniem odebrali fakt, że gość ich wpadł do Sztokholmu niczym po ogień. Niezbyt imponująca delegacja szwedzkich businessmenów uprzejmie wysłuchała ministra Steinhoffa i na pewno podzieliła jego

zdanie o atrakcyjności prywatyzowanej Telekomunikacji Polskiej SA (ostatecznie telekomunikacja jest zawsze łakomym kąskiem, co widzieliśmy nawet w tak małym kraju jak Estonia) i zapamiętała jego wypowiedź o możliwości związania złotówki z euro, „choć w dalszej przyszłości" (estońska waluta, która była sztywno oparta o markę: 8 koron = 1 DEM, już dziś jest z euro związana). Leif Johansson, szef przestającego właśnie być szwedzką własnością Volvo (pion samochodów osobowych został już sprzedany Fordowi), twierdził z zapałem, że jakość produkcji jego firmy we Wrocławiu nie ustępuje jakości wyrobów szwedzkich. Nadmieńmy przy okazji, iż ważne jest, że Volvo i Skanska już Polskę odkryły, ale dla przełomu w gospodarczych stosunkach szwedzko-polskich konieczne jest, aby również uczyniły to firmy imperium Wallenbergów i na nich to powinna się koncentrować „polska ofensywa". W przeciwieństwie do poprzednich wizyt polityków polskich w Szwecji udział Jerzego Buzka w seminarium „Poland in focus 1999" w Rosenbad był imprezą udaną, ale jedna jaskółka wiosny nie czyni. Na szczęście Göran Persson zdaje sobie sprawę, że Szwecja nie może odgrywać wiodącej roli w rejonie Bałtyku (a więc w gospodarczo najszybciej rozwijającym się regionie Europy!) bez poprawy swoich stosunków z Polską. Tegoroczne *Sweden Days* mają się odbyć w dziewięciu różnych miastach Polski, a ambicją premiera Perssona jest, aby w roku bieżącym doszło do spotkań roboczych wszystkich szwedzkich ministrów z ich polskimi kolegami i aby kontakty między tymi dwoma sąsiedzkimi krajami odbywały się nie tylko na politycznej linii Sztokholm-Warszawa, ale zwłaszcza na szczeblu regionalnym. Oczywiście realizacja ambitnych planów premiera Perssona zależy nie tylko od szwedzkiej woli. Ważne jest także, aby zaplanowana na początek maja wizyta w Szwecji prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego była rzeczywiście dobrze przygotowana i zatarła fatalne wrażenie wizyty jego poprzednika. Wreszcie, po raz pierwszy w okresie powojennym, zarysowują się duże szanse na przezwyciężenie tej wzajemnej niewiedzy i przesądów, które tak poważnym cieniem kładły się na dotychczasowych stosunkach szwedzko-polskich.

Stefan ABNER

Odpowiedź

Z zainteresowaniem czytałem uwagi p. Pomianowskiego o mojej recenzji z książki Michała Hellera „History of the Russian Empire" (jedno i drugie ukazało się w *Kulturze* w grudniu 1998), uważam jednak, że w dużej mierze nie są one tu istotne.

P. Pomianowski jest pod mylnym wrażeniem, że moje krytyczne uwagi o książce Hellera są spowodowane tym, że używał on w swej pracy innej metody niż ja w mojej książce „Russia under the Old Regime" (przetłumaczonej na polski jako „Rosja carów"). „Sądząc zatem Hellera – pisze Pomianowski – prof. Pipes broni w istocie wyłączności własnej metody". Zarzut ten jest całkowicie bezpodstawny. Po pierwsze, nie krytykowałem w mojej recenzji p. Hellera za to, że raczej opisuje niż analizuje historię, tylko dlatego, że w tej opisowej historii podkreśla w przestarzały sposób rolę władców i wojen, niemal zupełnie ignorując sprawy społeczne i opinię publiczną. Poza tym, „Rosja carów" jest wyjątkiem wśród moich 15 książek, które wszystkie były pisane stylem narracyjnym.

Po drugie, p. Pomianowski poświęca większość swoich uwag sprawie rozszerzenia NATO i rosyjskiemu imperializmowi. Mam zdecydowaną opinię jeśli chodzi o oba te tematy. Ponieważ jednak nawet nie wspomniałem o nich w mojej recenzji z książki Hellera, trudno mi zrozumieć dlaczego p. Pomianowski uważał za potrzebne poruszenie ich w swojej wypowiedzi.

Richard PIPES

Replika

Największą, ale samotną zaletą wypowiedzi prof. Richarda Pipesa jest jej zwięzłość. Zwięzłość nadaje zwykle twierdzeniom cechę kategorycznej jasności. Żałuję, że nie widać jasno, jakie ma podstawy Pipes do swoich kategorycznych twierdzeń w obu punktach, jakim poświęca uwagę.

1. Trzeba było przeciwstawić „Historii" Hellera właśnie „Rosję carów" Pipesa z powodu nader prostego: wśród jego 15 książek tylko ona obejmuje całość dziejów Rosji i dlatego tylko ona mogła być tutaj punktem odniesienia dla porównań. Taki wybór nakazywała też lojalność: „Russia under the Old Regime" broni się najlepiej ze wszystkich dzieł uczonego, jest niejako koroną jego twórczości. Stąd tak znaczna jej popularność w świecie. Ale u nas trafiła na zły moment. To dzieło, cóż za paradoks, jest istną ideą platońską materializmu historycznego; wymownie ilustruje decydujące, niemal wyłączne działanie stosunków własnościowych na ustrój i losy państwa. Dlatego nie jest dla czytelnika w naszej części świata szczególnym *novum*. Mimo swego poziomu, coś nam co krok przypomina. Przez kilkadziesiąt lat oficjalne podręczniki w Centrali i w Obozie próbowały przekonać czytelników, że wahania cen ziarna na odeskiej giełdzie decydowały o melancholijnym tonie liryki Lermontowa i że wpływ jednostki (poza jedną) na bieg historii jest znikomy. Staroświecka książka Hellera obiecywała haust zwykłego powietrza po długim zabiegu, który Mrożek nazwał n a u k ą o d d y c h a n i a p o d w o d ą.

Nie tylko w Rosji te ćwiczenia uprawiano. Alain Besançon zaczyna w *Figaro* omówienie „Historii imperium rosyjskiego" od stwierdzenia, że „...teraz już nic nie usprawiedliwi powtarzania głupstw o Rosji" i przypomina, że ostatnia solidna książka o historii tego kraju wyszła po francusku w roku 1900, „gdy trzeba było za wszelką cenę utrwalać sojusz franko-rosyjski".

To prawda, że Heller nie przytacza zbyt wielu przykładów wpływu na dzieje Rosji osób nie koronowanych i nie mających dostępu do władzy. Ale to właśnie prof. Pipes z przykładną ścisłością wykazał, że w Rosji wpływ innych figur był skutecznie udaremniany. Buntownicy z reguły podawali się za dynastów: nawet Pugaczow kazał brać się za Piotra III-go, co niewiele mu pomogło. W Niemczech zaś 95 tez o procederze wykupywania się od pokuty za grzechy, wywieszonych w 1517 r. na wrotach kościelnych przez pewnego zakonnika z górniczej rodziny, wpłynęło dość wydatnie na losy społeczeństwa i podział władzy w tym kraju, a nawet w całym świecie.

Co dziwi u prof. Pipesa, to zarzut ignorowania przez Hellera roli opinii publicznej w Rosji carskiej. Oczywiście, trzeba uznać za głos opinii jęki tysięcy obywateli Nowogrodu Wielkiego, topionych w studniach przez Iwanów – III-go i IV-go, a także wycie starowierów, płonących w swoich cerkwiach, bo nie chcieli uznać reformy Nikona. Ale o jakimkolwiek wpływie takich głosów na politykę władzy i zmianę jej stosunku do poddanych nasz historyk nie wspomina. Za naczelne cechy rosyjskiej opinii uważa bezradność i wymuszoną bierność. Przypomnijmy jego własne, podstawowe pytanie: „Dlaczego w Rosji, w odróżnieniu od całej Europy (...) społeczeństwo okazało się niezdolne do okiełznania władzy politycznej za pośrednictwem jakichkolwiek poważnych ograniczeń?"

Gladstone mawiał, że także barbarzyńcy mają przywódców, ale tylko narody cywilizowane mają przywódców opozycji. Rosjan nie brano za barbarzyńców, gdy pokonali Kawalerów Mieczowych i Tatarów, tym bardziej – gdy mieli już Awwakuma i Łomonosowa, Łobaczewskiego i Puszkina, Mendelejewa i Dostojewskiego. Ale jeszcze w XX wieku nie mieli ani przywódców uznanej opozycji, ani prawa do głoszenia poglądów niezgodnych z poglądami władzy. Nie mieli zatem o p i n i i p u b l i c z n e j. Nie mieli terenu dla swobodnej konfrontacji swoich dążeń i programów z projektami władzy. Dawne sobory Rusi Moskiewskiej nazywa prof. Pipes „naradami rządu z własnymi agentami", ma rację.

Trybuną publicznej, legalnej konfrontacji stała się dopiero Duma. Inaczej mówiąc, z opinią publiczną władza w

Rosji musiała się liczyć i jej wpływ uwzględniać w swoich działanich dopiero od października 1905 r. Heller pisze o tym tyle, ile trzeba. Nie przecenia wpływu tych debat na bliski już rok 1917, bo wie że rewolucję lutową wywołała nie ofensywa idei, lecz klęska na froncie, zaś przewrót październikowy nie był dziełem natchnionych mas, lecz zamachem stanu i zamknął gębę opinii publicznej.

Inna jej trybuna naturalna, prasa, od późnych początków pilnowana była w Rosji przez kapryśną i niezdarną cenzurę. Nie tyle ona ograniczała zasięg słowa i myśli, lecz największy w Europie odsetek analfabetów. Na emigracji mogły swobodnie rodzić się projekty i teorie, owszem, ale z miernym, przyznajmy, skutkiem przedzierały się przez szczelne granice na Wschód. Przebijały się przez mury tylko głosy gromkie, więc skrajne. To niemożność otwartego szerzenia własnych idei usprawiedliwiała akcje tajne i zbrojne. Ale z drugiej strony – przyczyniła się do niebywałego *prestige*'u i – tak jest – rozkwitu rosyjskiej literatury. Pipes cytuje z arcysłusznym uznaniem protest Czechowa przeciw „wplątaniu kazań do literatury". To ona jednak stała się miejscem prawdziwych narodzin rosyjskiej opinii publicznej.

Wywołała go rosyjska inteligencja. Przypomnę, że Pipes widzi w niej jedyną warstwę zainteresowaną zmianami ustrojowymi. W roku 1900 wychodziło w Rosji koło 1000 periodyków. Ci, którzy je czytali, mieli jednak zarówno na ośrodki władzy, jak na rzesze wpływ minimalny, bo w istocie ograniczony do własnego kręgu. Z tym wszytkim, obfitość talentów i obecność fenomenu – rosyjskiej inteligencji – sprawiły, że literatura stała się i substytutem, i przekładnią ruchu społecznego. Była – obok uniwersytetów – jedynym o t w a r t y m polem, gdzie mogły ujawnić się tendencje, potrzebne po to, aby tłum stawał się społeczeństwem. Są to sprawy na tyle znane, że zdumienie budzi pretensja do Hellera, że ten kładzie „większy nacisk na literaturę, niż to, co Rosjanie nazywali *obszczestwiennoje dwiżenije*, czyli opinią publiczną.".

Powszechne obowiązkowe nauczanie wprowadziła dopiero władza sowiecka. Sobie na pohybel, owszem, ale jej poddani, wszyscy z grubsza, nauczyli się jednak czytać i pisać.

Po drodze dowiedzieli się, że Zachód trzeba dopiero doścignąć i prześcignąć. Prowadziło to do wniosku, że widać nie ma on powodu dybać na kraj uboższy, choć propaganda mówiła co innego. Gdy głoszone przez nią nonsensa stały się nieznośnie sprzeczne z rzeczywistością, odezwali się pierwsi ci, co znali nieprzypadkowe powody złego stanu rzeczy i światobójcze plany zaradcze, snute przez władzę. Byli to inteligenci, uczeni władający piórem, jak Sacharow, publicyści, obdarzeni wiedzą – historyczną, jak Amalryk, filologiczną, jak Siniawskij, pisarze z bożej łaski, jak Sołżenicyn, Szałamow, Władimow, Gorbaniewska, Galicz, Aksjonow, Maksimow, Niekrasow i tylu innych. Do wszystkich pasował wyróżnik inteligenta, sformułowany przez Pipesa – gotowość bezinteresownego oddania się sprawom publicznym i wszyscy też zapłacili za to niemałą cenę. To z ich inicjatywy poczęła się w Rosji nowoczesna, autentyczna opinia publiczna. Gdy tylko hasło głasnosti dało temu ruchowi szansę, owa opinia zaczęła na publiczność wywierać rzeczywisty wpływ. Ależ tak, nie był to strumień jednorodny i znaczna jego część obróciła się pod prąd; to naturalne. Ale nurt główny nie tym się wyróżnia, iż jest najstarszy, lecz tym, że nie zbacza z drogi. Otóż tacy, jak Galina Starowojtowa i Michał Heller należeli do tych nielicznych, lecz najważniejszych dla swojej ojczyzny ludzi, którzy wiedzieli, że znajomość historii potrzebna jest głównie po to, aby unikać jej powtórki.

Szczególna wartość książki Hellera na tym polega, że napisał ją rosyjski inteligent znający rzecz od środka, od bebechów, człowiek, który z samego dna wyrwał się na sam środek głównego nurtu rosyjskiej odnowy, trudnej, ale wciąż możliwej.

2. Z drugim członem pisma prof. Pipesa polemizować jest niezręcznie, bo sprowadza się do podwójnego uniku.

Pipes nie rozumie, jak można przy okazji omówienia dzieła o historii Rosji snuć rozważania, dotyczące współczesności, tj. dalszego ciągu owej historii. Daje więc do zrozumienia, że albo ma historię za dyscyplinę abstrakcyjną, albo też, że uważa za bezużyteczną i czczą własną funkcję doradcy najwyższych władz Stanów Zjednoczonych. Powołaniu do jej pełnienia właśnie dla tego, że jego świetna znajomość dziejowych perypetii pozwalała politykom unikać starych pułapek

na nowej, współczesnej drodze. Wolno sądzić, że został ekspertem sztabu zimnej wojny z ZSSR ponieważ w swoich książkach o dziejach Rosji utrzymuje, iż są one raz na zawsze zdeterminowane, poddane prawu powtarzalności, a więc ich ciąg dalszy, współczesny jest dla polityków łatwiejszy do przewidzenia.

Wyznam, że nie jestem do tych twierdzeń przekonany. Nie uważam, aby los Rosji był przesądzony, a dawne własnościowe stosunki i ustrojowe tradycje przetrwały sowiecką pierekowkę – i wciąż czekam, aby prof. Pipes obalił tę tezę już znaną i jemu, czytelnikom. Nie uważam historii za dyscyplinę oderwaną od współczesności i bezużyteczną dla polityki, choć zakładam, że jest to złudzenie dyletanta. Nie uważam zwłaszcza działalności prof. Pipesa na stanowisku doradcy Reagana i Busha za czczą i bezużyteczną. Dała wyniki godne podziwu i sama przez się jest dowodem 101 pożytków ze studium historii.

Dlatego uważam za unik zarówno twierdzenia Pipesa, że jego poglądy na imperializm rosyjski i kwestię NATO są niezmienne i ustalone, jak uchylenie się przezeń od dyskusji na temat poszerzenia Sojuszu Atlantyckiego. Wiadomo, że został przeciwnikiem tego procesu, twierdząc, że wzmocni on siły przeciwne liberalizacji i demokracji Rosji. Nie słyszałem, aby zmienił zdanie, gdy okazało się, że pojęcie liberalizmu gospodarczego zohydził w oczach Rosjan krach finansowy (przez całkiem nieliberalne siły, doktryny i praktyki wywołany), zaś hasła demokracji i wolnych wyborów z entuzjazmem popierają czerwoni i czarni imperialiści, licząc na wyborczy sukces w majestacie prawa. Ten sukces jest więcej, niż możliwy i nic by się tu nie zmieniło, gdyby NATO posłuchało prof. Pipesa przed dniem 12 marca 1999 roku, kiedy Polska stała się członkiem sojuszu.

Straszenie Rosją wydaje się dziś dziwactwem – ale właśnie dlatego jest czas, aby zabrali głos nie wojacy, tylko politolodzy.

Zabrakło nam głosu profesora gdy Joschka Fischer, szef polityki zagranicznej Niemiec oznajmił, że NATO winno zrezygnować z pierwszeństwa w zastosowaniu broni jądrowej. Pipes wie, że to oznacza nie tylko chęć przejęcia w Europie buławy z rąk USA. Wie również, że to zachęta dla tych sił w

Rosji, które nie mają Rosjanom nic do zaoferowania, prócz cudzych i starych zdobyczy. Wie, że Białoruś zwaliła się Rosji na kark i na budżet, zalecając się w zamian jako baza wypadowa na Zachód. Zna on także doktrynę generała Maniłowa, opartą na prawie Rosji do pierwszego ciosu atomowego. Wie też, że rozkład konwencjonalnych wojsk Rosji czyni z jej formacji rakietowych siły pierwszej linii.

NATO poszerzyło się, ale teraz dopiero zaczyna się ciężka robota: chodzi o wcielenie w życie wszystkich praw, należnych nowym członkom. Z paragrafem 5-tym Paktu na czele. Dyplomacja rosyjska będzie przeciwdziałać. Myślę, że na własną szkodę.

Dyskutujący o NATO i jego zadaniach dzielą się na 3 kategorie.

Pierwsi są zdania, że to rodzaj pogotowia ratunkowego dla zbrojnej obrony przed atakami agresji i zaboru. Mają na to dowody, zebrane w Zatoce Perskiej, czy Bośni.

Drudzy uważają NATO za organizację agresywną, dybiącą na cudze ziemie i zasoby. Nie mają na to rzeczowych dowodów: NATO nie zabrało dotąd nikomu ani piędzi ziemi. Żadne państwo z tej organizacji nie wyrywa się siłą, wiele natomiast stara się o wstęp.

Trzeci (ze mną włącznie) uważają NATO za solidną podstawę do pracy nad takim ułożeniem równoprawnych stosunków między państwami kontynentu, aby wykluczyć zbrojny sposób rozwiązywania konfliktów, uczynić go nieopłacalnym. Chodzi zwłaszcza o konflikty z Rosją. Powtórzmy: najlepszym sposobem zniechęcenia imperialistów i szowinistów, rwących się w Rosji do władzy, jest konkretne wykazanie im, że program galwanizacji Imperium nie ma szans w obecności NATO... Sądzę, że to do dziś najprostsza forma pomocy dla Rosji w potrzebie.

Rad bym usłyszeć od Richarda Pipesa, że zgadza się z tą tezą i że rozumie, co ma ona wspólnego z omówieniem książki Hellera. Jacques Amalrik, pisząc o niej w paryskim *Libération,* wybija na czoło jej naczelny temat: czy imperium musi być przeznaczeniem Rosji?

Kraków, 12 marca 1999

Jerzy POMIANOWSKI

Kraj

Z geografii politycznej III Rzeczypospolitej

Geografia polityczna III Rzeczypospolitej zdaje się prosta jeśli patrzymy na nią przez pryzmat układu sił w parlamencie. Jest ona dużo bardziej skomplikowana jeśli spojrzymy na nią z perspektywy dziesiątek małych partyjek, lub wielkich, nie zawsze zamierzonych wpływów Kościoła katolickiego. Kościół uzyskał te wpływy w okresie totalizmu, sprzeciwiając się temu systemowi przez całe dziesięciolecia. Dlatego i dzisiaj pewne ugrupowania o mało precyzyjnym programie szukają wsparcia Kościoła, nawet jeśli hierarchia za bardzo sobie tego nie życzy. Ale politycy o ograniczonym wpływie społecznym próbują wzmocnić się wsparciem Kościoła, co temuż Kościołowi nie zawsze wychodzi na dobre. Na przykład AWS nie stałby się tak silny, gdyby nie miał wsparcia Kościoła, co teraz z powodu ubóstwa programowego tego ruchu Kościołowi wręcz szkodzi.

Na forum parlamentu mamy dwie federacje polityczne o dużym zasięgu politycznym – lewicową i prawicową. Każda z tych formacji czyni wiele, by unicestwić wpływy drugiej. Stąd wynikająca w polskiej polityce zacięta walka o przeszłość i dawne zasługi „Solidarności" z jednej strony, a z drugiej o poczucie własnych doświadczeń i kompetencji politycznej. W parlamencie są także dwie formacje centrowe – Unia Wolności i Polskie Stronnictwo Ludowe, które wzajemnie także się nie znoszą. UW widzi w partii chłopskiej dawnego sojusznika PZPR, a PSL widzi w Unii Wolności partię, która wolała pójść z prawicą niż z lewicą, choć wielu jej przywódców było

tak w strukturach PRL, jak i później w „Solidarości". Obie te partie zarzucają sobie wzajemnie kosmopolityzm lub nacjonalizm, a przede wszystkim rywalizują o to, by być języczkiem uwagi w sporach parlamentarnych. PSL była w latach 1993-1997 decydującym partnerem lewicy, lecz w ostatnich latach II kadencji ówczesnego parlamentu straciła ona wpływy, bo stwarzała pozory, że chce nadal być w rządzie, a jednocześnie nawiązywała kontakty z ówczesną opozycją. Dlatego w obecnej III kadencji parlamentu, PSL potrzebna jest głównie wtedy, gdy trzeba przyjąć lub odrzucić uchwały wymagające absolutnej większości 3/5 głosów. Unia Wolności niespodziewanie uzyskała o wiele silniejszą pozycję, bo weszła do koalicji Solidarności prawicowej, pozostając przy swoim liberalnym nastawieniu i mając trzech ważnych ministrów – obrony, spraw zagranicznych i sprawiedliwości, nie mówiąc już o pozostałych jej ministerstwach. Walka między partiami parlamentarnymi jest ostra i czasem przesadnie bezwzględna, co nie odpowiada rzeczywistym między nimi różnicom. I tak pokazuje się filmy, na których przedstawiani są działacze „okrągłego stołu" biesiadujący i popijający z komunistami, lub przypomina się filarom obecnego rządu, jak w protestach społecznych stosowali metody przypisywane teraz grupom skrajnym i działaczom nawiedzonym.

Powstanie Akcji Wyborczej „Solidarność" znacznie zmniejszyło ilość grup i partyjek pozaparlamentarnych ale są ich jeszcze dziesiątki. Są także liczne media i organy prasowe, kierowane przez ludzi skrajnych, przyczyniających się do brutalizacji życia politycznego w Polsce. Nie warto zresztą tych ludzi wymieniać, skoro na ich modłę wypowiada się urzędujący minister służb specjalnych, nazywając urzędującego szefa państwa „prezydentem wszystkich ubeków". Na polskiej scenie politycznej dominuje spór o przeszłość, wzajemna nienawiść i zajadłość, bynajmniej nie związana z fizycznym zróżnicowaniem poglądów i programów życia państwowego.

Można się dziwić, że w takim klimacie moralnym tyle się mówi o wpływach Kościoła katolickiego w Polsce. Kościół rzecz prosta nie jest zachwycony moralnym stanem polskiego życia politycznego, lecz w wyborach w 1997 roku wsparł prawicę, bo lewica zrobiła wiele, by tak uczynił. Przez cztery

lata nie dopuszczała do ratyfikowania konkordatu ze Stolicą Apostolską, choć trzeba przyznać, że nie był on dziełem wysokiej klasy prawa międzynarodowego. Lewica niestety za długo zwlekała z uchwaleniem tzw. ustaw okołokonkordatowych, jakimi są ustawy o połączeniu małżeństw cywilnych i kościelnych, o grzebaniu zmarłych na cmentarzach kościelnych, niezależnie od ich światopoglądów i wreszcie ustawy o prawach własnościowych Kościołów i wyznań religijnych. Obecnej lewicy wypomina się, że co prawda zerwała z głównymi zasadami PRL ale zachowała nastawienie laickie i antyklerykalne. Nie odnosiłbym tego zarzutu do całej lewicy, bo już w czasach, kiedy była u rządu, pojawiali się wśród jej czołowych przywódców ludzie dążący do jakiegoś kompromisu z Kościołem. Kościół zaś myślał o swoich wpływach co najmniej kategoriami z okresu dwudziestolecia międzywojennego i chciał uzyskać prawo obecności na wszystkich ważnych uroczystościach państwowych, a także domagał się zwrotu mienia utraconego. Gdyby chodziło tylko o mienie utracone w okresie PRL nie byłoby sporu, lecz niektórzy dostojnicy kościelni mieli nadzieję na odzyskanie mienia utraconego w dużo wcześniejszych okresach historycznych. Kościół odżegnuje się od wszelkiego fundamentalizmu religijnego, lecz chciałby odzyskać rząd dusz, który posiadał w dużej mierze w pierwszej połowie naszego stulecia. Jednakże spore zeświecczenie społeczeństwa i państwa nie stwarza ku temu warunków. Materializm praktyczny okazał się dużo groźniejszy niż materializm marksistowski, któremu tak społeczeństwo, jak i Kościół potrafiły się oprzeć. Teraz połowa społeczeństwa zdaje się żyć w wyobrażeniach laickich, a odsetek ludzi chodzących do kościoła w każdą niedzielę spadł z ponad dziewięćdziesięciu procent do poniżej sześćdziesięciu procent.

Poza tym w katolicyzmie polskim powstały różnice, które starałem się obiektywnie zrelacjonować w dniu śmierci Jerzego Turowicza w telefonicznym wywiadzie dla dziennika *Rzeczpospolita*. Relacja ta brzmiała mniej więcej tak: „Jerzy Turowicz był najwybitniejszym świeckim działaczem katolickim w całym okresie powojennym... Turowicz przeniósł do Polski personalizm chrześcijański Jacquesa Maritaina i Emanuela Mouniera. Stał się też jednym z głównych szer-

mierzy myśli Soboru Watykańskiego II, a więc idei katolicyzmu i Kościoła otwartego w stosunku do ludzi i rzeczywistych wartości zawartych w innych systemach myśli humanistycznej. Przeciwstawianie Turowicza i prymasa Wyszyńskiego było oparte na nieporozumieniu. Wyszyński bronił Kościoła i narodu przed dominacją systemu totalitarnego. Turowicz tworzył w myśli katolickiej alternatywę dla pokusy religijno-nacjonalistycznej. W moim przekonaniu Turowicz i Wyszyński idealnie się uzupełniali. Mieli natomiast odmienne funkcje. Prymas broniąc Kościoła przed nieprzyjaznym systemem, troszczył się, by w tej obronie uczestniczyły najszersze rzesze narodu. Dlatego broniąc Kościoła, strzegł także tożsamości narodu. Turowicz walczył o katolicyzm pogłębiony, szeroki myślowo i otwarty na to wszystko, co w świecie jest prawdą". Nie należy jednak zapominać, że w 1976 roku, gdy wpisywano do konstytucji zasady kierowniczej roli partii i sojuszu z ZSSR, Wyszyński powiedział w tradycyjnym kazaniu „Świętokrzyskim": „Nie znaczy to, abyśmy dążyli do jakiegoś odnowionego nacjonalizmu". Te akurat słowa zostały zapomniane przez tzw. narodowców, którzy jednocześnie powołują się na spuściznę kardynała Wyszyńskiego. W wyniku tego zapomnienia, a przede wszystkim w wyniku ofensywy nacjonalistycznej, widać przenoszone mechanicznie z lat trzydziestych w Polsce nastawienia Obozu Wielkiej Polski Romana Dmowskiego i późniejszych ONR-ów. Jeśli w obecnej koalicji rządzącej AWS i UP widzimy skrywane, a nawet jawne niechęci, to jest to wynikiem zapatrzenia w zdezaktualizowaną przeszłość i zapomnienia jednego z ostatnich i nadzwyczaj ważnych napomnień kardynała Wyszyńskiego.

Z przykrością wypada stwierdzić, że tak zwana geografia polityczna w Polsce wynika w dużej mierze z walki o zasługi w przeszłości, a jednocześnie z bardzo ograniczonego widzenia tej przeszłości, a zwłaszcza okresu dwudziestolecia międzywojennego. Trwający w kraju Drugi Polski Synod Plenarny, który rozpoczął i otworzył podczas wizyty w kraju w 1991 roku Jan Paweł II i ma go zakończyć w tym roku w czasie swojej czerwcowej pielgrzymki do Polski tenże Papież, jest bardzo ważny. Wiążę z nim jedną nadzieję, że przyczyni się przynajmniej do zredukowania sporów o przeszłość, do lepszego postrzegania przeszłości, w której jednocześnie walczono o polską tożsamość narodową, lecz także o prawdziwe posłannictwo Kościoła katolickiego, którego ewangelia jest skierowana do wszystkich ludów, narodów, ras i kultur. Geografia polityczna Polski nie jest przejawem myśli programowej, lecz sporami o przeszłość i co gorsza przenoszeniem myśli politycznej sprzed dziesiątek lat w teraźniejszość.

Do znacznych podziałów w opinii publicznej doprowadzi z całą pewnością „reforma wszystkiego", którą rozpoczął AWS i rząd pana Buzka. Służba zdrowia, ubezpieczenia społeczne, szkolnictwo, administracja państwa, przemysł ciężki i lekki, a także rolnictwo są już poddawane zabiegom reformatorskim, które wpływają nie tyle na zróżnicowanie polityczne w kraju, lecz przede wszystkim na powstawanie chaosu w państwie. Każda z tych reform przeprowadzana kolejno i spokojnie mogłaby zakończyć się sukcesem, lecz przeprowadzenie ich szybko i jednocześnie może doprowadzić Polskę do katastrofy. A cała odpowiedzialność za to spadnie nie tyle na koalicję rządzącą, co na Akcję Wyborczą „Solidarność", bo Unia Wolności, choć nadal pozostaje w koalicji, ma na temat zapoczątkowanych reform swoje własne stanowisko. Nie tylko politycy, lecz także całe myślące społeczeństwo boi się katastrofy finansowej w wyniku pospiesznej „reformy wszystkiego". Powtarzam, całą odpowiedzialność za tak szeroko pojęte i szybkie reformy bierze na siebie głównie Akcja Wyborcza „Solidarność" i to wszystko stanowi nie tyle problem geografii politycznej III Rzeczypospolitej, lecz przede wszystkim jest groźbą katastrofy gospodarki i państwa, przed czym przestrzegają rządzących naukowcy, specjaliści z różnych dziedzin, a także dziennikarze i publicyści. Polska znalazła się w stanie zagrożenia i zmierza ku destabilizacji. Oto do czego prowadzi żądza władzy pomieszana z brakiem kompetencji.

Andrzej MICEWSKI

Z ukosa

Porusza gładkość z jaką przekracza się dzisiaj granice Polski, nawet jeśli stoi tam samochodowa kolejka, przypomina ona kolejkę do kina na nowy film. Potem granica niemiecko-austriacka, zabite deskami okiennice strażnic, tak powstają pomniki dawnych granic między państwami, gdzie w miejscu celników i wojskowych królują poczciwe internacjonalistyczne pająki. Jedziemy w kierunku Insbrucku, w pobliżu Monachium, wąskim „niemieckim" przesmykiem. W strugach marznącego deszczu, który nagle zmienia się w ciężki jak ołów śnieg. Autostrada pomału zastyga, jak pozioma wieża Babel, gdzie piętrzą się samochody z całej Europy. A śnieg sypie. Pod jego ciężarem padają pierwsze drzewa. Kierowcy siedzą cierpliwie w samochodach i jak żywe serca trzymają w dłoniach telefony komórkowe. Kiedy zaczynają ich namiętnie używać, zdychają przeciążone sieci. Osamotnieni, wychodzą, zawiązują się supełki życia towarzyskiego, krzyżują się języki, pierwsi mężczyźni idą na bok za potrzebą. Mijają godziny i ten gigantyczny korek zamienia się w metaforę życia. I jak życie ma gdzieś swój kres, ale nikt nie wie gdzie. Wkrótce uwięzieni zaczną współżyć, potem urodzą się pierwsze dzieci. W tej poziomej i zastygłej wieży Babel, obok niemieckiego przeważa polski język. Wybucha epidemia zakładania na koła łańcuchów, co czyni wstrząsające wrażenie, jak wielki akt samozniewolenia. Późną nocą ta zastygła i zdawało się na zawsze zamarznięta rzeka, kruszy się jak lodowa kra. I opornie rusza. Potem bajeczna nocna droga w Alpach, serpentyna tonąca w puchu, szeroka zaledwie na jeden samochód. I nieustannie sypie. Tak zaczyna się największa alpejska zima półwiecza. Odnajduję w sobie radość i naiwność dzieciństwa, marzenie, niech sypie, zasypie cały świat. Okazało się jednak, że śnieg przeszkadza jeździć na nartach. Za to na każdym stoku, w każdej gondoli i na krzesełku żyje polski język. Nasza ruchliwa klasa średnia prawie już nie różni się od tej z zachodniej Europy. Ich dzieci są doskonale wtopione w

miejscowy krajobraz, używają sprawnie angielskiego, jeżdżą na nartach zwykle nie gorzej od miejscowej młodzieży. Znakomicie odnajdują się tam, gdzie trzeba coś uruchomić, zakupić, dziarsko krzątają się w sklepach, porównują ceny, targują się. W tym bogatszym, gładszym i bardziej sprawnym świecie czują się jak w ekranie swojego domowego komputera. Podejrzewam, że paradoksalnie mniej w domu poczują się po powrocie do Polski. To oni będą Polskę zmieniać, unowocześniać, racjonalizować. Czy ocaleją po tym zabiegu skrawki naszej szlacheckiej rogatej duszy? Patrząc na tych młodych czasami myślę, że jest w nich jakiś brak, nawet ich radość jest podminowana smutkiem. Ale to problem całej nowej generacji naszego świata, który zwątpił w wyższy sens swego istnienia.

W drodze powrotnej suniemy przez Czechy, tonące w rosnących zaspach śniegu. W dawnej Europie Wschodniej świeży śnieg jest lekiem na brzydotę, okrywa nasze brudne i zaniedbane miasta apetycznym futrem. A czeskie miasteczka mają nie mniej niż nasze zniszczoną infrastrukturę i taki sam świerzb. Tylko w budkach z automatami książki telefoniczne są znakiem nieco wyższej cywilizacji. Szukając zamówionego pensjonatu, gubimy się w śnieżnych labiryntach. Jak większość mężczyzn nie znoszę pytać o drogę, to przyznanie się do słabości, kobiety zwykle nie mają takich problemów. Ale Czechów pytać lubię, ich język mnie rozczula. I ta braterska pomoc przy wyciąganiu samochodów, które grzęzną w zaspach. W niewielkiej osadzie odkopujemy pensjonat zagrzebany po uszy w śniegu. Dom w stylu bunkier wschodnio-europejski z lat 60-tych i niemal muzeum kiczu. Nie ma przedmiotu, który by pasował do innego i każdy z osobna jest w złym guście, nawet packa na muchy, bezużyteczna o tej porze roku ma wstrząsający wzór. Starsze małżeństwo, oboje utykają na lewą nogę, syn mam wrażenie też utyka, ale to mogło być złudzenie. Domowa kolacja pod gigantyczną makatą z jeleniem na rykowisku, a w pokoju śpię pod kryształowym kandelabrem obok obrazu, gdzie namalowana olejną farbą niewiasta, obraz w stylu XVIII-wiecznej sielanki, leży na łożu z rozrzuconymi kończynami dolnymi i górnymi, a pod pachami kłębi się gęste owłosienie. Mam nieprzepartą chęć zwędzić to dzieło, głównie ze względu na te komplikacje

pod pachami. Przy okazji ujawniają się nasze polskie cechy, ten pański styl, kpienie ze złego gustu gospodarzy, z charakterystycznym odcieniem szlacheckiej wyższości. Gospodarze bardzo mili, po czesku narzekają na Czechy, identycznie jak nasi rodacy na Polskę. Że władza jest głupia, skorumpowana, jest źle, będzie gorzej. Mieszka w tym narzekaniu jakaś nuta nostalgii za przeszłością, gdy było bezpiecznie. A gołym okiem widać, że powodzi im się całkiem nieźle.

Na czesko-polskiej granicy, pytam oficera WOP jaka jest trasa po polskiej stronie? Odpowiada z bardzo swojskim sarkazmem „Normalna, czyli jak to w Polsce, bardzo kiepska". Trudno znaleźć nację, która ma równie sceptyczny do siebie stosunek, a zarazem tak histerycznie reaguje na każdą krytykę z zewnątrz. Kiedy jedzie się katowicką autostradą, jedyne widoczne przyczółki wyższej cywilizacji to stacje benzynowe. Mamy chyba najgęstszą ich sieć w świecie. Zwykle są własnością zachodnich firm, nowoczesne, odmienne od szarego otoczenia, jak bazy cywilizacji przybyłej z innej planety. Tu i ówdzie lśnią Mc Donald'sy i siedziby zachodnich firm. Nie rozumiem jak to możliwe, że trasa szybkiego ruchu, gdzie przemieszczają się miliardy złotych w portfelach kierowców, nie zapładnia na swych brzegach motelu, hotelu i restauracji? Rozumiem za to, że przy myśleniu w kategoriach prymitywnego patriotyzmu można mieć poczucie, że jesteśmy podbijani przez bogatych i obcych.

Mój kolega i sąsiad poszedł późnym wieczorem na spacer. Oglądał wielkie lustro ściany banku, który niedawno wyrósł obok naszego kwartału. Nagle podeszło do niego dwóch barczystych mężczyzn, wzięło pod ramiona i zepchnęło na stojący w pobliżu samochód. „Policja, proszę nie stawiać oporu". Kiedy go przeszukiwali poczuł błogą bezradność, sympatyczne uczucie otulone myślą – oto jestem w dobrych rękach, mamy w Polsce sprawną i profesjonalną policję, a nieporozumienie zaraz się wyjaśni. Obmacany, sprawdzony, mówiąc krótko i po prostu, wyjaśniony, został w końcu grzecznie zostawiony sobie, czego się spodziewał. Poczuł się nieco gorzej, gdy odkrył, że oczyszczono go rzeczywiście, nie niósł ze sobą na szczęście portfela, w kieszeni miał jedynie 50 zł, i ten banknot zniknął. Z miejsca napadu, jak na ironię,

widać światła Urzędu MSW, ale po pomoc udał sie do patrolu policji przy Supersamie. Policjanci jedli hamburgery i miał wrażenie, że zepsuł im radość konsumpcji. Odesłali go na policyjną komendę, na Malczewskiego, tam powiedzieli, że to nie ich rejon, trafił więc na kolejną komendę, gdzie wysłuchano go, ale niechętnie. Na wiadomość, że stracił tylko 50 zł, gniewali się, że zawraca głupstwami głowę. „Nawet gdybyśmy ich złapali, nic nie możemy zrobić, to jest tylko wykroczenie, a pan wie jakie są u nas sądy i jak pracują?". „Co w takiej sytuacji robić?" – zapytał kolega. „Nie bronić się, albo na odwrót, mieć pistolet i od razu strzelać. Ja mam służbowy" – pochwalił się policjant, i nawet go pokazał, a potem dodał „a w domu mam prywatny".

Kolegę mojego syna pobito dotkliwie w autobusie. Na komendzie policjanci nie chcieli zająć się tym wydarzeniem, przecież poruszał się o własnych siłach. Chłopak jednak uparł się, pewnie dlatego, że był studentem prawa. Bardzo jednak się napracował, by zmusić policjantów aby sporządzili protokół.

Sypie śnieg, jest ślisko, dlatego zdecydowałem się przejechać światła gdy się zmieniały, hamowanie w takich warunkach jest niebezpieczne. Minął mnie dziarsko radiowóz i liznął policyjnym lizakiem. Mili policjanci zaprosili do środka. Uznali, że warunki były trudne, ale jednak – czerwone światło. 200 zł i sześć punktów karnych, mówili jakby zawiadamiali o pogrzebie. Rozczuliło ich moje prawo jazdy sprzed kilkunastu lat, na zdjęciu ani jednego siwego włoska, no i ani jednego karnego punktu, będzie szkoda je zapaskudzić. Ogromnie byli strapieni, więc doprawdy nie mogłem ich w takim stanie zostawić i zaproponowałem „załatwienie sprawy". Wtedy łaskawie dali mi szansę, jak to ładnie określili „abym sam siebie ukarał". Proszę, jaki wzruszający dydaktyzm, lewa ręka poucza a prawa policyjna łapka bierze 50 zł, wsunąłem je pod plastikową osłonę, która odgradza przestępcę na tylnym siedzeniu od władzy. Wszyscy byliśmy bardzo zadowoleni. Ale gdzie tu jest praworządność?! Szukałem w sobie wyrzutów sumienia i nie znalazłem. Coś okropnego. Jeżdżąc często tą trasą widzę jak ten sam radiowóz stoi i czeka na łup. Potem na trasie do Austrii łapią nas za poważne przekroczenie prędkości, wóz prowadzi kolega i scenariusz

powtarza się. Powszechność zjawiska ukazuje skalę korupcji naszej policji.

W Warszawie powstał nowy typ pasożyta, to podpity jegomość, który w centrum miasta w godzinach samochodowego szczytu, łazi wśród zaparkowanych samochodów. Jeśli zwalnia się miejsce zaprasza serdecznie kierowcę, który szuka miejsca do parkowania. Owi zajmowacze miejsca, nazwijmy ich samochodowymi konikami, wykształcili w sobie ruchy dyrygenta, który kieruje orkiestrą. Za ową „muzyczną" usługę pobierają opłaty. A kierowcy płacą, boją się, że „dyrygent" zarysuje karoserię samochodu. Memu koledze, lekarzowi, przebili niedawno oponę, powiedział, że zapłaci dopiero jak wróci z teatru. Tak oto w stolicy na coraz większą skalę kwitnie obłęd. Podchodzę do dwóch młodych policjantów, uzbrojeni po zęby, w szykownych czarnych strojach bojowych. Pokazuję im palcem podpitych osobników, którzy tańczą wokół parkujących samochodów. I co? Tłumaczą swoją bezsilność. „Spisujemy ich, ale to na nic, wielu nawet nie ma dowodów. Jeśli nie dokonają jakiegoś przestępstwa, nic nie możemy im zrobić. Kierowcy nie powinni im płacić". „Płacą, bo boją się, że im zdewastują samochód" – mówię. – „Niech Pan zrozumie, my nic nie możemy zrobić." Jeden nachyla się do mego ucha i mówi półszeptem – „Najlepiej przyczaić się i w razie czego takiemu w łeb, ot i co!". Bardzo mili są ci nasi policjanci. Od czasu, gdy stali się bezradni wobec rzeczywistości, są nam jakoś bliżsi. Do symbolu urasta fakt, że mordercy byłego szefa policji gen. Papały nadal nie są złapani. Państwo jest coraz słabsze, a bandyci rosną w siłę. Ludzie to widzą i jak zwykle przesadzają, jest źle, ale nie aż tak. Skala strachu jest nieproporcjonalna do zagrożeń realnych, ale tak bywa z lękiem. Ten strach staje się jednak cieniem naszego życia. Dochodzą wieści, że w różnych rejonach Polski powstają obywatelskie grupy samoobrony, które dokonują samosądów na prawdziwych lub urojonych przestępcach. To dopiero początek zjawiska. Tak odżywa piękna tradycja szlacheckich zajazdów. Jeśli nic się nie zmieni, szansę będzie miał jakiś nowy Tymiński, który obieca, że przywróci w Polsce porządek, zapewni ludziom bezpieczeństwo na ulicy, prawo będzie prawem, a sąd sądem. AWS szedł

do władzy pod sztandarami przewrócenia prawa i porządku. A jak patrzę na ministra spraw wewnętrznych Tomaszewskiego, to wiem, że nic nikomu nie zapewni, walczy jedynie o władzę z ministrem Walendziakiem. I nawet ten mecz wygrywa.

Postkomuniści zwlekali z reformami, bali się ich, chociaż zapewne nie przewidywali własnej porażki, i że cały pasztet spadnie na głowę ich przeciwnikom. Nowy rząd wykazał się niezwykłą dzielnością i determinacją w reformowaniu kraju, ale nie mniejszym partactwem. Cztery wielkie operacje na ciele nie całkiem zdrowego pacjenta, czy to nie za wiele? Kto doceni determinację rządu w reformowaniu kraju, kiedy nagle problemem staje się pójście do lekarza. Monstrualny bałagan w reformie służby zdrowia dotknął prawie każdego. Ale ludzie widzą nie tylko amatorstwo i partactwo, a też jaka jest pazerność nowej władzy. Czym więc różnią się od poprzedników? – pytają. Rząd ma nagle katastrofalnie niskie notowania w opinii społecznej, to najgorsze notowania rządu od 10 lat. Łapczywość w przechwytywaniu stanowisk przez AWS byłaby do strawienia, gdyby stanowiska obsadzane były przez ludzi kompetentnych. A tak nie jest. Polska wydaje się być w rękach amatorów. Do niedawna przychylni premierowi Buzkowi obserwatorzy naszej sceny politycznej, piszą o nim krytycznie. „Miękka charyzma" – tak mawiali życzliwi, nawet w ich oczach zmienia się już tylko w miękkość. Jak na ironię premier co tydzień otrzymuje jakąś nową nagrodę dla najwybitniejszej osobistości minionego roku.

Rząd jest bezradny nie tylko wobec problemów ekonomicznych i politycznych kraju, a też wobec własnych wewnętrznych problemów, wybuchają konflikty, ujawniają się skandaliczne niekompetencje ministrów, urzędników, afery finansowe, iskrzy się w koalicji. Widać że premier zanim coś powie, bierze głęboki oddech, bo stoi przed sprawą, która go przerasta. Bardzo stara się być dzielny, ale z oczu wyziera lęk. Ja też boję się wielu rzeczy, szczególnie tych ze sfery praktycznej, więc premier jest mi w tym lęku bardzo bliski.

Tam gdzie się paliło rząd gasił strajki pieniędzmi, rolnicy, lekarze, pielęgniarki, nauczyciele. Pytanie dlaczego wybuchały tak wielkie pożary? Chłopi, wiadomo, to jest dramat prawie

nie do rozwiązania, znajdują sobie przywódców na miarę własnego nieszczęścia, czyli strategicznych. Andrzej Lepper mógłby służyć jako pamięciowy portret wschodnio-słowiańskiego chama. Miał na karku karę więzienia w zawieszeniu. Jest rzeczą oczywistą, że powinno mu się ją odwiesić za blokowanie polskich dróg i paraliżowanie państwa, a też za obraźliwe epitety wobec rządu i Kościoła. Ale przerażony sąd, niezależny, ale poproszony przez premiera, puszcza Leppera wolnym. Ten triumfuje i mówi: „Ci, którzy ostrzyli sobie zęby na to, że zobaczą Leppera w więzieniu, powinni z żalu wypić nie setkę, ale po litrze wódki". Owa wódczana metafora, ten błysk smakosza w oku, gdy mówi „wódka", jest znakomitą ilustracją wódczano-kartoflanego sposobu myślenia. Lepper, w dniu gdy miał się stawić ponownie na kolegium, uczestniczy w naradzie w sprawie wsi u prezydenta Kwaśniewskiego. Mówi tam: „Ten rząd nieudaczników trzeba rozpędzić. Za co się nie biorą, nic im nie wychodzi" (w tym jest nawet trochę prawdy, niestety). A do Kwaśniewskiego przemawia: „A pan, panie prezydencie, opuści ten pałac wcześniej niż się panu wydaje, jeżeli nie skorzysta pan z naszych rad." Oto syn polskiej wsi i polskiej wódki, który do złudzenia przypomina szlachetkę, co gardłował na sejmikach, prawa się nie bał, króla się nie bał, a Polskę zgubił.

Ale za to jesteśmy w NATO! Powinno być święto narodowe i wielki festyn, ale nie ma. Po stuleciach tragedii, dramatów, po rozbiorach, wojnach, po komunizmie, Polska nareszcie jest wolna i bezpieczna! Pan raczył nam zwrócić ojczyznę wolną i wsadził ją w stalowe objęcia potężnej rodziny narodów Europy i USA. Czy to nie jest od stuleci największa w naszej historii szczęśliwa rewolucja polityczna? A polskie ulice nawet nie drgnęły. Uroczystości raczej skromne, nie ma flag, salw armatnich, ludzie pytani czy to ważny dzień, nie są tego pewni? Tragedie wyzwalają z nas heroizm i patos, a wielkie, historyczne, szczęśliwe wydarzenia przyjmujemy naturalnie i obojętnie. Czy nie dlatego, że niezwykle głęboko jest u nas zakorzenione poczucie, że nam to wszystko się należy? Mam wrażenie, że ostatnie 10 lat nieźle zakotłowało w polskich głowach. A wielu obywateli po prostu nie ma czasu na polityczną czy historyczną refleksję, walczą

o przetrwanie lub mnożą pieniądze. Siedmiu posłów z Naszego Koła związanych z Radiem Maryja głosuje w Sejmie przeciw. Nie chcą Polski w NATO, nie chcą do Europy, bo tam ruja i poróbstwo. Pisma prawicowo-katolicko-narodowe przełykają Polskę w NATO jak gorzkie lekarstwo. Nie po raz pierwszy widać, że dla narodu najgroźniejsi są narodowcy.

W telewizji słucham dyskusji ministra obrony Janusza Onyszkiewicza, posła radiomaryjnego Jana Łopuszańskiego i Adama Słomki z KPN-u. Doprawdy tych dwóch ostatnich sprawia wrażenie szaleńców. Potem dzień po dniu słucham sporów na rozmaite tematy z udziałem przedstawicieli różnych politycznych partii. Chłopscy politycy spierają się z politykami rządzącej koalicji. AWS-owcy kłócą się z politykami Unii Wolności i z SLD. Amatorscy dziennikarze nie panują nad chaosem tych sporów, politycy przekrzykują się, nie wymieniają argumentów, walą się nimi po łbach. W tym zgiełku szukam prawdy, ale jej nie widzę, przerażona gdzieś uciekła.

Znam wielu ludzi w AWS-ie i doprawdy wiem, jak często, tam gdzie posądza się ich o złą wolę, jest partactwo i nieudolność. Jakże jednak liczni stali się zawodowymi intrygantami. Kto kogo, z kim, za ile? Namiętność obsadzania stanowisk swoimi ludźmi nie patrząc na kompetencje, jest chorobą wszystkich kolejnych ekip, a obecna zdaje się bić poprzednie na głowę. No, może tylko PSL był bardziej pazerny? Ale nasi chłopi od wieków okrutnie byli krzywdzeni przez historię, więc ich można jakoś wytłumaczyć, chcą się teraz odkuć za całe pokolenia, w głąb aż do Mieszka I. Politycy AWS-u, a zapewne też Unii, ci ostatni bodaj z większą kulturą, moszczą się na stanowiskach w poczuciu moralnego luksusu, mamy czyste sumienie i dobre biografie, nam się należy.

Dzisiaj być biednym i uczciwym to doprawdy żaden honor, a tylko wstyd. Pamiętam, kiedy wróciłem z dyplomatycznej placówki, spotkałem S. wysokiego urzędnika MSZ. Pytał mnie, gdzie pracuję. Gdy powiedziałem, oniemiał ze zdumienia. „Jak to możliwe, że tak nisko?" Był gotowy zakrzątnąć się by mnie podwyższyć, ale mu podziękowałem. Potem spotkałem X. Obejrzał mój samochód i zatroskał się. „Nie potrafisz dbać o swoje interesy". To prawda, nie potrafię, a może nie chcę?

Powstała nowa nomenklatura. Jak się raz wejdzie w obieg, jest się w nim, nawet jeśli się nakradnie, spowoduje się samochodowy wypadek, narazi się swoją partię na kompromitację. Gdy na skutek nieszczęścia traci się polityczne stanowisko, zyskuje się w nagrodę niepolityczne a finansowo lepsze, choćby dzięki synekurze w jakiejś radzie nadzorczej. Drażniła mnie do niedawna wizja, którą ma lud – rozdrapywania Polski. Ale lud się tak bardzo nie myli, no może tylko upraszcza i demonizuje zjawisko. Jak na dłoni widać, jak różne ugrupowania w AWS-ie budują polityczne i finansowe imperia, łapczywie, gorączkowo, jakby wiedzieli, że nie mają za wiele czasu. Jakoś to rozumiem, przecież SLD już zbudowało swoje przyczółki. Ci, którzy dzisiaj rozdzielają między siebie Polskę, kierują się własnym interesem, lub interesem małej grupy, ale paradoksalnie i w sumie szczęśliwie w tym nieszczęściu, ten własny interes obecnie mniej więcej służy rozwojowi kraju. Pazerność za PRL-u jedynie niszczyła, teraz potrafi napędzać i budować. To jest chory i koślawy napęd, ale jednak napęd.

Na wystawie malarstwa Leona Tarasewicza, wielkie tłumy w Zachęcie potwierdzają powrót publiczności na artystyczne imprezy. Tarasewicz to jeden z ciekawszych i bardziej cenionych w świecie polskich malarzy. Znamy się od lat. Lubię go też jako człowieka. Ma w sobie jakiś rodzaj chłopskiej prostoty, z niespodziewanie mądrą komplikacją. Leon posiada białoruską tożsamość i bardzo martwi się o Białoruś. Kiedy gratuluję mu wspaniałej wystawy, nie chce ze mną gadać o malarstwie, przypomina słowa sprzed lat, miałem mówić, że zaleje nas „chamstwo wolności". „Miałeś rację" – mówi – „o Jezu jak miałeś". Nie pamiętam swoich słów. Czy miałem rację? Na wystawie spotykam posła W. Kolega z dawnych lat opozycji, jeden z najbardziej prawych ludzi jakich znam. O czym mówimy? Nie o malarstwie, bynajmniej. Okazuje się, że dla niego, jak i dla mnie, najboleśniejszym doświadczeniem wolności jest zawód jaki sprawili przyjaciele, koledzy, towarzysze dawnej podziemnej walki, zmienieni w wieprze, przez Kirke naszej polityki.

Po burzliwych konfliktach między koalicjantami, AWS

i Unią, wybucha dramat w AWS-ie. Ogień jednak szybko przygasa. A już wydawało się, że AWS spłonie jak kuriozalna stodoła, gdzie każda belka jest z innego gatunku surowego drewna. Premier, który łapie ustami powietrze jak tonący, jakimś rozpaczliwym gestem wyrzuca swego rzecznika rządu i szefa kancelarii Walendziaka, z przyległościami. Część wyrzuconych od razu wraca na pokrewne funkcje. Jest bunt narodowców i konserwatystów. Że są marginalizowani. Premier nagle znika, za to widać Mariana Krzaklewskiego, aby nie było wątpliwości, kto tu naprawdę rządzi. Uspokaja, wszystko będzie wedle sprawiedliwości. Można się domyślać, że wyrzuceni dostaną nie gorsze posady. Tygodniami trwa poszukiwanie nowego rzecznika prasowego rządu. Jakby czyjeś złote usta mogły uratować wizerunek politycznej katastrofy.

Od 10 lat nasi politycy nie potrafią wytłumaczyć społeczeństwu istoty i konieczności reform. Nie idealizuję życia politycznego w innych krajach, to zapewne wszędzie sfera zatruta. Jeśli jednak można mówić o polskiej specyfice, zaryzykuję uogólnienie, że u nas jest uderzająco wielkie lekceważenie, a czasami pogarda polityków wobec społeczeństwa. Można to ująć inaczej. W emocjach nasi politycy zapewne nie różnią się od zachodnich. Tam jednak pozoruje się szacunek i uważność, zaś owo udawanie, jak wyuczona grzeczność sklepowego sprzedawcy, tworzy pewien klimat. Nasza społeczność odpłaca się politykom pięknym za nadobne. I tak tworzy się błędne koło pogardy.

Znowu wybucha korupcyjny pożar, tym razem wokół ministra rolnictwa Jacka Janiszewskiego. Mniej więcej w tym samym czasie minister oświaty Mirosław Handke ośmiesza rząd i AWS. Ma już na sumieniu sporo, ostatnio zezwala na druk szkolnego podręcznika, który uczy historii wedle recepty naszych pisemek faszyzujących. Inna, aktualna sprawa, to skandal „magisterski". Poseł AWS-u Andrzej Anusz, sekretarz Klubu Parlamentarnego AWS i, wedle powszechnej opinii, jedna z ważniejszych osób w partii, zerżnął od kolegi swoją pracę magisterską, przepisał ją kropka w kropkę. Na dodatek Anusz opublikował plagiat w formie książki. Prasa cytuje obszerne fragmenty obu prac, doprawdy, nie ma wątpliwości. Rektor uniwersytetu odebrał Anuszowi tytuł magistra, ale minister uchylił zarządzenie rektora, solidarnie chroniąc swojego

człowieka. Po aferze z magisterium prezydenta, wydawać by się mogło, że politycy czegoś się nauczyli. Nie nauczyli się niczego.

Obaj ministrowie są z siebie zadowoleni, nie podają się do dymisji, nie zwalnia ich premier, wprost przeciwnie, garną się pod oko kamery, bronią swoich racji. Minister Janiszewski zostaje wyklęty przez swoich partyjnych kolegów z SKL, potem puszczony przez telewizyjnych dziennikarzy zupełnie nago w tłum widzów, nadal się awanturuje. To jest polityczna pornografia.

Gdyby komputer podejmował w Polsce decyzje polityczne, obawiam się, że jego suchy umysł wskazałby jako najlepszy dla Polski rząd, koalicję SLD z Unią Wolności. Nasza tak zwana prawica ciężko zapracowała na taki wynik. Są jednak jeszcze emocje, jest pamięć przeszłości i tkanka moralna. Komputer takich subtelności nie bierze pod uwagę. Czy więc popełniłby błąd? Kiedyś nie postawiłbym na końcu tego zdania znaku zapytania. Rozmawiam z D. Zawsze uważał się za człowieka o prawicowych poglądach. To kolejny znajomy, który mi się skarży: „Kretyństwo polskiej prawicy jak potężny morski prąd zaczyna mnie spychać, i dryfuję na lewo". A ja od dawna sobie myślę, że jest alarm terminologiczny. Jeśli nie dokonamy redefinicji pojęć lewica, prawica, będziemy nadal gubić się we mgle nieprecyzyjnych pojęć. Jak postendecja jest jednak żywym i trafnym określeniem, tak postkomunizm nie jest tylko martwym, obraźliwym epitetem. Od studentów dowiaduję się, że na polonistyce króluje prof. R., pamiętam tego, przepraszam, jadowitego skurwiela z lat 60-tych. Za to co robił w roku 68 i potem, powinno się go wychłostać pod uniwersyteckim pręgierzem, potem zatrudnić na polonistyce jako babcię klozetową. Ilu takich ludzi tworzy dzisiaj SLD? Każdy ma swoje topniejące skrawki pamięci z przeszłości. Jak to możliwe, że tacy ludzie jak R. dzisiaj triumfują? Historia nie lubi jednak takich pytań. Jak to możliwe, że Niemcy przegrywając wojnę, wygrali ją? Jest zawsze okrutna przewaga dzisiaj nad wczoraj. Niebywałe podłości przeszłości zostały u nas niezwykle szybko pożarte przez kilkaset kołtuńskich świń, które biegają po współczesnym podwórku.

Siła polskiego kołtuństwa, podszytego płytkim katolicyzmem, bierze się z faktu, że być może bez niego nie byłoby Polski. Nasza gorliwość narodowa miała swoje formy szlachetne, ale też karłowate i szpetne. Z podobnych powodów żydowska ortodoksja posiada dzisiaj taką moc i realne szanse by zniszczyć Izrael. Wiara, fanatyzm, który tak długo przegrywał by odnieść zwycięstwo, potrafi mieć w sobie szczególnie intensywną odmianę jadu. Kiedy nurzam się w gęstych krzakach naszych pism faszyzujących, jakiż wzruszający śmietnik przeszłości tam widzę. Jego bujność jest poruszająca, jakby kwitł gdzieś obok historii, nie zważając na to, że była druga wojna światowa, Hitler i Oświęcim. Czy można mieć obawy, że to myślenie nabierze siły ślepej lawiny? Łudzę się, że jest to pokraka z innego czasu, cieleśnie okazała, ale duchowo marna, okaleczona i nieporadna, zajmuje się przede wszystkim pluciem i zjadaniem własnego, gorzkiego ogona. Czasami Radio Maryja lub ambony niektórych kościołów dają temu monstrum skrzydła na krótki lot. Konserwatywny zaduch będzie jednak jeszcze długo królował w licznych pokojach naszego domu.

Po sporach i żarliwych konfliktach Prymas Józef Glemp ponownie zostaje wybrany przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski. Kilku bardziej liberalnych biskupów ze łzą w oku krytykuje w mediach ten wybór. Po tym akcie biskup Pieronek prowadzony przez kamerę telewizyjną idzie z bardzo gorzką miną i mamroce pod nosem: „był już 18 lat, to wystarczy". Dla prasy Pieronek mówi, że ten wybór to „*nihil novi*, a nawet gorzej". Publiczne wyrazy niezadowolenia ze strony niektórych biskupów ujawniają siłę konfliktu i jego dramatyzm. Tak zakończyły się nadzieje, że więcej świeżego powietrza zawita do zatęchłej twierdzy polskiego Kościoła. Mogą się cieszyć jego wrogowie. Im bardziej polski Kościół będzie tkwił w zaduchu konserwy, tym gwałtowniej podmyją go oceaniczne fale nowej cywilizacji. I nikt na tym nieszczęściu Kościoła nie skorzysta.

Właśnie w tych dniach grupa posłów związanych z Kościołem wnosi do sejmu projekt ustawy zabraniającej handlu w niedzielę i święta, bo to grzech. Dobry pomysł by Kościół i narodowa prawica zaczęli mieć przeciwko sobie całe społeczeństwo. Jedną z zalet naszego młodego kapitalizmu

jest to, że o każdej godzinie, każdego dnia można wszystko kupić. Ale to są detale. Najważniejszy jest wymiar duchowy problemu, przykład oświęcimskich krzyży, to co mówią publicznie zbyt liczni księża, ukazuje ile zła wyrządzić może neoendeckie myślenie w naszym Kościele. Nie tylko libertynizm i permisywizm rozmywa pojęcia dobra i zła, robi to zbyt często Kościół.

Przybywa sąsiad z parteru pobliskiego domu, zacny pan Darek. Oto człowiek gorliwy. Jak zwykle niesie pod pachą plik papierów: od dzielnicowego pismo w sprawie bramy, ogrodzenia, nawiezienia ziemi. Jako jedyny w całym naszym kwartale walczy o ład, porządek i urodę zaniedbanego podwórka. Jest na rencie, ma sporo czasu i energii. Ze swojego małego mieszkania wykroił dla szwagra okno kuchni, a ten przerobił je na okno kiosku. To jest mój najbliższy punkt, gdzie kupuję gazety. Pan Darek, to aktywny działacz Klubu Legionistów Polskich, tych od Piłsudskiego. To on był inicjatorem pomysłu by na ścianie pobliskiego domu wmontować tablicę z informacją, że mieszkał tam w czasie okupacji marszałek Rydz Śmigły. Czasami mnie wzrusza, że marszałek ze swojego okna patrzył w okna mojego obecnego mieszkania, nieszczęsny, w poczuciu klęski osobistej i klęski ojczyzny. I pomyśleć, że to Jerzy Giedroyc organizował marszałkowi to okno, i powrót do kraju.

Pan Darek działa w Związku i próbuje mnie zwerbować do organizacji. Widział fotografię mego dziadka w mundurze legionisty z Virtuti Militari, więc upiera się, że będę ozdobą organizacji. Począł też molestować w tej sprawie naszego sąsiada, mego kolegę pisarza Tomasza Ł. Pan Darek wymyślił sobie, że stworzymy na naszym podwórku koło legionistów polskich, wystarczy pięć osób, ja wpiszę swego syna, sąsiad swego, i tak będzie piątka wymagana przez statut. On się już postara, abyśmy nie tracili cennego czasu. Tylko czasami odbędzie się jakaś mała uroczystość, choćby pod tablicą Rydza. Naszkicował patriotyczny plan okolicy, na Chocimskiej mieszkał Rowecki Grot, a Walery Sławek na Szucha. Pan Darek mówi, że u nas aż gęsto od tradycji, moglibyśmy kiedyś odbyć patriotyczny marsz. Traktuje te plany w kategorii akcji wojskowej. Pomyślałem, jaka szkoda, że nie

znałem go w stanie wojennym, tacy ludzie byli na wagę złota. Piszę ironicznie o jego wysiłkach wciągnięcia mnie i sąsiada do tej walki o pamięć, ale w gruncie rzeczy szanuję te wysiłki. Patrzę jak wypisał na kartce priorytety. „Sztandar, proporczyk, chorągiew, umundurowanie, strzelcy, harcerze, koń." Ten koń w puencie porusza wyobraźnię. Koń jest do wypożyczenia na służewieckich wyścigach. Nie wiem, kto ma siedzieć na koniu, Pan Darek, ja, czy Tomasz Ł. Ze względu na dorobek w dziedzinie historycznego eseju na koniu zasiąść powinien ten ostatni. Dzwonię to niego w tej sprawie, wpada w panikę, nie znosi koni. Na tej samej kartce są jednak sprawy, gdzie jestem gotów głębiej się zaangażować. Choćby przegrodzenie murem dwóch podwórek. Pan Darek ma sprytny pomysł, chce wykorzystać firmy reklamowe, które upstrzyły Warszawę, gdzie popadnie, od góry do dołu. Reklamy jako ogrodzenie. Tłumaczę, mała jest szansa, że firmy będą chciały ustawiać reklamy na podwórku, ale można spróbować. Ma w planie rozplantowanie ziemi plus wycięcie kilku suchych drzew. Tu jest problem, bo niektórzy mieszkańcy twierdzą, że drzewa nie są suche i niszczymy przyrodę. Uderza na naszym podwórku bierność mieszkańców, brak dbałości o podstawową estetykę, a zarazem czułość wobec suchych drzew, kotów i gołębi, które brudzą nie mniej niż pijacy. Ustawione niedawno pojemniki do selekcji śmieci, tylko częściowo są używane przez mieszkańców, bo nie wytłumaczono ludziom o co chodzi. Stoją jak żółte pomniki naszego niechlujstwa i bałaganiarstwa.

Pan Darek zabrał mnie niedawno do administracji, abym go wsparł swym autorytetem w jego walce. Budynek administracji jest ozdobioną komputerami skamieliną przeszłości. Czuję tam zapach komunistycznego urzędu, zaciągam się nim, a odruch obrzydzenia miesza się ze słodką nostalgią, tak pachniały skrawki mojej młodości. Pan Darek krząta się walcząc o audiencję u kierowniczki, każdej urzędniczce daje czekoladowego cukierka. Poczułem nagle, że zbiera mi się na PRL-owskie wymioty i czmycham haniebnie.

Wszystko i wszyscy zewsząd wołają: pieniędzy! Kiedy dyskutujemy w gronie zacnych osób, czy podoba nam się Polska po 10 latach wolności, ktoś mówi, że podobałaby mu

się, gdyby nie ta cholerna konieczność walki o pieniądze. Zapada milczenie, tak trafne są te słowa. Wszystko jest na sprzedaż. Dopiero dzisiaj, wszystko i wszyscy. Chyba kończy się, ale kto to wie, strajk lekarzy, najdłużej strajkowali anestezjolodzy, nikt tego nie mówił na głos, ale jest oczywiste, że wieloletnie niezadowolenie anestezjologów wynika z faktu, że tylko oni nie mają jak brać łapówek od pacjentów. Pytanie, dlaczego chirurdzy się z nimi nie dzielą? Reforma służby zdrowia była konieczna, nasze szpitale i przychodnie gniły moralnie, organizacyjnie, technicznie. Zdecydowany krok jaki zrobiono był krokiem w dobrą stronę, ale przy okazji złamano sobie nogę. Postawiono ten krok za szybko i bez przygotowania. A zachowanie lekarzy przypomina, że żyjemy już w innym świecie, i że po niemoralności komunizmu, dotyka nas niemoralność kapitalizmu. W tym nowym świecie lekarze mówią wprost, że istotą ich zawodu są dobre zarobki, bo wszędzie w cywilizowanym świecie lekarze dobrze zarabiają.

Już niemal wszyscy znani aktorzy reklamują proszki do prania i polisy ubezpieczeniowe, dziwi nas to, bo zapomnieliśmy że za PRL-u recytowali propagandowe teksty. To stan wojenny nagle ich umoralnił, a teraz trwa wielka wyprzedaż zasad. Znani z prawości dziennikarze stają się rzecznikami prasowymi drapieżnych firm. Prawdą staje się brutalne powiedzenie, że każdy jest do kupienia, pytanie tylko za ile? Ta interesowność szczególnie boli jeśli pamięta się o poprzedniej bezinteresowności tych samych osób. Czy dzisiejsza interesowność nie podważa naszej dawnej bezinteresowności? Sam w sobie szukam granic kompromisu i jednego jestem pewien – idę teraz na większe niż w czasach komunistycznych. A tu pierwszy krok ułatwia następne.

Kompromisom sprzyja też powszechność grzechu, oglądamy się wokół, inni to robią, więc czemu ja nie? Podobny był mechanizm w czasach stalinowskich, gdy wielkie autorytety torowały drogę moralnego upadku. Stalinem naszej wolności staje się złotówka, której dobre zdrowie tak nas raduje. I słusznie. Paradoksalnie, co staje się trucizną naszego społecznego życia, jest zarazem szansą na rozwój kraju. Pieniądz daje napęd naszej społeczności zmęczonej, pokiereszowanej przez historię i depresyjnej. Z takim spadkiem

jaki mamy, moglibyśmy pogrążać się w marazm, jak niektóre kraje Trzeciego Świata, jak fragmenty naszej prowincji. A tak, nawet gnilna tkanka krząta się wokół pieniędzy. Obserwuję jak moi okoliczni alkoholicy, w chwilach prześwitów świadomości handlują ciuchami z Rosjanami, wynajmują bazarowcom swoje mieszkania. Potem wszystko przepijają. Trzeźwi właściciele pobliskiego sklepu, gdzie alkoholicy nabywają swoje tanie wina, handlują na wielką skalę samochodami, zatrudniając cały szereg podejrzanych osobników z sąsiedztwa. To szara czy ciemna strefa, ale w niej wielki ruch i krzątanina. Dostrzegają owe maniakalne ożywienie przybywający do Polski cudzoziemcy, czują tu jakiś rodzaj energii, której nie potrafią nazwać. Ta energia jest faktem i na szali naszej wagi, gdzie tyle korupcji, partactwa, okropności polityków, waga nadal przechyla się w stronę rozwoju, mimo wszystko.

Odwożąc znajomych nagle błądzę w Warszawie, którą znałem jak własną kieszeń, czuję że to nie jest już moja kieszeń, miasto zmienia się tak szybko, że się w nim gubię. Nowe biura, supermarkety, sklepy. Jest satysfakcja zmiany, ale też niepokój, że ten świat jest już mój i nie mój.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

Leszek Miller jako minister spraw wewnętrznych, choć nazywany kanclerzem ze względu na szeroko rozbudowane biuro, miał dwóch zastępców, Janusz Tomaszewski, realizując hasło wyborcze AWS-u: „bierzemy władzę, aby oddać ją ludziom na dole", ma zastępców – dziewięciu...

Podobne przykłady rosnącej lawinowo biurokracji można by mnożyć do znudzenia, ale czy warto? Groch o ścianę.

W żadnej deklaracji władzy na temat, skąd weźmie pieniądze na zapchanie potrzeb społecznych, deklaracji dawanych pod presją, w obliczu blokad drogowych i strajków, otóż w żadnym z takich przypadków, gdzie władza przyparta do muru, składa pospieszne obietnice, rozważając do jakich rezerw sięgnąć – otóż nigdy, przenigdy, nie pada słowo, iż w celu załatania dziur władza ograniczy swoje dochody. Że zarobi drastyczne cięcia w wydatkach na reprezentację; że ukróci rozpasanie samorządowców. Przykład: kiedy w powiecie zachodnio-warszawskim wprowadzono ograniczenie diet radnych, odbijają stratę, przyznając sobie ryczałt na dojazdy: sto zł na każdą sesję (bilet autobusowy kosztuje 2 zł). Nigdy w ich głowach nie powstaje pomysł samoograniczenia, choćby nawet zarodek podobnej idei. Przykładowo – nie usłyszałam odpowiedzi, dlaczego Warszawa ma ponad siedmiuset radnych z niebywale wysokimi poborami (inne polskie miasta też podobnie), gdy taki Nowy Jork ma ich dwunastu. Nagabywani o to prominenci umiejętnie biorą wodę w usta i skręcają rozmowę na inne tory. Nie pomogą żadne podchwytliwe pytania dziennikarzy, politycy nie dadzą się podejść.

W audycji telewizyjnej o granicach chamstwa wobec i wśród ludzi władzy, w której brali udział politycy różnych orientacji, rozwodzono się nad tym, że brzydkie wyrazy, jajka i pomidory, lądujące na ciałach polityków, psują ich *image* w oczach społeczeństwa, a przecież człowiek publiczny powinien być otoczony szacunkiem jako wzorzec dobrych obyczajów. Kiedy Paweł Śpiewak, profesor socjologii, biorący udział w audycji, zwrócił uwagę, że to nie tyle wulgarne słowa czy rozbite na twarzy jajka gorszą społeczeństwo, co niemoralność osób wysoko postawionych; niemoralność objawiająca się głębiej, w niepohamowanym zawłaszczaniu majątku narodowego, otóż kiedy to powiedział, żaden z zebranych polityków, literalnie nikt, nie podjął wątku. Zagadano go wałkując do znudzenia, czy jajka i pomidory na płaszczach i twarzach są w demokracji legalne, czy nie.

Pieniądze władzy stały się tematem tabu. Powiedziałabym, że młode pokolenie, na którego obywatelskość liczyliśmy tak bardzo, jest tu nawet bezwstydniejsze od starszego. Przez dziesięć lat wyhodowaliśmy zastępy pracowników publicznych o miedzianych czołach.

Reguła potwierdza wyjątki. Donalda Tuska przyuważyłam sobie od początku, gdy tylko pojawił się na publicznej scenie. Robił najlepsze wrażenie spośród młodych liberałów. Pod każdym względem: inteligencji, wiarygodności, wiedzy. Nie był hałaśliwy, ale co się odezwał, to smacznie. Trafiał w sedno i był dowcipny bez agresji i chamstwa. Politykę najwidoczniej traktował jako powołanie, ale bez misjonarskich zagrań. Więcej się w nim czuło intelektualnej i etycznej energii niż surm bitewnych. Wyprany z demagogii, autentyczny w sposobie bycia.

Nie lubimy takich polityków; są za mało swojscy. Gdyby Tuska zestawić z Krzaklewskim, powiedziałoby się: ludzie z różnych planet. Gdzie się nam taki odmieniec narodził? Na Kaszubach.

W roku 1993 liberałowie jako mała partia przegrali wybory. Nie weszli do parlamentu, ale wyciągając nauczkę z porażki, połączyli się z Unią Wolności i jakby się w niej rozpłynęli. Niemniej w roku 1997 Tusk został senatorem. I jakby zapadł się pod ziemię. Kamień w wodę. Ani widu, ani słychu. Pomyślałam, szkoda, znów jednego z obiecujących mniej.

Aż tu któregoś dnia Tusk spłodził coś w rodzaju memoriału na temat klasy próżniaczej, czyli ich samych, władzy w różnych instancjach. Dosłownie – nazwał klasą próżniaczą parlamentarzystów, ministrów, samorządowców. Za dużo sobie biorą, za mało z siebie dają. W tej sytuacji ulubione słowo wszystkich ludzi władzy – służba – stało się niezamierzonym autoszyderstwem.

Tusk w swoim piśmie proponował redukcję liczby posłów z ponad czterystu do dwustu, likwidację senatu, a w samorządzie limity płacowe i również liczebne.

W parlamencie zawrzało. Potraktowano Tuska jako kogoś w rodzaju łamistrajka, renegata kalającego własne gniazdo. Ma stanąć jako winowajca przed wewnętrzną komisją etyki. I zapewne, odszczekać, co myśli. A myśli tak, jak od dawna myśli społeczeństwo.

Pamiętam Sejm Kontraktowy, pierwszy wolny w III Rzeczpospolitej, o którym z perspektywy czasu każdy powie, że był najlepszym. Parlamentarzyści jeszcze wówczas pracowali solidnie. Widać to było choćby po sali plenarnej – zawsze

pełnej i skupionej. Dziś sala zieje pustkami, nawet przy najważniejszych obradach; Balcerowicz czy Goryszewski, stawiający budżet, mówią do pustych krzeseł. Posłowie zjawiają się zdyszani na moment do głównych głosowań, i to nie w komplecie. W komisjach też absencja, łatwo usprawiedliwiana, przeważnie podróżą zagraniczną.

Nie ma co, ukształtował nam się typ posła-wagarowicza na wzór uczniowskiego, tylko nieporównywalnie kosztowniejszy. W pomysłach nie do przebicia. Tak oryginalnych wycieczek po świecie, jakie proponuje parlament swoim członkom, nie powstydziłoby się renomowane biuro podróży. *Exemplum:* wycieczka pani marszałek senatu do Kataru i Libanu.

Nasz parlamentarzysta to człowiek o mentalności ziemianina (bez tej ogłady, oczywiście), który zamiast doglądać swoich folwarków, jedzie w świat je przehulać.

Donald Tusk, znający sytuację od podszewki, nie znalazł lepszej nazwy nad – „Klasa próżniacza". Nie poprzestał na nazwie. Wyciągnął wnioski i wskazał kierunek rozwiązań.

Jak dotąd – szlaban dla tego tematu. Jesteśmy świadkami, jak coś sensownego, co zakiełkowało, zostaje z miejsca przydeptane.

●

Stał się cud. Reforma zdrowia wypaliła. Tak, upieram się, wypaliła, mimo gigantycznego marnotrawstwa i bałaganu po drodze. Kontrola Skarbowa ujawniła, że 150 mln zł przyznanych dodatkowo ministrowi Wojciechowi Maksymowiczowi z rezerwy budżetowej, poszło w kurz.

Tak to już teraz w *Polsze* bywa. Porobiono kardynalne błędy przy kontraktach z anestezjologami, dowodzące szkolnych wprost pomyłek i niekompetencji. Porobiono, i błędy te zemszczą się niebawem. Kiedy tylko zabraknie pieniędzy w Kasach Chorych i lekarze przestaną wysyłać pacjentów na badania, a szpitale – ich przyjmować.

Groza przed nami. Groza przed nami, ale na razie, gdy piszę te słowa pod koniec lutego 1999 roku, jest super! Leczyć się, nie umierać!

Lekarz kłania się w pas pacjentowi, w przychodnianych okienkach zniknęły nadęte miny i burknięcia, a zjawiło się

„proszę", „czym mogę służyć?". Lekarz przeprasza pacjenta, że czekał piętnaście minut: „miałem mały poślizg, pan wybaczy...".

Wybałuszamy oczy ze zdziwienia: co za anioły spadły nam z nieba, i nie wierząc, iżby to, co dobre, mogło trwać długo, czym prędzej biegniemy się leczyć.

Moja znajoma od lat patrzyła z zazdrością z okna na niedostępną dla niej klinikę rządową na Hożej. Zwłaszcza kiedy nogi odmówiły jej posłuszeństwa i do swojej poradni musiała człapać daleko. A tu naraz wrota „rządówki" (przeniesiono ją gdzie indziej) otwarte, wystarczy przejść jezdnię. Znajoma robi więc gruntowne badania, mimo strajku, który tutaj objawia się jedynie zmianą fartuchów na czarne.

W mojej osiedlowej gazetce, którą znajduję pod słomianką, ogłasza się najbliższy szpital oferując wszelkie dobra, jakie medycyna wymyśliła. Płatne, ale jak piszą, po cenach przystępnych. Oczywiście, szpital zachęca, żeby wybrali go wszyscy, również „bezpłatni". I zupełne kuriozum: „w szpitalu można też dobrze zjeść – mówi ulotka. – Nasz szpital oferuje smaczne i tanie domowe obiady oraz dania jarskie w stołówce lub na wynos".

Oto błogosławiony wynik prywatyzacji. Bo jakimi by nie obarczać grzechami Kas Chorych, a są to grzechy ciężkie, nasze narodowe już grzechy chciwości i niegospodarności, sama idea kas stanowi postęp w dotychczasowym centralnym rozdzielnictwie.

Prywatyzacja ma jednak i drugą stronę medalu. 600 tysiącom pracowników ochrony zdrowia dramat zagląda w oczy. Nie wszyscy zostaną w zawodzie. Wielu będzie musiało odejść. Dokąd? Na taksówkę? Na dozorcostwo? Bo tylko niektórzy załapią się do świetnie płatnych firm farmakologicznych.

Przez pół wieku lekarze byli niedowartościowani finansowo przez państwo mimo haseł o szczytności zawodu. Teraz po prostu ten zawód stracą.

Generalny desperacki strajk lekarzy, potępiony przez prasę w najsurowszych osądach, w gruncie rzeczy, jak się potem okazało, był markowany. (Co innego anestezjolodzy, którzy mają na swoim koncie narażenie życia; sprawy są w sądzie). Ale ogólnie biorąc, bez przerwy przywoływana przez

media przysięga Hipokratesa – zbytnio nie ucierpiała.

W tej chwili świat lekarski zaprząta walka o pacjenta; jest to jego być, albo nie być, ponieważ lekarz, i ten z przychodni, i ten ze szpitala, płacony jest od ilości „sztuk" ludzkich a nie od dokonywanych zabiegów. Najmilej byliby widziani pacjenci lekko chorzy, którzy przyjdą i szybko wyjdą, nie nadużywając aparatury i leków.

Nadejdzie jednak czas, kiedy nawet lekarze rekordziści, którym uda się zdobyć wielu pacjentów, staną przed dylematem moralnym, gdy Kasy Chorych zaczną im ujmować grosza za zlecane badania. Wtedy dopiero przysięga Hipokratesa będzie w cenie.

Kasy Chorych już teraz nie wróżą nic dobrego: okazałe tajemnicze budynki, pełne wyniosłych urzędników nie zdradzających swoich poborów ani stanu liczebnego, mogą stać się w przyszłości dubletem molocha biurokracji, czyli Ministerstwa Zdrowia.

Skoro już przy nim jesteśmy: biorąc na zdrowy rozsądek, Ministerstwo powinno się samozlikwidować. Wszak minister Wojciech Maksymowicz, już odsyła wszystkich zainteresowanych do Kas Chorych i dyrekcji szpitali, mówiąc: „idźcie do nich; ja tu już nie rządzę".

Nie rządzi, ale nie odchodzi. Co raz wzięte, zajęte. Tak już u nas jest.

●

Co raz wzięte, zajęte.

Każdy kolejny prymas w II Rzeczpospolitej obiecywał dominikanom i karmelitom w Warszawie, że ich klasztory, zarekwirowane w XIX wieku przez zaborcę, odda im, co prawda, nie on, ale jego następca. Na pewno! Nigdy tak się nie stało.

Doktrynę zajętego mienia najgłębiej ma wpojone wojsko. Przykładowo: choćbyśmy się stali szpicą NATO, wojskiem najnowszej generacji, nasz MON, ze swoim światłym nowoczesnym ministrem na czele, za Boga, nie odda starych koszar, gdzie mieszczą się magazyny i garaże, a zajmujących dziś najlepsze partie Warszawy, w dół od Łazienek.

Mam taki zwyczaj, odziedziczony chyba po ojcu,

dokładnego obchodzenia terenu, w którym osiadłam. Żadnej dziurze nie przepuszczę. Gdy przed trzydziestu laty zamieszkałam na Dolnym Mokotowie, całymi popołudniami penetrowałam łąki i łęgi prowadzące ku Wiśle, wydeptywałam wszerz i wzdłuż uliczki, zaułki, uskoki okalające wielkie koszary, wciskające się nieforemnie w porządek miasta.

W okresie Powstania Listopadowego położenie tego obiektu miało swój sens, dziś dowodzi anachronizmu i marnotrawstwa. W miejscu, gdzie metr kwadratowy gruntu powinien być najdroższy w mieście, parkan w parkan z Łazienkami – gnieździ się wojskowy mamut.

Koszary, o jakich mowa, nie tylko stanowią dysonans urbanistyczny, ale jakby nie patrzeć, stanowią brak pomyślunku. Zdawałoby się, nic prostszego, jak dogadać się władzom miasta z Komendą Warszawską. Obawiam się, że kroku nie zrobiono, przez myśl nikomu nie przeszło...

Zazwyczaj krytyczna wobec posunięć władz stolicy, tutaj ich specjalnie nie obwiniam. Bo rzecz nie jest tylko stołeczna, obejmuje nas wszystkich. Jest w naszej mentalności jakaś strupieszała zachowawczość, jakiś fatalny zastój; mamy zaczopowanie wyobraźni hamujące działania praktyczne. Zupełnie niezależnie, czyśmy z prawicy, czy z lewicy. Dotyczy to spraw tak małych, jak większych, publicznych. Oj, nie należymy do społeczeństw innowacyjnych, o nie! Wprost przeciwnie. Co dla takiego, dajmy na to, Szwajcara, byłoby załatwione jednym telefonem, nam nie przyjdzie nawet do głowy. Nieusuwalność koszar ze środka stolicy stanowi drobny przykład tej naszej skazy.

●

Stoimy kołem w sali kominkowej YMCA. (Budynek ocalał z powstańczej pożogi, choć praktycznie YMCA już w nim nie ma; jedynie teatr Buffo i trzy skłócone ze sobą harcerstwa). Więc stoimy kołem w sali kominkowej, ręce splecione (sąsiadka poprawia położenie moich dłoni) i śpiewamy z lekkim tremolando:

Wszystko, co nasze Polsce oddamy,
w Niej tylko życie, więc idziem żyć.

Świty się bielą, otwórzmy bramy,
Hasło wydane, wstań, w Polskę idź.
Ramię pręż, słabość krusz,
Ducha tęż, Ojczyźnie miłej służ.
Na jej zew w bój czy trud
Pójdzie rad harcerzy polskich ród,
harceeerzy polskich ród...

Jest nas kilkanaście; średnia wieku, kurtuazyjnie licząc, 80 lat. Kobiety. Przytomne, zadbane, niektóre kulawe, o lasce, z przepracowanymi zawodami, z wnukami, z prawnukami na zapleczu życia, z różnymi przekonaniami i pochodzeniami społecznymi; spokojne, bez cienia egzaltacji, bez utyskiwań na choroby (najwyżej usprawiedliwiająco, że któraś nie przyszła, bo umarła lub złamała nogę).

Stanowimy Koło Grupy Wykonawczej przy Głównej Kwaterze Szarych Szeregów „Pasieka". Więc nie byle co. Te kobiety, wówczas młodziutkie dziewczyny, przez cztery lata wojny prowadziły łączność i kolportaż prasy podziemnej na kraj.

Tylko trzy doszlusowały do nich pod koniec okupacji (w tym ja), więc nie mamy ich doświadczeń. Prawdę powiedziawszy, nie znamy się, jesteśmy outsiderkami.

Spotykamy się w tym miejscu co kilka miesięcy, kładziemy na wielkim okrągłym stole, co kto przyniósł, zawsze ubolewając, że to słodycze a nie śledź – i po Hymnie rozpoczyna się zebranie.

Dowodzi nami Maria Szubertowa, pseudonim okupacyjny – Horpyna. Nagle uaktualniony poprzez ekranizację „Ogniem i mieczem". Szczęście mamy do przewodniczącej. Prowadzi zebranie zwarcie, ciekawie i bez przeciągania. Mądra, inteligentna, czuwająca, żeby dyskusja nie przerodziła się w gadulstwo. Świetna baba; w młodości – piękność. Dostarczam jej *Zeszyty Historyczne*, z których korzysta i tutaj; czasem czyta kawałek zahaczający o ich pracę konspiracyjną. Zdarza się, że z kart *Zeszytów* pada nazwisko im bliskie, stwarzając naturalną kanwę dopowiedzeń.

Charakterystyczne, że w tym, co mówią, nie pojawia się nigdy ton bohaterszczyzny, natomiast uwypuklane są szczegóły techniczne. Czy to będzie opowieść o Majdanku, Pawiaku, łapance, akcji, kotle, wpadce – ważny jest nie Czyn, lecz szczegół. Nie patos patriotyczny, lecz konkret.

Zastanawia mnie kontrast między trzeźwością tych relacji a owym harcerskim kręgiem staruszek, które splatają pomarszczone dłonie, żeby odśpiewać swój młodzieńczy hymn. Gdyby ktoś obcy otworzył drzwi, wszedł i to zobaczył, to by ryknął śmiechem.

Ale chyba ten jeden jedyny akcent wzniosły jest moim koleżankom autentycznie potrzebny. Nie jako pozostałość, ale jako teraźniejszość. Jest odtworzeniem na moment czasu – co tu dużo gadać – najlepszego w ich życiu. Ze śmiercią za każdym rogiem, to prawda, ale z poczuciem własnej skuteczności, z zastrzykiem adrenaliny tej intensywności, jakiej nie zaznały już nigdy. A przy tym, z programem. Ze wspaniałym budującym programem na przyszłość, jaki konstytuował Szare Szeregi. To był czas. Ich czas.

Po zebraniu – sprzątanie, zmywanie filiżanek. Pakowanie i zabieranie do domu resztek słodyczy. I znów krąg, i znów skupione, pożegnalne tremolando: „wszystko, co nasze, Polsce oddamy...".

●

Na promocji książki Anny Strońskiej pt. „Dopóki milczy Ukraina" w Klubie Księgarza na Rynku Starego Miasta (pękał w szwach mimo obrzydliwej pogody) – rozbiła się „puszka z Pandorą" (tak powiedziało się z trybuny pewnemu posłowi SLD jeszcze podczas Sejmu Kontraktowego i tak już w obiegowym języku zostało).

Otóż prowadzącemu wieczór Aleksandrowi Małachowskiemu wyrwało się niebacznie porównanie transportów Akcji Wisła z sowieckimi wywózkami na Wschód. Te pierwsze nazwał komfortowymi wobec tych drugich. No i zaczęło się. Licytacja na wzajemne okrucieństwa – na sali byli też Ukraińcy. Na szczęście, wątek ten w zarodku zduszono.

Jednakże, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Rozdrapywanie ran uprzytomniło zebranym, jak zgubne dla przyszłości obu krajów może być przenoszenie win dziadków na dzieci i wnuki.

Charakterystyczne było zachowanie pary młodych Ukra-

ińców. Chłopaka, dziennikarza *Naszego Słowa*, pisma ukraińskiego wychodzącego w Polsce, który po wygłoszeniu gołosłownych zarzutów wobec autorki, wyszedł, i dziewczyny, która też początkowo w ataku, jednak nie wyszła, i w toku dyskusji została przekonana, że wywlekanie przeszłości w ten sposób, w emocjach sali, do niczego twórczego nie prowadzi.

Już sama temperatura spotkania wskazywała, jak ważna to książka. Wyjątkowej urody rodzajowość reportażu Strońskiej idzie głębiej. Z każdej przedstawionej sytuacji, z każdej rozmowy, z każdego obrazu wyziera niepokój o przyszłość Ukrainy. Jaka będzie? Na jaką drogę wkroczy? Czy na własną, czy rosyjską, czy białoruską, czy propolską? Nie jest to nam obojętne, o nie. Ale w tej grze i my musimy być obecni.

Spotkanie miało miejsce akurat w dniu, kiedy nasz premier układał się z prezydentem Kuczmą o arcyważną inwestycję, o ropociąg na linii Odessa-Brody-Gdańsk. Przez ropociąg do serca? Oby!

Ale i przez żołądek. Wydawca zadbał o barszcz ukraiński i zupełnie już u nas zaniechany szmalec ze skwarkami. Z alkoholem, nie podnosi cholesterolu. Sprawdzone.

●

Otwieram listę tych, którzy „atakują Radio Maryja", według nacjonalistycznego pisma *Nasza Polska*. Zamyka ją Józef Życiński. (Porządek alfabetyczny). Mnie sklasyfikowano jako „katolewica", przy kapłanie (kleru, *nota bene*, na tej liście jest dużo, i to wysokiej rangi) – napisano tylko „arcybiskup". Najlepiej podobało mi się określenie Jana Karskiego: „wczoraj kurier, dziś renegat". W doborowym towarzystwie się znalazłam.

Warszawa, 28 lutego 1999 r.

Ewa BERBERYUSZ

Pomiędzy NATO i Papieżem

1.

Polska jest zatem członkiem Paktu Atlantyckiego. Dla rządu Jerzego Buzka wydarzenie to miało dodatkowy sens: wreszcie coś radosnego, po długiej serii politycznych porażek, pechowych wskaźników i zwykłego bęcwalstwa, w których wyniku aż 60% respondentów jest zdania, że sprawy w Polsce idą ku gorszemu.

Akces do Paktu – pomijam tu wszelkie szersze znaczenia tego faktu, o których politycy rozprawiali aż do zdarcia gardeł – powinien niewątpliwie umocnić poczucie stabilności w społeczeństwie i jest to efekt potrzebny politykom nie tylko rządzącej koalicji. Lech Wałęsa pogodził się przy tej okazji z Aleksandrem Kwaśniewskim – za pośrednictwem, nieco operetkowym, prezentera telewizji TVN, Tomasza Lisa – i obiecał podać mu rękę w Waszyngtonie, na uroczystościach z okazji 50-lecia Paktu. Premier Buzek znalazł się tym razem godnie. Zapraszając na uroczystość zakomunikowania społeczeństwu o dokonanym akcesie – zaprosił wszystkich poprzednich premierów, od 1989, którym przed kamerami telewizji wręczył medale pamiątkowe. W ten niekrzykliwy sposób uznano publicznie, że wejście Polski do Paktu jest wspólnym dziełem wszystkich gabinetów III Rzeczpospolitej. I bardzo dobrze.

Aliści entuzjazm opinii publicznej wydaje się bardziej umiarkowany niż prominentnych polityków. W lutym (24 lutego – 1 marca) CBOS sondował w tej sprawie Polaków. Przystąpienie do NATO popiera 60%, przeciw jest 11%, pozostałym sprawa jest obojętna lub nie mają zdania. W czerwcu 1997, w przededniu szczytu madryckiego, 80% deklarowało poparcie akcesu w ewentualnym referendum, 10% zapowiadało sprzeciw. Podobnie maleje też przekonanie, że przyjęcie Polski do NATO jest wydarzeniem przełomowym: tylko jedna trzecia respondentów jest tego zdania. Jedynie 32% uznaje potrzebę rozmieszczenia wojsk sojuszniczych w

Polsce (56% jest temu przeciwnych). I zapewne najbardziej znamienne są odpowiedzi na pytanie, czy przystąpienie do NATO będzie gwarancją niepodległości Polski, czy nową formą podległości. Opinia dzieli się na połowy: 41% jest za pierwszą, 42% za drugą odpowiedzią.

Co spowodowało takie wyraźne osłabienie popularności członkostwa w NATO? Zmęczenie tematem – na co by wskazywał wzrost liczby obojętnych – czy jednak obawa przed możliwymi zaangażowaniami i obowiązkami? Polska opinia jest od lat informowana o zaangażowaniach NATO na Bałkanach, a stronniczość tych informacji – zawsze przeciw Serbom, cokolwiek by się działo – zapewne budzi wątpliwości. Tym bardziej, że teraz zaangażowania te rozciągnęły się na Kosowo, terytorium Serbii, a perspektywa wysłania tam polskich żołnierzy nie cieszy się poparciem. W bardziej świadomej części opinii debata nad nowym sformułowaniem strategii NATO (czy działać nie tylko z mandatu ONZ) jest śledzona z pewnym niepokojem. Do tego wszystkiego dochodzi poczucie, że Stany Zjednoczone jako jedyne supermocarstwo zbytnio ulegają pokusie arogancji. To zresztą efekt nie tyle znajomości arkanów dyplomacji, ile raczej, po latach fascynacji, przesytu produktami amerykańskiej kultury masowej, zwłaszcza wśród elit, i nachalnością amerykańskiego marketingu. Jest też dość znamienne, że z okazji 12 marca odezwały się w mediach głosy ze skrajnej prawicy piętnujące serwilizm polskich polityków wobec USA. Niezależnie od meritum tego zarzutu, trzeba zauważyć, że formułują go ci sami, którzy np. w sprawie płk. Kuklińskiego nie mieli żadnej wątpliwości: był dla nich bohaterem narodowym, ponieważ polski wojskowy mógł był tylko służyć – albo Rosjanom albo Amerykanom. Serwilizm wobec któregoś Wielkiego Brata jest, widać, dość częstą cechą w polskiej klasie politycznej.

Poparcie dla polskiego akcesu do NATO jest więc nadal solidne, ale z pewnością nie podobna, w świetle przytoczonych badań, uważać za aberacyjne stanowiska posłów ze skrajnej prawicy i skrajnej lewicy parlamentu, którzy głosowali przeciw ratyfikacji aktu przystąpienia.

2.

„Rekonstrukcja rządu" idzie jak po grudzie. Pozbyto się

Wiesława Walendziaka i przez kilka dni gorzej zorientowani a skwapliwie popierający rząd dziennikarze fetowali niespodziewaną stanowczość premiera Buzka: przebudził się lew! Wnet jednak fachowcy dorozumieli się, że Walendziaka „wykończył" minister administracji i spraw wewnętrznych, Janusz Tomaszewski. Walendziak próbował z nim rywalizować o wpływy w polityce kadrowej, zwłaszcza przy okazji obsadzania terenu po reformie samorządowej. Co gorsza, Wiesław Walendziak, w cywilu wiceprzewodniczący Stronnictwa Konserwatywno Ludowego, wykreował się na głównego reformatora gabinetu i chętnie wygłaszał teksty dające do zrozumienia, że ludziom z aparatu związkowego „S", jak Janusz Tomaszewski, brakuje szerszych horyzontów. Walendziak był nie tylko zwolennikiem reformatorskiej strategii szarży ułańskiej, ale dążył do takich zmian w strukturze kierownictwa rządu, żeby kancelarię premiera uczynić „nad-rządem": pełnomocnicy premiera w randze co najmniej podsekretarzy stanu mieliby odpowiadać za urzędy centralne, które po reformie centrum administracyjnego weszłyby zarazem w skład ministerstw. Ponieważ 1 kwietnia ma wejść wreszcie w życie „ustawa o działach" tj. o strukturze rządu i premier powinien zadecydować o układzie i kompetencjach resortów – i, oczywiście obsadzie kadrowej – wszyscy wiedzieli, że zabawa się kończy i zaczyna walka na noże. Walendziak sam nadział się na ostrze, lansując pomysł podziału MAiSW Tomaszewskiego na administrację i policję, ponieważ resortem-monstrum nie podobna dobrze kierować. Tomaszewski, który jest głównym organizatorem partii pn. Ruch Społeczny AWS, ukochanego dziecka Krzaklewskiego, wezwał na pomoc protektora i Walendziak wyleciał jak z procy, a wraz z nim kilku przyjaciół-pampersów, którymi poobsadzał był kancelarię. Nowy szef kancelarii, już bez rangi ministra, Jerzy Widzyk, ma opinię dobrego administratora bez ambicji politycznych.

Starcie Walendziaka z Tomaszewskim należy również do szerszego planu: rywalizacji i konfliktu wewnątrz AWS pomiędzy formacją przyzwiązkową, owym RSAWS, do którego zapisało się ponoć ponad 100 posłów AWS, a sprzymierzonymi partiami ZChN i właśnie SKL, z odpowiednio, 30 i 23 posłami. ZChN i SKL domagają się „demokra-

tyzacji AWS", gdzie dotąd panuje „system monarchistyczny" (wg rzecznika ZChN, Michała Kamińskiego) a decyzje podejmuje Marian Krzaklewski, sam lub wraz z kierownictwem RSAWS. Prowizorycznie załatano wyrwę tworząc zespół, który będzie kierował AWS do końca kwietnia, kiedy Karta AWS ma zostać znowelizowana. W sześcioosobowym zespole są: Krzaklewski, Rybicki i Buzek z RSAWS; Marian Piłka, prezes ZChN, Mirosław Styczeń, prezes SKL i... Paweł Łączkowski, o którym dawno już nie było słychać. Łączkowski jest szefem tzw. Zespołu Chrześcijańsko-Demokratycznego, który kleci z różnych grupek na zlecenie Mariana Krzaklewskiego, jako tzw. czwartą nogę AWS. Szef AWS wykombinował, że dzięki tej nowej formacji chadeckiej zmajoryzuje w kierownictwie klubu parlamentarnego AWS zbuntowane partie. Pewne zdziwienie budzi w Warszawie fakt, że w zespole Łączkowskiego znalazł się Czesław Bielecki, którego spodziewano się raczej w SKL. Ale mityczny Ruch STU Bieleckiego rozpłynął się w nirwanie i jego założyciel jest w klubie AWS dość osamotniony a z SKL skonfliktowany (dlaczego, tego nikt już dziś nie dojdzie).

Popadam w plotkarstwo, wróćmy zatem do spraw poważnych, jeśli postaci ministrów uznać za przynależne do rejestru spraw poważnych.

W miarę jak zbliża się nieuchronnie zapowiadana tyle razy rekonstrukcja gabinetu, widać że energia premiera Buzka, której starczyło na wylanie Walendziaka, znów się wyczerpuje i premier ma ochotę przysnąć. Rzecz w tym, że Unia Wolności zdecydowała się podjąć okazję, żeby się bardzo wyraźnie zdystansować od premiera i AWS-owskiej części gabinetu. Pod ogniem sojuszniczej krytyki znaleźli się ministrowie rolnictwa (Janiszewski), zdrowia (Maksymowicz), oświaty (Handke), skarbu (Wąsacz), centrum badań strategicznych (Kropiwnicki), nie licząc już pomniejszych jak sekretarz stanu do spraw rodziny, Kapera. Preteksty do ataku są rozmaite, bardzo poważne – jak skrajna nieudolność Maksymowicza i jego ekipy, czy podejrzane interesy Janiszewskiego *and His Boys* z czasów pracy w szczecińskiej Agencji Rolnej. Mniej jasne – jak oskarżanie Wąsacza o spowolnianie prywatyzacji. Nie całkiem poważne – jak zablokowanie przez Handkego zarządzenia rektora UW, na mocy którego odebrano magisterium posłowi Andrzejowi Anuszowi, rzutkiemu młodemu człowiekowi, jako spisane od kolegi z NZS (Niezależnego Zrzeszenia Studentów). I czysto ideologiczne – jak nienawiść do Kropiwnickiego jako wroga liberalizmu. Formy ataków unijnych też są rozmaite, najczęściej wykorzystuje się media z *Gazetą Wyborczą* na czele, które dziennikarze, z lubością zresztą, polują na awuesowskich ministrów.

Jest przy tym znamienne, że unici starannie unikają w swych atakach wskazywania na najbardziej szkodliwe aspekty działalności cenzurowanych ministrów. Nie ma się pretensji do Janiszewskiego, że nie zdobył się na żadną inicjatywę w obronie tonącego rolnictwa. Nie atakuje się Maksymowicza za tenor jego reformy, w której kasy chorych powołane są do redukowania opieki zdrowotnej pod pretekstem racjonalizacji. Nie mówi się, że Wąsacz uprawia na masową skalę obsadzanie gospodarki „swoimi ludźmi", co tak skwapliwie wytykano koalicji SLD-PSL. Nie bierze się w obronę nauczycielstwa. Kapera Kaperą, ale projekt ustawy o równym statusie kobiet i mężczyzn odrzucają w sejmie od razu w pierwszym czytaniu posłowie Unii (nie wszyscy) razem z AWS i częścią PSL.

Krótko mówiąc, Unia się dystansuje, ale nie może i nie chce zrewidować polityki, której jest współautorem. Wprawdzie UW chętnie sugeruje, że ma lepsze kadry niż AWS i miałaby lepszych ministrów, ale nie trzeba tej legendy brać całkiem na serio.

W resorcie modelowego ministra z Unii Wolności, Leszka Balcerowicza, również dochodzi do żenujących „niedoróbek". Wszyscy pamiętają jeszcze kompromitującą wpadkę Grzegorza Kołodki, który nie zauważył luki prawnej z nieopodatkowaniem darowizn (co kosztowało budżet kilkaset milionów zł), a oto teraz wiceminister finansów wydaje „interpretację", wedle której osoby fizyczne mogą sobie odpisywać od dochodu udzielone stypendia. A dwa dni potem sam minister finansów dezawuuje swego podwładnego i stwierdza autorytatywnie, że – nie mogą. Albo wypieszczona przez ministerstwo ustawa o finansach publicznych. Art. 118 stanowi, że samorządom nie wolno dotować organizacji pozarządowych*.

* precyzyjnie: nie wolno dotować żadnych podmiotów, które nie mają przynajmniej 50% dochodów własnych, a takich dochodów nie mają oczywiście żadne stowarzyszenia opiekuńcze.

W rezultacie żadna z nich nie otrzymała od początku roku ani grosza. Placówkom opieki takim jak Towarzystwo Przyjaciół Dzieci grozi wstrzymanie działalności od 1 kwietnia. Klub parlamentarny UW deklaruje wprawdzie zgłoszenie projektu pilnej nowelizacji ustawy, ale nawet jeśli uda się *in extremis* uniknąć katastrofy, co ludzie mają myśleć o ministrze, o resorcie, o rządzie, o sejmie, o senacie i o prezydencie, którym przechodzą przez ręce takie ustawowe buble. Bezduszność, bezmyślność, brak wyobraźni? W każdym bądź razie nigdy nie dość przypomnień, że głupota rządzących jest największym wrogiem państwa prawa.

3.

Nie ma nic nowego (por. *Kultura* 3/1999) na frontach walk społecznych, co nie znaczy, by nastąpiło złagodzenie konfliktów. Rolnicy szykują się właśnie do dwóch manifestacji w Warszawie: z każdej, przeznaczonej dla nich dodatkowej złotówki 70 groszy zabierają pośrednicy.

Samoobrona Leppera wyjdzie w środę 17 marca, inni w niedzielę 21 marca. Nauczyciele (ZNP) wytargowali dodatkowy miesiąc skąpej podwyżki (od 1 marca, zamiast od 1 kwietnia, sto złotych miesięcznie dla nauczycieli, 70 dla personelu pomocniczego). Górnicy dowiedzieli się, że „ostatecznie" likwidacji ulegnie 15 kopalń (całkowitej) i 9 (częściowej) do końca 2002 r. Nic nowego w innych zagrożonych branżach – wiadomo, kryzys.

Ależ skąd, nie ma żadnego kryzysu (to chór ekonomistów z panią Walz z NBP). Przewodniczący komisji finansów Henryk Goryszewski twierdzi natomiast, że jest już czas na interwencję rządu, ale nowelizacja budżetu byłaby ostatecznością. Inni radzą czekać na wyniki II kwartału (pierwszy jest niedobry).

W komisji finansów debata (10 marca) nad wnioskiem o votum nieufności dla wicepremiera i ministra finansów Leszka Balcerowicza, zgłoszonym przez PSL i niektórych posłów SLD, ROP i Naszego Koła (skrajna prawica). Balcerowicz „nie zostawił suchej nitki na autorach wniosku o votum nieufności" (sprawozdawczyni *Gazety Wyborczej*). Między innymi powiedział: „Mówi się o wielkim rozwarstwieniu dochodów, ale gdzie są dane, że takie zjawisko

występuje? Ten wniosek to bełkot logiczny". Przed głosowaniem SLD poprosił o przerwę. Po naradzie posłowie SLD głosowali zgodnie za wnioskiem: mieli zamiar wstrzymać się od głosu, ale wystąpienie Balcerowicza nie pozostawiało im takiej możliwości. Wniosek upadł głosami koalicji, ale jeden poseł AWS wstrzymał się od głosowania. Posiedzenie komisji ujawniło, że wicepremier jest już mentalnie w fazie „kto nie ze mną, ten przeciw mnie". Debata na plenum Sejmu za tydzień.

4.

Episkopat wybrał nowego przewodniczącego: został nim po staremu Józef Glemp. Przewodniczy on episkopatowi od śmierci kard. Wyszyńskiego w 1981 r. Od 1996 obowiązuje regulacja ograniczająca sprawowanie tego urzędu do dwóch pięcioletnich kadencji w jednym ciągu. Arcybiskup Glemp prosił nawet w listopadzie 1995 papieża o zmianę tego postanowienia (art 23. nowego statutu konferencji Episkopatu) ale Jan Paweł II odmówił.

Prawnicy polskiego episkopatu załatwili to, czego papież nie chciał: ogłoszono, że prawo nie działa wstecz, więc teraz zacznie się dopiero pierwsza kadencja nowego przewodniczącego. Bp Pieronek oświadczył nawet w przededniu wyboru, że kardynał Glemp nie powinien kandydować, choć prawnie może, bo art. 23. statutu jest właśnie po to, żeby się przewodniczący zmieniali. Ale sprawa była przesądzona: ta sama większość, która uprzednio wysadziła Pieronka z fotela generalnego sekretarza, wybrała teraz Glempa. Prawdziwą sensacją był jednak wybór nowego wiceprzewodniczącego. Został nim arcybiskup przemyski Józef Michalik, na miejsce abp. Henryka Muszyńskiego z Gniezna. Tak jak ten ma opinię otwartego i europejskiego, tak Michalik jest na skrajnej, narodowej i konserwatywnej prawicy. Obecną konstytucję nazwał totalitarną, a po wyborze, w wywiadzie dla Katolickiej Agencji Informacyjnej, powiedział m.in.:

„Trzeba wskazać struktury zła, nad którymi swój parasol myślowy roztoczył nowy libertynizm, martwe myśli i lansowana swawola czynów, co jest przecież zaprzeczeniem dobrze rozumianej wolności uszlachetniającej człowieka. Innym wielkim niebezpieczeństwem, szczególnie ujawniającym się na

świecie, jest „zlaicyzowany katolicki laikat". Przy rozwijaniu laikatu nie wolno zapomnieć o jego stałej chrześcijańskiej formacji, trzeba wciąż przypominać o koniecznej jedności z całym Kościołem, żeby pasterze nie przestali być pasterzami, a owce wiedziały, do czego mają prawo – do dobrego, zdrowego pokarmu i obrony przed wilkiem".

Zadanie aktywizacji świeckich, o których mówił po wyborze abp Glemp, zostało w ten sposób sprecyzowane. Poza tym w sposobie rządzenia Kościołem w Polsce nic się nie zmieni – zapewnia staronowy przewodniczący „inaczej już bym nie umiał pełnić tej funkcji".

Pieronek skomentował po wyborach: – *Nihil novi*, a nawet gorzej (*Gazeta Wyborcza*), a mój znajomy z Krakowa, z redakcji *Znaku*, powiedział: „Jesteśmy bardzo smutni".

Do innego razu pozostawię zastanowienie się nad przyczynami, dla których episkopat, po zdobyciu w Polsce wszystkiego, zdawałoby się, co było do zdobycia, prezentuje się raz jeszcze jako Kościół wojujący. Jedyną na teraz pociechą tzw. liberałów kościelnych jest pewność, że w ciągu najbliższych 5 lat większość episkopatu znajdzie się na emeryturze.

Tymczasem czekamy na Jana Pawła II, a czekając – każdy gospodarz tej wizyty przygotowuje sobie własną pieczeń.

Krzysztof WOLICKI

Warszawa, 15 marca 1999

Sprawy i troski

Nowa afera

Rada Nadzorcza Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych w czwartek 11 marca usunęła Andrzeja Chrzanowskiego ze stanowiska prezesa zarządu, bez podania powodów, polecając spakowanie swych rzeczy i opuszczenie gabinetu następnego dnia, bez możliwości pożegnania się z pracownikami czy poinformowania kontrahentów firmy. Znając i współpracując z Andrzejem Chrzanowskim od szeregu lat zwróciliśmy się do niego z prośbą o wyjaśnienia. Pan Chrzanowski oświadczył nam:

Mam prawo przypuszczać, że zepsułem „spiskowcom" przygotowywany scenariusz: miałem nie być obecny na posiedzeniu Rady Nadzorczej, ale zdecydowałem odwołać uczestnictwo w seminarium Rady Europy po kontrowersji w zarządzie wokół budżetu na obecny rok.

Kolejna uwaga na marginesie: Rada Nadzorcza nie miała zwyczaju konsultować terminu swoich posiedzeń z moimi innymi zajęciami (Rada Europy, Izba Książki, Europejskie Stowarzyszenie Wydawców Edukacyjnych – nie przedstawiła również swojej oceny co do mojej aktywności na tych polach) ani informować zarządu z wyprzedzeniem o agendzie swoich kolejnych posiedzeń.

Wracając do „spisku": nieobecny na Radzie prezes, Rada zostawiona z jego krytycznymi uwagami wobec budżetu i pozostałymi członkami zarządu nie rozumiejącymi uwag prezesa; czyż nie jest to wystarczający zestaw powodów dla jednoznacznej decyzji?

I Rada decyzję podjęła, zapominając... że prezes pracuje obok i zwykła przyzwoitość nakazywałby zapoznać go najpierw z zarzutami, wysłuchać wyjaśnień i potem nawet

podjąć uchwałę, ale w tej kolejności, kolejności cywilizowanego sposobu zachowania i wartości. Pan Redaktor napisał o zdziczeniu obyczajów, ja nadal jeszcze jestem optymistą: to jest tylko stępienie wrażliwości; może ten przypadek stanie się okazją, aby następnym razem, nawet jeśli będzie równie głupio, to przynajmniej będzie piękniej?

W międzyczasie Rada ogłosiła swoje zarzuty, zapowiadając jednocześnie, że ogłosi w niedalekiej przyszłości konkurs na dyrektora Wydawnictwa.

Na zarzuty Rady pan Chrzanowski odpowiedział:

(...) Jeszcze w warunkach firmy państwowej (...) dokonałem diagnozy i oceny słabych oraz mocnych stron przedsiębiorstwa i przyjęto kompleksową strategię działań restrukturyzacyjnych, wypracowaną wspólnie z renomowaną firmą doradztwa strategicznego (...) Projekty były uzgadniane i realizowane wspólnie z osobami odpowiedzialnymi za poszczególne obszary działania WSiP (...)

Rada Nadzorcza nie zgłaszała dotąd żadnych zastrzeżeń dotyczących kosztów ponoszonych na współpracę z firmami konsultingowymi (...) Niedawno zarząd jednogłośnie, z moim udziałem, wybrał spośród trzech najdroższą ofertę usługi konsultingowej, oceniając, że zapewnia ona osiągnięcie optymalnego oczekiwanego wyniku. Firmie doradztwa strategicznego, wedle mojej wiedzy, w ciągu kilku lat współpracy zapłaciliśmy łącznie ok. 11,5 mln zł.

(...) Decyzję o współpracy z firmą konsultingową (w rzeczywistości współpracowaliśmy z wieloma firmami przygotowując m.in. opracowania i analizy przedprywatyzacyjne lub inne) były podejmowane w trybie przewidzianym dla przedsiębiorstwa państwowego. Efekty współpracy były również oceniane i analizowane wspólnie z Radą Pracowniczą i na forum kierownictwa. Rada Pracownicza (podobnie jak w ostatnim przypadku Rada Nadzorcza) pozytywnie przyjmowała roczne sprawozdania z działalności przedsiębiorstwa.

Porządkując sprawy związane z produkcją, napotkałem przede wszystkim opór w Radzie Pracowniczej, której trzykrotnie składałem wniosek, nim uzyskałem zgodę i mogłem podjąć niezbędne zmiany. Negocjacje z drukarniami odbywały się zawsze zespołowo, najczęściej z udziałem dyrektora wydawniczego i dyrektora ds. ekonomicznych.

Od trzech lat, co roku negocjowaliśmy warunki zakupu z dostawcami papieru, również prowadzone bezpośrednio przez moich zastępców. Nie ma uzasadnienia dla oceny, że koszty zakupu usług poligraficznych i materiałów były rażąco wysokie (...)

Ocena dotycząca polityki sponsoringu wymaga skonkretyzowania, zasadnicze kierunki inicjowanych przeze mnie działań (Rada Pracownicza na poziomie budżetu akceptowała proponowane kwoty oraz mogła ocenić politykę, przyjmując roczne sprawozdania finansowe) dotyczyły rynku edukacyjnego, krajowego, lub polonijnego oraz związane były z budowaniem wizerunku WSiP jako mecenasa kultury i dynamicznej firmy z sukcesem przekształcającej się z molocha państwowego w nowoczesne przedsiębiorstwo, wokół którego po prywatyzacji nastąpić miała konsolidacja znacznej części rynku książki w Polsce.

Powołanie przeze mnie Rady Programowej (...) nie naruszyło w niczym statutowych kompetencji organów spółki (...) Członkowie zarządu i inni dyrektorzy przedsiębiorstwa byli informowani o planach powołania Rady oraz proszeni o uwagi. Nikt nie wyraził żadnych zastrzeżeń ani nie przypomniał o odpowiedniej informacji dla Rady Nadzorczej. Powołanie Rady Programowej zostało pozytywnie ocenione przez ministra edukacji, który wytypował własnego przedstawiciela (podsekretarza stanu) do udziału w pracach.

Istnieją wszystkie niezbędne elementy strategii firmy, zaś długofalowa polityka wydawnicza wymaga ponownej analizy i oceny ze względu na fakt, że wtedy, kiedy była tworzona, istniał inny plan reformy edukacji, ponadto podejmowane przeze mnie dotąd próby zbudowania wspólnej strategii wydawniczej, z różnych powodów, nie były doprowadzone do końca. (...)

Pozycja rynkowa firmy, spadek udziału WSiP SA w rynku, przyczyny i plan przeciwdziałania temu były wielokrotnie przedmiotem dyskusji i obrad kierownictwa firmy. Została przygotowana ocena tej sytuacji przez dyrektorów wydawniczych do wspólnej analizy z zarządem.

(...) Czy Rada zapoznała się z publiczną wysoką oceną przygotowań WSiP do reformy edukacji, przedstawioną przez ministra edukacji?

Dlaczego Rada Naczelna wyraża opinię o nieumiejętności współpracy prezesa z pozostałymi członkami zarządu wyłącznie na podstawie jednostronnej, nie znanej mi

pisemnej relacji dwóch pozostałych członków zarządu bez wysłuchania mnie i zapoznania się z argumentami, które mogę uważać za istotne zarówno ze względu na interes firmy, jak i skarbu państwa?

Dlaczego Rada Nadzorcza nie przedstawiła mi żadnych negatywnych uwag w trybie kodeksu handlowego do sprawozdania finansowego za ubiegły rok ani nie podjęła dyskusji z zarządem w mojej obecności o budżecie na rok obecny? Czy Rady Nadzorczej nie niepokoi planowany poziom i kierunek nakładów inwestycyjnych w kontekście wartości firmy dla skarbu państwa podczas prywatyzacji?

Andrzej CHRZANOWSKI

Sprawa wydaje się nam jasna. Kwitnące przedsiębiorstwo (dla ilustracji kilka cyfr: wydawnictwo przyniosło zysk w 1998 r. 16,6 mln zł netto, wydano 712 tytułów książek o ogólnym nakładzie 26,8 mln egzemplarzy). Stanowisko prezesa jest bardzo dobrze opłacane, a po prywatyzacji jego fotel będzie wart bardzo wiele. Idealne więc miejsce na synekurę dla jakiegoś decydenta. A, że jednocześnie przedsiębiorstwo zostanie zapewne zniszczone, to nikogo nie obchodzi. Czekamy więc na wyjaśnienie ministra skarbu i ministra edukacji.

Sprawa Andrzeja Chrzanowskiego jest nam bardzo bliska, gdyż współpracował on i miał żywe kontakty wydawnicze na Litwie, Ukrainie, a nawet w Rosji, zajmował się też specjalnie podręcznikami dla polskich szkół na Wschodzie i mniejszościowych w Polsce.

Jerzy GIEDROYC

Sąsiedzi

Ukraina na rozdrożu między Wschodem i Zachodem

Lecę do Kijowa przez Warszawę w samolocie premiera Buzka. Jest to jego pierwsza wyprawa na Ukrainę. W kabinie kilka znajomych twarzy, urzędników i dziennikarzy, ale większość pasażerów mi nieznana. Okazuje się, że to kierownicy resortów gospodarki, bankowcy, przemysłowcy. W tym sensie jest to wyprawa trochę pionierska. Pamiętam, że swego czasu pierwszy prezydent powojennej wolnej Polski, Lech Wałęsa, miał ze sobą podczas jazdy do Kijowa też kilku ówczesnych biznesmenów. W przystępie fantazji zapowiedział wówczas ofensywę gospodarczą Polski na Ukrainę. Nazwał nawet jakąś pokaźną ilość przyszłych wspólnych banków. Nic z tego nie wyszło. Potem długo było nic, aż się do sprawy zabrał Aleksander Kwaśniewski. Od tego czasu ruszył handel, powstało wiele firm polskich i mieszanych przedsiębiorstw. W każdym razie podczas spotkania w maju ubiegłego roku w Charkowie wydawało się, że współpraca gospodarcza czyni postępy.

Jednak sierpniowy kryzys w Rosji uderzył rykoszetem gospodarkę ukraińską i odbił się przykrym echem w ekonomicznych stosunkach polsko-ukraińskich. Jesienią, na Forum Gospodarczym, urządzanym co roku z inicjatywy Zygmunta Berdychowskiego, w Krynicy zapowiedziano akcję walki z następstwami kryzysu. Spotkania krynickie są ważnym ogniwem w łańcuchu rozmaitych projektów gospodarczych, zwróconych nie tylko ku Ukrainie, ale również w kierunku Białorusi, Litwy i Rosji. Dawni uczestnicy i nowi goście z

Kijowa, Lwowa, Mińska, Moskwy i Wilna byli przyjemnie zaskoczeni zarówno tematyką jak i ciężarem gatunkowym tej imprezy. Ktoś to nazwał „polskim Davosem" przymierzając się do renomowanego międzynarodowego corocznego zbiegowiska światowej śmietanki głów państw i koncernów w szwajcarskim kurorcie, gdzie w ubiegłym stuleciu leczono chorych na gruźlicę a obecnie państwa cierpiące na suchoty gospodarcze. Davos to coraz bardziej snobistyczna historia, działająca według idei „zastaw się, ale postaw się". Na nasze potrzeby Krynica jest nie tylko skromniejsza ale i ważniejsza.

Premier Buzek pragnie widocznie pomóc sprawie pogłębiania stosunków między Warszawą i Kijowem. Miałem takie wrażenie z rozmów w drodze na Ukrainę i z powrotem. W dyskusjach z ukraińskimi politykami wniósł atmosferę żywej bezpośredniości, zaskakując ich takim stylem, gdyż oni wciąż jeszcze mają patyk sztywności w gardle, ze starych czasów. I dlatego sprawozdanie z działalności komisji mieszanej do spraw współpracy gospodarczo-handlowej odbywa się jak odmawianie pacierza. A tu należałoby włączyć wolną trybunę ekspertów i skończyć z napuszoną praktyką gadania urzędowych fagasów. Boję się, że ta urzędowa sztywność uśmierci dobre chęci zaangażowanych przedsiębiorców. Komisja powinna się spotykać przynajmniej co pół roku, jak dotąd raz na rok.

Dobrze, że wreszcie sprawą zbliżenia i współpracy zajęły się też obydwa gabinety, a nie tylko, jak dotąd, obydwaj prezydenci. Ale ta wizyta premiera Buzka to tylko pierwszy ostrożny kroczek, a Polska i Ukraina potrzebują dużych i odważnych kroków. W Kijowie napoczęto dwa ważne tematy – sprawę budowy rurociągu dla nafty kaspijskiej z Odessy, przez Brody, do Gdańska. Razem z projektami nawiązania szlaków komunikacyjnych i turystycznych Bałtyk-Czarne Morze, są to inicjatywy w skali historycznej. Trzeba, by ci wszyscy którzy to rozumieją nie ustawali w wysiłkach, aby się nie poddać naciskom wrogich sił, które z miejsca pojęły wyjątkową doniosłość tej idei, zmieniającej gruntownie tradycyjną geopolitykę Wschód-Zachód i w historycznej perspektywie donioślejszą niż przystąpienie Polski do NATO.

Poruszono też kwestię rekonstrukcji a właściwie ratowania unikalnej w Europie architektury Kamieńca Podolskiego. Sprawę tę należałoby rozwinąć na kwestie wspólnego rozwoju turystyki. Tu trzeba byłoby dołączyć Huculszczyznę, Lwów, Zofiówkę, Krym.

Pomruki przeszłości

Szanse na ożywienie współpracy polsko-ukraińskiej są o wiele większe niż sobie z tego zdają sprawę ministrowie obydwu narodów. Trzeba tylko posłuchać co o tym mówią ludzie, zwłaszcza w kręgach młodzieży, ale i starsi, zwłaszcza na wschodzie, głównie w wielkiej metropolii – Charkowie. O swoich niezwykle ciekawych wrażeniach właśnie na ten temat opowiadał mi niedawno Zbigniew Brzeziński, którego na wschodzie Ukrainy oblegali ludzie o propolskich nastrojach. Nie umiemy niestety spopularyzować tej naszej idei. Za dużo rutyny, za wiele drętwości, za mało entuzjazmu, a nie bardzo z ideami i pomysłami.

A trzeba nie tylko działać, ale i przeciwdziałać. Byłoby naiwnie myśleć, że wszyscy dookoła nas przyglądają się życzliwie wykuwaniu sojuszu polsko-ukraińskiego na ruinach przeciwieństw i konfliktów. Za naszymi plecami przecież działają wraże siły, którym zbliżenie polsko-ukraińskie jawi się jak groźna chimera; jak coś co *nie było, nie jest i nie budiet* – trawestując powiedzenie szowinistów rosyjskich z okresu samodierżawia na temat istnienia Ukrainy.

W Rosji są potężne siły, które się nie pogodziły z „ukraińskim separatyzmem". Wielu polityków rosyjskich, bezradnych wobec nierozwiązanych problemów społecznych i ekonomicznych ale żądnych władzy, szuka chwytów – odpowiednich dla pospólstwa haseł, szykując się do przyszłych wyborów parlamentarnych i prezydenckich, do nagonki na ukraińską niepodległość, a szczególnie na te tendencje w Kijowie, które dążą do związków z Polską a przez nią z Europą.

Tutaj wchodzą w grę rozmaite sploty historii a przede wszystkim ostatnich wydarzeń, które tylko pozornie wyglądają pozytywnie – jak na przykład bardzo jednostronnie i powierzchownie potraktowane przez polską elitę polityczną przystąpienie do NATO. Jest to niewątpliwie ogromne

wzmocnienie bezpieczeństwa dla niezawisłości Polski, ale nie na zawsze. Nie zapominajmy, że NATO to układ z minionej epoki, wciąż jeszcze najlepszy z tego, co pozostało z okresu „zimnej wojny" ale nie przystosowany do nowych i przyszłych czasów. Nie ma niestety umysłów i pomysłów na kreowanie lepszego systemu bezpieczeństwa Europy wraz z Rosją i Ukrainą oraz Kaukazem. Siła przyzwyczajenia i posucha na wielkich polityków są powszechne.

A jednocześnie powstaje bardzo realna groźba nowego podziału Europy na dwie części. Linia graniczna miałaby przebiegać w naszym odniesieniu wzdłuż Bugu i Sanu, jak ongiś pomiędzy hitlerowskim i stalinowskim imperium. Biurokratom w Brukseli taka perspektywa jawi się zupełnie normalną. Dotyczy to głównie przyszłości Unii Europejskiej. Ale i kwestia poszerzenia NATO w przyszłości natrafia już obecnie na sprzeciw zwłaszcza w Niemczech i we Francji. Faktycznie tylko Amerykanie rozumieją o co chodzi i mają jakiś koncept na wyrost.

Różne przyczyny spowodowały klęskę demokracji w Rosji i osłabienie aktywności Zachodu na Wschodzie. Poszerzenie NATO na Polskę, Węgry i Czechy niczego nie rozwiązuje, raczej konserwuje niebezpieczny *status quo*, który za miedzą Północno-Atlantyckiego Paktu może spowodować niebezpieczne następstwa. Już dzisiaj – mimo wewnętrznej słabości – Rosja mobilizuje co może, aby pokrzyżować plany zachodniego sojuszu. Rosyjscy wielkomocarstwowcy wiedzą, że odbudowa starego imperium w granicach byłego ZSSR jest nierealna. Ograniczają się więc do minimum, polegającego na koncepcji Słowiańskiego Sojuszu, złożonego z trzech części: Rosji, Białorusi i Ukrainy.

Sojusz Słowiański?

Białoruś w wydaniu Łukaszenki już dawno na to przystała, a w pewnym sensie jest dzisiaj motorem powstania takiej konfiguracji. Rosja wykorzystuje białoruskiego sojusznika do wszelkiego rodzaju posług, zwłaszcza wobec Ukrainy. Okazuje się, że nie bez sukcesu.

Głównym partnerem białoruskiego pośrednika Łukaszenki w Kijowie jest przewodniczący ukraińskiego parlamentu czyli Werchownej Rady, Ołeksander Tkaczenko. Jednoczy ich wspólnota interesów wiejskiego aparatu komunistycznego, gdyż obydwaj byli dawniej przewodniczącymi kołchozów. Obydwaj są wrogami prywatyzacji ziemi rolnej i obydwaj wyznają ideę „słowiańskiego sojuszu" trzech „bratnich" narodów: Rosji, Białorusi, Ukrainy. Tkaczenko ma taką samą mentalność jak Łukaszenko – „chłopka-roztropka", ale góruje nad partnerem w Mińsku inteligencją.

Wybór Tkaczenki na przewodniczącego Werchownej Rady odbył się nie bez pomocy prezydenta Kuczmy. A taka kandydatura zrodziła się z nieukrywanej nienawiści Kuczmy do dawnego przewodniczącego, przywódcy Partii Socjalistycznej, Ołeksandra Moroza, obarczonego co prawda bagażem ideologicznym marksizmu-leninizmu, ale jest on rzecznikiem państwowości i suwerenności Ukrainy. Ostatecznie Moroz przegrał na korzyść agrar-komunisty Tkaczenki, ale wraz z nim przegrał również Kuczma. Ponieważ Tkaczenko ma zaszarganą opinię i jest obarczony aferą korupcyjną, prezydent uważał, że będzie nim swobodnie manipulował. Pomylił się i to grubo. W międzyczasie Tkaczenko się usamodzielnił i robi własną prorosyjską „słowiańską" politykę w porozumieniu z Moskwą i Mińskiem. To za jego sprawą Werchowna Rada w końcu lutego uchwaliła przystąpienie Ukrainy do Zgromadzenia Parlamentarnego Wspólnoty Niepodległych Państw, które ma siedzibę w Petersburgu i służy interesom Moskwy. Ukraina trzymała się dotychczas z daleka od tej instytucji. A Tkaczenko forsując koncepcję wstąpienia do Zgromadzenia oświadczył, że zwolennikiem takiego kursu jest sam prezydent Kuczma. Wprowadziło to zamęt i dezorientację, tym bardziej że prezydent Ukrainy nie zdementował tej tezy. Podobnie zachował się gość z Mińska, którego przyjmowano akurat w dzień przyjęcia Polski, Czech i Węgier do NATO. Łukaszenko oświadczył publicznie w Kijowie, że Kuczma popiera przyłączenie Ukrainy do sojuszu białorusko-rosyjskiego, a ukraiński prezydent ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

W tym samym czasie minister spraw zagranicznych Borys Tarasiuk podkreśla gdzie może, że Ukraina obrała definitywnie kurs na integrację z Zachodem. Ostentacyjnie podczas

pobytu Łukaszenki, który agresywnie zareagował na rozszerzenie NATO oświadczając, że Białoruś wraz z Rosją wzmocnią kontyngenty swych wojsk na granicy z Polską włącznie z bronią atomową, Tarasiuk złożył oświadczenie, że Ukraina wyraża zadowolenie z powodu wstąpienia Polski do NATO i że jest to wydarzenie leżące w narodowych interesach państwa ukraińskiego.

Nie wykluczone, że mamy do czynienia z zaplanowanym podziałem ról. Ale taki makiawelizm gdyby naprawdę był ukartowany, miałby tylko krótkowzroczną perspektywę. Natomiast jego skutki są już teraz widoczne. Ukraińska opinia publiczna jest zdezorientowana i nie wie w co się gra naprawdę, a zagraniczni obserwatorzy zaczynają patrzeć na Kijów z podejrzeniem i niewiarą.

Bohdan OSADCZUK

Kronika białoruska

Związek Polaków na Białorusi jest zagrożony, gdyż władze białoruskie mają wątpliwości, czy Związek działa zgodnie ze swoim statutem. Sprawa jest rozpatrywana przez Ministerstwo Sprawiedliwości. Ambasada polska interweniuje. Sytuacja jest nie wyjaśniona do tej pory i przedstawia się bardzo niebezpiecznie. ■ 5-go marca w sali Akademii Muzyki w Mińsku odbył się drugi koncert z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich XX wieku". Koncert składał się z utworów dwóch kompozytorów: Lutosławskiego i Bagińskiego. Jednocześnie prof. Bagiński miał spotkania z kompozytorami należącymi do Związku Kompozytorów Białorusi. ■ W ramach programu „Trudne pytania" Instytut Polski w Mińsku gościł ks. płk. Michała Dudzisza, prawosławnego kapelana Wojska Polskiego. W czasie swego pobytu ks. płk wygłosił odczyt w Akademii Spraw Wewnętrznych na temat „Rola duszpasterza w wojsku". Ponadto odbył szereg spotkań z wykładowcami i studentami

Wydziału Teologii Europejskiego Uniwersytetu Humanistycznego. W ramach wyżej wymienionego programu przebywał w Mińsku Krzysztof Śliwiński, pełnomocnik ministra ds. kontaktów z diasporą żydowską. Pan Śliwiński omawiał zadania swojego urzędu, odbył spotkania w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Białorusi, Państwowym Komitecie Mniejszości Narodowych i Wyznań RB oraz z przedstawicielami licznej wspólnoty żydowskiej, którzy byli bardzo zainteresowani zakresem działalności pełnomocnika, podkreślając, że na Białorusi istnieje potrzeba powołania takiej instytucji, i mają zamiar zgłosić w tej sprawie wniosek. ■ 26-go stycznia w bibliotece im. Janka Kupały miała miejsce video-prezentacja Teatru Ósmego Dnia. Organizatorami tego spotkania były: Instytut Polski w Mińsku, Fundacja „Nasza Niwa" i Kolegium Białoruskie. Teatr Ósmego Dnia wzbudził ogromne zainteresowanie i tygodnik *Literatura i Mastactwo* zamieścił duży artykuł pt. „Teatr powstał na ósmy dzień". W związku z tym w kwietniu ma odbyć się w Mińsku prezentacja spektaklu „Piołun".

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie.

Notatki Redaktora

W Polsce niezmiernie uroczyście obchodzono przyjęcie Polski do NATO. M.in. była interesująca audycja poświęcona rozmowom z ludźmi, którzy w mniejszym czy większym stopniu przyczynili się do realizacji tego ważnego dla nas wydarzenia. Rozmowy przeprowadzano w sposób bardzo obiektywny, bez żadnych dyskryminacji. Była ona, niestety, ograniczona, gdyż ogromna ilość, i to osób najważniejszych, już wymarła. Skrupulatność posunięto tak daleko, że – aby nie pominąć roli AK – zwrócono się do kilku żyjących reprezentantów, mimo że odgrywali oni w AK rolę trzeciorzędną. Na tym tle jest niezrozumiałe pominięcie Jana Nowaka-Jeziorańskiego, bo przecież Sekcja Polska Wolnej Europy odegrała tu ogromną rolę. Zabrakło również przedstawiciela Instytutu i Muzeum im. gen. Sikorskiego, który jest jedynym archiwum działalności emigracji politycznej i AK.

Na tle tych wszystkich uroczystości zorganizowanych w sposób bardzo przesadny, by wykazać choć jedno pozytywne osiągnięcie obecnej koalicji, rażąca była obojętność z jaką przyjęło społeczeństwo pochłonięte coraz większymi kłopotami i trudnościami bytowymi.

●

Po opadnięciu euforii trzeba się zastanowić, jak wygląda Wojsko Polskie. Otóż stan wojska jest więcej niż opłakany. Mamy przerost generalicji i wyższych oficerów ze szkoły sowieckiej nie orientującej się zupełnie w zmianie sytuacji i nowych zadaniach, które stoją przed wojskiem. Młodzi wychodzą z wojska nie widząc dla siebie żadnych szans kariery, awansu etc. Występuje to specjalnie ostro w lotnictwie. Ponadto brakuje sprzętu i są braki w wyszkoleniu, jak np. u saperów. Było to widoczne w czasie ostatnich powodzi, gdzie

ich rola mogła być niezmiernie ważna – zwłaszcza w prowizorycznej odbudowie mostów i dróg. Tu był widoczny przede wszystkim brak odpowiedniego sprzętu. Jak wygląda wyszkolenie widzieliśmy ostatnio przy niefortunnym wysadzaniu budynków w Warszawie. Przemysł zbrojeniowy jest bardzo słaby i przeżywa ciężki kryzys, a przecież znakomicie funkcjonował w czasie Drugiej Rzeczypospolitej, mając na swoim koncie szereg poważnych sukcesów. Jest powszechny brak znajomości obcych języków co bardzo utrudnia współpracę z NATO. Już lata temu alarmowaliśmy, proponując wprowadzenie specjalnych dodatków za znajomość języków w wojsku i policji. Paradoksalnie, że znikła prawie znajomość języka rosyjskiego. Trzeba pamiętać również, że obok języków zachodnich, z angielskim na czele, byłaby bardzo potrzebna znajomość języka ukraińskiego, czeskiego i węgierskiego. Raport Najwyższej Izby Kontroli wykazał fatalny stan higieny i warunków sanitarnych. Od lat nie zrobiono nic w dziedzinie modernizacji koszar. Natomiast są pieniądze na budowę kaplic, jakby nie było wystarczającej ilości kościołów w najbliższym sąsiedztwie. Nic się nie robi w wojsku w dziedzinie wychowawczej i cywilizacyjnej, np. zwalczaniu tzw. fali, czyli znęcania się starszych żołnierzy nad młodszymi. To powinno być zadanie w pierwszym rzędzie kapelanów wojskowych, organizowanie pielgrzymek, czy setek uroczystości nie wystarcza. Pozatem szkodliwe jest nagminne wtrącanie się do polityki awansowej, i w ogóle polityki, ze strony ks. gen. Głódzia.

●

Wszystkie rządy Trzeciej Rzeczpospolitej stale zabiegały o poparcie Kościoła i unikały decyzji we wszystkich drażliwych sprawach. Ta strusia polityka doprowadziła do takich afer, jak żwirowisko w Oświęcimiu, które nas kompromituje na świecie, nadmierna tolerancja wobec Radia Maryja, które jest nie w porządku w szeregu spraw finansowo-politycznych, co jest tolerowane. Radio nie rozliczyło się np. ze zbieranych pieniędzy na ratowanie Stoczni Gdańskiej. Jest dużo nadużyć przy rewindykacji nieruchomości kościelnych nieprawnie skonfiskowanych w okresie PRL-u. Są ciągle

nadużycia przy zwalnianiu z opłat celnych darów z zagranicy dla Kościoła, np. luksusowych samochodów etc.

●

Ostatnia konferencja biskupów wysunęła postulat zakazu pracy w niedzielę i walki z alkoholizmem. O ile walka z alkoholizmem jest rzeczą niezmiernie ważną, a nawet palącą, gdzie działalność kościoła mogłaby być rzeczywiście bardzo efektywna, to zakaz np. funkcjonowania sklepów w czasie świąt uderza w szerokie warstwy społeczeństwa, które zapracowane w dzień powszedni, mają tylko w niedzielę niezbędny czas na zrobienie zakupów.

●

Niedawno ukazała się książka Anny Strońskiej „Dopóki milczy Uraina". Książka to bardzo ważna, przedstawiająca wszystkie trudności, stojące przed społeczeństwem ukraińskim, które ciągle szuka swojej tożsamości narodowej i koncepcji swojej państwowości. Niewątpliwie jest wiele rzeczy przykrych i niepokojących, jak lansowana przez Rosję koncepcja związku państw słowiańskich, tj. Rosji, Białorusi i Ukrainy, która jest cynicznym przykładem tendencji imperialistycznych ciągle żywych w Rosji, a która niespodziewanie znajduje poparcie u różnych polityków ukraińskich.

Autorka nachyla się nad tymi sprawami z wielką troską, bynajmniej nie dlatego, by wykazywać rzeczy ujemne. Uważa bowiem słusznie, że zdawanie sobie sprawy z istniejącej rzeczywistości pomaga w zwalczaniu jej skutków i uświadamia społeczeństwu polskiemu w czym możemy Ukrainie pomóc.

Niestety, to jest „trudne braterstwo". Są, niestety, pewne czynniki, na szczęście nieliczne, po stronie ukraińskiej, jak redakcja ukraińskiego *Naszego Słowa*, które uważają, że należy przedstawiać rzeczywistość tylko w różowym świetle. Oskarżając Annę Strońską o nastawienie antyukraińskie, celowo pomija się jej zwalczanie np. polskiego szowinizmu w Przemyślu. *Nasze Słowo* podaje nawet, że ambasada Ukrainy w Warszawie złożyła w polskim Ministerstwie Kultury i Sztuki protest za udzielenie dotacji na druk tej książki!! Rozdziały książki ukazywały się w *Kulturze*.

Normalizacja stosunków polsko-ukraińskich następuje bardzo powoli i z wielkimi trudnościami, ale jest coraz więcej pism i organizacji potępiających przejawy szowinizmu ze strony polskiej. Dobrze by było, gdyby podobny proces zachodził również na Ukrainie. Z pewnym optymizmem można odnotować fakt więcej niż życzliwego przyjęcia na Ukrainie polskiego filmu telewizyjnego „Trudne braterstwo" o współpracy Marszałka Piłsudskiego z Atamanem Petlurą i naszej wspólnej walki o niepodległość. Film został zrealizowany przez Mirosława Chojeckiego przy współpracy z historykami i filmowcami ukraińskimi. Należy podkreślić, że film powstał pod protektoratem prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego.

●

Poseł Andrzej Anusz, sekretarz parlamentarny AWS został magistrem historii Uniwersytetu Warszawskiego. Gdy okazało się, że praca magisterska była plagiatem, rektor UW anulował przyznany tytuł magistra p. Anuszowi. Ta decyzja została uchylona przez ministra edukacji narodowej Mirosława Handkego. Jeżeli weźmie się pod uwagę, że minister Handke sam był profesorem Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie i w latach 1993-97 pełnił funkcję rektora AGH, to tym bardziej ta decyzja jest zaskakująca. Bronienie przestępstwa o charakterze wyraźnie moralnym i łamanie autonomii uniwersyteckiej można przypisać tylko przesadnej lojalności ministra wobec swojej partii.

●

Znowu odżyła sprawa Radia Wolna Białoruś w Białymstoku, tym razem pod nazwą „Racja". Prezes zarządu spółki „Racja", Eugeniusz Wappa, jest bardzo oszczędny jeśli idzie o informacje. Podaje tylko że Radio ma być adresowane głównie do mniejszości białoruskiej w Polsce, i nie ukrywa, że ma ono współpracować z opozycją na Białorusi. Tak, jak w stosunku do Radia Wolna Białoruś, jestem temu kategorycznie przeciwny. Cokolwiek by się nie mówiło, to Radio funkcjonujące na terenie Polski będzie firmowane przez

Polskę. Otóż Polska prowadzi własną, samodzielną politykę zarówno w stosunku do mniejszości białoruskiej jak i w stosunku do Republiki Białoruskiej. Istnieje radio i telewizja w Białymstoku, jest program V Radia w Warszawie prowadzony przez tak kompetentną osobę jak p. Bogumiła Berdychowska. Istnieje sekcja białoruska w Radio Swoboda-Liberty, które reprezentuje politykę amerykańską wobec Białorusi i które, o ile mi wiadomo, współpracuje z opozycją białoruską. Bardzo mnie zaskoczyła rozmowa z Bolesławem Sulikiem, przewodniczącym KRRiTV, który uważa, że podanie o koncesję Radia „Racja" ma być potraktowane rutynowo i że koncesja będzie przyznana. Bolesław Sulik nie bierze pod uwagę, że przyznanie koncesji jest aktem politycznym, i byłoby ciekawe się dowiedzieć, kto jest inspiratorem zarówno Radia Wolna Białoruś jak i „Racja". Ciekawe, że również na Litwie są zabiegi o utworzenie analogicznej radiostacji.

●

Prasa polska zajmuje się propagandą sukcesu. Wynika to z przyjęcia amerykańskiej tezy, że wszystkie osiągnięcia dostępne są tym ludziom, którzy nie narzekają i wierzą, że są wspaniali. Ta propaganda daje rezultaty. Choć gospodarka Polski ustępuje niektórym państwom postkomunistycznym, Polacy oceniają ją lepiej niż inni swoje kraje. Tymczasem, w styczniu i lutym br. deficyt budżetu Polski wzrósł do 57% i tak został zaplanowany na cały rok 1999 (w styczniu–lutym 1997 deficyt wynosił 11% kwoty zaplanowanej na cały rok, w 1998 r. – 14,2%). Być może, że taki wzrost deficytu u nas wiąże się z większymi wydatkami, wymuszonymi przez protesty społeczne.

Jeśli idzie o wskaźnik produktu krajowego brutto, to wynosił on 68% w Czechach, 49% na Węgrzech, 46% w Słowacji, w Polsce i Estoni 37%, poniżej są tylko Rumunia, Litwa, Łotwa i Bułgaria. Widać z tego, że zamożność Polski znajduje się poniżej średniej dla Europy Wschodniej. Jeżeli średnią wydajność produkcyjną Unii Europejskiej oznaczymy jako 100, to dla najsłabiej rozwiniętej Grecji wyniesie 68, dla Słowenii 72, dla Czech 63, a dla Polski zaledwie 40.

REDAKTOR

Kronika kulturalna

Kim jest Mickiewicz?

Z powodu Roku Mickiewiczowskiego i ja zabrałem się do ponownego studiowania pism wieszcza. Przede wszystkim przeczytałem „Pana Tadeusza", co z kolei swe źródło miało w dokonanej w tym samym czasie lekturze „Dziennika" Gombrowicza. Uświadomiła mi ona, że Gombrowicz w dużej mierze ma rację nazywając Mickiewicza ojcem Sienkiewicza. Ale po kolei.

Popularność Mickiewicza bierze się przede wszystkim stąd, że wszyscy Polacy niezależnie od swych poglądów mogą w nim znaleźć coś dla siebie. Socjaliści – *Trybunę Ludów*; narodowcy i prawicowcy – zaścianek i Soplicowo; słuchacze Radia Maryja – Matkę Boską Ostrobramską i polski mesjanizm, sekciarze – Towiańskiego; klerykałowie – księdza Piotra; antyklerykałowie – ataki na klechów z papieżem włącznie; filosemici – Jankiela; antysemici – „Pchłę i rabina". Rodzi się automatycznie pytanie, czy dzieło Mickiewicza traktowane jako całość jest li tylko eklektycznym zlepkiem, dowodem kolejnych zmian poglądów, czy też jest w tym wszystkim – jak później u Brzozowskiego – jakaś myśl przewodnia, nić, na którą nanizane są te wszystkie tak różne od siebie paciorki i perły, korale i bursztyny, szkiełka i brylanty. Wyznaję, że nie potrafię z góry takiej nici wypatrzyć, ale spróbuję ją odnaleźć.

To, co mnie zniechęca do Mickiewicza, to przede wszystkim jego wściekłość na Oświecenie. Gdybyż to był jedynie atak na pseudooświecenie, z jego nieuzasadnionym i śmiesznym kultem rozumu (nie mającym nic wspólnego z posługiwaniem się rozumem), Oświecenie zwulgaryzowane przez

Holbachów i La Mettriech, zamienione w karykaturę tego, czym chcieli uczynić je Locke i Wolter! Ale nie: Mickiewicz potępiał je w całości. Utożsamiając pseudointelektualną religię rozumu z domaganiem się dla tego rozumu należnego mu miejsca, dowodził płytkości swego intelektu, co poecie takiej rangi zaiste nie przystoi. I nic dziwnego: głęboka kultura filozoficzna rodzi się przez całe pokolenia. Studia na znakomitym skądinąd w tamtych czasach Uniwersytecie Wileńskim zaledwie musnęły powierzchownie jego umysł, od dzieciństwa kształtowany przez dobrze zakonserwowaną na nowogródzkiej prowincji resztkę sarmatyzmu. Poza tym, co wiąże się jedno z drugim, nie wyzbył się bardzo ważnej, szkodliwej cechy, która później sprowadziła go na piaszczyste bezdroża mesjanizmu: przekonania o wyższości rodzimej prowincji nad Europą. Przekonanie to, mające źródło w kompleksie wynikającym z filozoficznej niedojrzałości, wyrażało się od dawna lekceważeniem szlacheckiej braci dla abstrakcyjnych rozważań, będących w ich mniemaniu jedynie nieistotną zabawą dzieci, na którą dorośli patrzą z przymrużeniem oka. Ale żeby coś odrzucić, trzeba to najpierw posiąść, poznać na wylot, zrozumieć. W pochopnym odrzuceniu przez Mickiewicza Oświecenia widoczny jest właśnie ów gest podpitego szlachciury, dorobkowi zachodniej kultury mówiącemu: „Furda!"

Widać to wszystko w „Panu Tadeuszu". Niektórzy dopatrują się w nim wprawdzie satyry na naszą zaściankowość, ale jej ostrze (o ile w ogóle jest), gdziekolwiek zabłyśnie, natychmiast stępione zostaje przez szczere wychwalanie polskiej poczciwości, a każde słowo krytyki otaczają dwa słowa nasączone niczym miodem pieszczącym sentymentem, tak, że wydźwięk krytyczny dzieła rzucony na patelnię miłej sercu narodowej swojskości roztapia się szybko, skwiercząc mile niby połeć słoniny. Czy spowodowała to tylko tęsknota wygnańca do utraconej ojczyzny, wspierana przez nostalgię do kraiku dzieciństwa? Chyba nie. Pobratanie się panów braci w czasie bitwy z Rosjanami oraz uwolnienie w ostatniej księdze chłopów z poddaństwa przez Tadeusza i Zosię bierze się z wiary Mickiewicza, że dwór i zaścianek, mimo wszystkich swoich wad, zdolne były do samonaprawy. Wiara taka ma za sobą argument nie lada jaki, bo fakt historyczny: próbę

naprawy Rzeczypospolitej w samym końcu jej istnienia, polegającą na uchwaleniu Konstytucji 3 Maja. Choć przeciwnicy ustawy podnieśli głośne *larum*, bez pomocy z zewnątrz, nie obaliliby jej. Niechęć Mickiewicza do Oświecenia bierze się być może i stąd, że jego francuscy czy niemieccy luminarze atakowali rozpadające się państwo, otwarcie nawołując Fryderyka i Katarzynę do jego likwidacji. „Pan Tadeusz" byłby w takim razie spóźnioną polemiką z poglądem, że Rzeczpospolita była kalającym nowoczesną Europę anachronizmem, który w imię rozumu musiał być unicestwiony. Polemika ta miała dowodzić, że do wolności wszystkich obywateli każdy kraj potrafi i ma prawo dochodzić własną drogą. Jednocześnie, aby była skuteczna, musiała idealizować mocno szlachecką formację oraz jej państwo i w efekcie lała wodę na młyny potomków sarmatów – konserwatystów, endeków, narodowych prawicowców.

Mickiewicz w ogóle nie lubił Europy Zachodniej, przynajmniej od czasu, kiedy musiał z konieczności osiąść w niej na stałe. W „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego" wyraża się o jej narodach z nieukrywaną pogardą, zarzucając im troskę wyłącznie o własny interes polityczny, połączony na ogół z korzyścią materialną. Historiozofia Mickiewicza była przy tym bardzo prymitywna, bo przyczyn zakłócania trwającego od stworzenia świata pochodu wolności dopatrywał się on w działaniach diabła. To on raz po raz miał kusić władców i całe ludy do zbaczania ze słusznej drogi, co owocowało ściągnięciem na ziemię przeróżnych nieszczęść, dotykających także te narody, które – jak polski – dochowały wierności Chrystusowi. Taki sposób patrzenia na historię, nakładający na dzieje ludzkości siatkę pojęć religijnych, automatycznie uwalniał „historiozofa" od wnikliwych analiz prawnych, politycznych, socjologicznych, uniemożliwiając znalezienie faktycznych przyczyn takiego a nie innego stanu rzeczy. Nosił on piętno wciąż towarzyszącego chrześcijaństwu manicheizmu, beztrosko tłumaczącego wszelkie zło robotą czarta.

Największe cięgi dostają od Mickiewicza Francuzi, jako ci, którzy zdradzili wolność i umywszy niczym Piłat ręce, pozwolili Polsce upaść. Tymczasem czyż Podkomorzy wyśmiewający Francuzów za „wynalazek, iż ludzie są równi",

podczas gdy „o tym dawno w Pańskim pisano zakonie", nie jest jednak większym hipokrytą? Po pierwsze szlachta polska Biblii nie czytała, a już na pewno nie miała zamiaru przejmować się zawartymi w niej naukami. Wyjątkiem byli w siedemnastym wieku niektórzy arianie, ale też szybko rozprawiono się z nimi, wyrzucając ich z kraju. Taki Podkomorzy, choć niby wiedział, że „wszyscy są równi", wcale nie miał zamiaru wyzwalać swoich „chamów". W Księstwie Warszawskim zrobił to dopiero Napoleon, a już nie kto inny jak szlachta właśnie postarała się o to, by uwolnieniu z poddaństwa nie towarzyszyło obdarowanie chłopów uprawianą przez nich ziemią. Piękny gest Tadeusza i Zosi towarzyszył wkroczeniu na Litwę wojsk francuskich i uprzedzał to, co i tak lada dzień stać się musiało, nie był więc znów taki piękny, choć rzeczywiście państwo młodzi uwłaszczyli włościan razem z gruntami. To ostatnie to już jednak sfera literackiej fikcji, kolejny argument poety mający wybielić upadłą Rzeczpospolitą.

Drażni mnie w „Panu Tadeuszu" mizoginizm autora. Jakiż typ kobiety opiewa Mickiewicz? Gąskę z krasnym licem, wykształconą nie w znienawidzonej przez poetę wiedzy książkowej, ale w pasaniu kur i kaczek, pozbawioną jakichkolwiek wyższych ambicji. Jedyną jej powinnością jest podziwianie swojego pana i władcy, co najlepiej wyraża się poprzez serwowanie mu smakowitego jadła i dogadzanie w alkowie. Do spraw wyższych nie wolno jej się mieszać, bo od ich rozsądzania są mężczyźni. Kiedy Tadeusz proponuje Zosi, aby uwolnić chłopów (jak by nie było – jej chłopów), dziewczę odpowiada skromnie:

„Jestem kobietą, rządy nie należą do mnie,
Wszakże Pan będziesz mężem; ja do rady młoda,
Co Pan urządzisz, na to całym sercem zgoda!"

Ofiarą męskiego szowinizmu Mickiewicza pada także Telimena. Jakżeż pastwi się on nad nią, jak ośmiesza ją tylko dlatego, że chciała wyrwać się z zapyziałej litewskiej prowincji i pędzić światowe życie w wielkiej europejskiej stolicy! A cóż w tym złego, że nad hreczkosiejów w kontuszach przedkładała światowców ubranych w zgodzie z najnowszą francuską modą, że chciała chodzić na dworskie bale i że miała to biurko, w którym trzymała sztychy jakiegoś artysty? Fakt: trochę śmieszne były te jej fumy, biorące się przecież nie z głodu nauk i sztuk, ale z chęci brylowania w wielkim świecie, ale przecież miała do nich prawo, a Mickiewicz jej tego prawa odmawia. Dopiero, kiedy Telimena wraca do rodzimych puszcz i zgadza się poślubić Rejenta, czyli *de facto* ponosi osobistą klęskę, poeta zaczyna patrzeć na nią łaskawym wzrokiem.

Można by bronić Mickiewicza, mówiąc, że nie można było pochwalać kosmopolitki, w czasach, gdy najważniejszym zadaniem Polaków było odzyskanie niepodległości. W Telimenie, tej z petersburskich czasów, dostrzec można portret tak licznych wówczas polskich arystokratek, które lekką ręką machnęły na ojczyznę, marzyły o karierze w stolicy, z chęci zatrzymania dotychczasowych majątków oraz zdobycia pozycji na dworze wychodziły nawet za Rosjan. Nic zatem dziwnego, że poeta lansował typ dziewczyny-patriotki, wspierającej męża w walce o wyzwolenie ojczyzny. Gombrowicz zauważa, że w dziewiętnastowiecznej literaturze polskiej nie ma Młodzieńców, są co najwyżej nieletni Mężowie, którzy jeszcze dzieckiem będąc już noszą na głowie konfederatkę, a w dłoni ściskają głownię szabli. Słowem – Polak ma nie wyzwalać się z siebie, aby zostać Człowiekiem, ale odwrotnie: Człowiek od dzieciństwa wciskany jest w gorset Polaka. To samo jest z kobietami i zjawisko takie zaczyna się właśnie od Mickiewicza. Z wyjątkiem Karusi oraz kilku jej koleżanek z „Ballad i Romansów", wszystkie pojawiające się w jego utworach dziewczęta są kilkunastoletnimi Matronami, Matkami Polkami, mającymi rodzić Rycerzy, zupełnie tak – niektórym pewnie wyda się niestosowne to porównanie – jak germańskie *madchen* w czasie II wojny, które przez ideologów nazizmu traktowane były jako żywe fabryki armatniego mięsa. Zosia ma być żoną Ułana i matką Ułanów, w najlepszym wypadku może, podobnie jak Grażyna lub Emilia Plater, sama stanąć na czele Ułanów, choć to już pewna nadgorliwość, żeby nie powiedzieć – ekstrawagancja. A gdzieżby w tej literaturze miejsce na jakąś Emmę Bovary! Telimena początkowo była troszkę taką właśnie Emmą, ale też z tego powodu Mickiewicz się nad nią pastwił i zapędził z powrotem do kuchennej izby.

Właściwie czego się czepiam? Przecież były rozbiory i jeśli Polacy chcieli odzyskać niepodległość – a przecież i chcieli, i mieli do tego święte prawo – to musieli być przygotowani na ofiary. Nie można zrobić jajecznicy, nie rozbijając jaj. Mój sprzeciw budzi jednak prymitywna metoda, jaką do tego wybrano – ciosanie niemal od kolebki kolejnych pokoleń Polaków według jednego wzorca, produkcja taśmowa przyszłych bohaterów i bohaterek. Ten konserwatywny i ograniczony sposób wychowywania kolejnych pokoleń odbijał się potem czkawką przez całe pokolenia i już po odzyskaniu niepodległości był jednym z głównych powodów słabości II Rzeczypospolitej.

Wracając do stosunku Mickiewicza do samych kobiet, trzeba lojalnie przypomnieć, że pod koniec życia zdobył się wobec nich na krok w owych czasach iście rewolucyjny. Oto bowiem w „Składzie zasad" formowanego we Włoszech legionu, deklaracji będącej czymś w rodzaju przyszłej konstytucji odrodzonej Polski, przyznał im prawo wyborcze.

Niepokoją mnie fragmenty, nieliczne na szczęście, które jeśli nie były antysemickie w intencji autora, to jednak brzmią tak w uszach czytelników. Mają oni prawo odbierać je w ten sposób, a antysemici polscy z lubością je przytaczają. Chodzi o bajkę „Pchła i rabin", dwa wersy z „Pana Tadeusza" oraz kilka przypowieści z „Ksiąg pielgrzymstwa i narodu polskiego". Czy można udowodnić, że nie mają one antysemickiego charakteru? W przypadku bajki można argumentować, że jest to wiersz antyklerykalny, wymierzony w instytucję kościelną, tyle tylko, że za negatywny wzór posłużył tym razem poecie nie Kościół katolicki, lecz Synagoga. W końcu fakt, że Mickiewicz był katolikiem nie ograniczał jego prawa krytyki do wyłącznie własnego Kościoła. Negatywne zjawiska widział także w innych Kościołach i miał święte prawo o nich pisać. To samo można by twierdzić o przypowieściach z „Ksiąg", w których pewne negatywne według Mickiewicza zjawiska zostały ukazane na przykładzie Żydów.

Aliści rozumowanie takie, choć niby logiczne, wydaje mi się jednak naciągane. Czytając wspomniane fragmenty nie mogę pozbyć się uczucia niesmaku. Czy to dlatego, że jestem bogatszy od wieszcza o ponurą wiedzę o holokauście, której on posiadać przecież nie mógł? Trudno wyobrazić sobie, by – zdobywszy tę wiedzę w jakiś nadprzyrodzony sposób – był w stanie napisać te wersy po raz wtóry. Prawdopodobnie chlasnął je bez wielkiego namysłu, nie spodziewając się, aby mogły one być interpretowane jako zwykły atak na Izraelitów. Tak też można by tłumaczyć ten fragment „Pana Tadeusza", gdzie autor powtarza bezkrytycznie jedną z opowieści o „dzieciach od Żydów kłutych igiełkami". Wieszcz z pewnością nie wierzył w te brednie i zapisał je wyłącznie dlatego, że były trwałą częścią polskiego religijnego folkloru. A jednak, wrzucone tak ni stąd ni zowąd w opowieść na zupełnie inny temat nabrały one samodzielnego bytu o wyraźnie antysemickim charakterze. To również z takich opowieści, powtarzanych może i bez wiary w ich prawdziwość, ale i bez najmniejszego krytycznego komentarza, wzięła się dwudziestowieczna zagłada narodu żydowskiego. Obiektywnie rzecz biorąc, Mickiewicz zawinił i nic go nie broni. W końcu był artystą słowa i jako taki powinien był rozważniej dobierać słowa. Poeta nie ma większej powinności.

Oczywiście nikt nie może zakwestionować szacunku i przyjaźni, które Mickiewicz miał dla narodu żydowskiego, czego dowodzi i postać Jankiela, i liczne wypowiedzi na ten temat, i wreszcie pomysł zorganizowania legionu Izraelitów. Tym większa szkoda, że popełnił tych kilkanaście nieprzemyślanych wierszy.

Wydaje się, że jednym z kluczy do światopoglądu Mickiewicza jest słowo „Rzeczpospolita". Przez większość życia był on w pewnym sensie republikaninem i jego obrona szlacheckiej Polski z tego właśnie się bierze, że była ona republiką, której prezydent zwał się tylko królem. Zachwyt Mickiewicza dla autokratycznego cesarza Francuzów też paradoksalnie mógł wynikać z umiłowania porządku republikańskiego, bo poeta widział w Napoleonie roznosiciela rewolucji, a przy tym wszystkim władcę wybranego – przynajmniej formalnie – przez cały naród w plebiscycie, podobnie jak królowie polscy. Podobne powody zadecydowały o poparciu przez poetę Ludwika Napoleona jako prezydenta, a następnie nowego cesarza Francuzów. Z kolei wolnościowe przekonania Mickiewicza brały się z lektury Biblii. Sięgając po nią wyłamywał się z tradycji polskiego katolicyzmu, a wyłom był tym większy, że nie czytał jej pod czujnym okiem spowiednika,

ale samodzielnie, śmiało wyprowadzając radykalne wnioski. Przekonanie, że nie tylko szlachta, ale w ogóle „wszyscy ludzie są równi" wyprowadził właśnie stamtąd. Dzieje Rzeczpospolitej, zakończone uchwaleniem Konstytucji 3 Maja, były w jego oczach urzeczywistnianiem zaleceń Pisma, brutalnie przerwanym przez trzech Antychrystów. Im bardziej owa diabelska trójka odwoływała się do oświeceniowych ideałów, tym bardziej poeta odrzucał „fałszywą", uzasadnianą rozumem wolność i wyprowadzał wolność z serca – czyli Biblii.

Był to człowiek wiary żywej, głębokiej. Nazywał siebie wszakże „katolikiem nieurzędowym" w przeciwieństwie do „urzędowych", skupionych wokół hierarchii i stojącego na jej czele papieża. Kościołowi zarzucał zdradzanie wiary w imię polityki, prowadzonej przez tę instytucję. Najlepszym i najbardziej bolesnym przykładem takiego zachowania było potępienie przez papiestwo powstania listopadowego i rzucanie polskich katolików na pożarcie rosyjskiemu potworowi w zamian za obietnicę Molocha, że będzie pilnował reakcyjnego porządku w Europie. To przedkładanie polityki nad solidarność z cierpiącymi współbraćmi napawało go zgrozą i niechęcią do skostniałej katolickiej hierarchii. Charakterystyczne jest podkreślanie w jego utworach troski o pojedynczego, konkretnego człowieka, a nie o abstrakcyjną ludzkość. Podważając autorytet instytucji nigdy nie kwestionował jednak Mickiewicz treści doktryny, samych dogmatów – ani przed przystąpieniem do Towiańskiego, ani później. Uważał się za prawowiernego katolika i podkreślał to zawsze i wszędzie, zwłaszcza wobec tych, którzy posądzali go o herezję. Ale heretykiem mimo wszystko był. Po pierwsze, czynił go nim mesjanizm narodowy, czyli wiara w kolektywnego zbawiciela – Polskę – cierpiącego w imię przyszłego szczęścia powszechnego. Po drugie, wierzył w metempsychozę, a ta chrześcijaństwu jest zupełnie obca.

Żywiołowa wiara, wywołująca buntowniczą postawę wobec zmumifikowanej instytucji Kościoła, pociągała go do lektur samodzielnych badaczy Pisma Świętego: Anioła Sązaka, Jakuba Boehme czy Saint-Martina, myślicieli podejrzanych w oczach ortodoksów. Owo szukanie własnej drogi cenię w nim niezmiernie. Ale tego typu wiara potrzebuje kontroli rozumu, przeciwwagi, która powstrzyma ją przed samozaślepieniem,

popadnięciem w skrajność i w efekcie – samozatraceniem. Mickiewicz, odrzuciwszy całkowicie rozum, tej kotwicy nie miał i nic dziwnego, że skończył tam, gdzie skończył – w sekcie.

Tu też jego republikanizm doznał poważnego uszczerbku. Pod wpływem Towiańskiego uznał, że możliwe jest nawrócenie na głoszoną przez „Mistrza" doktrynę samego cara Mikołaja. Razem z Towiańskim wysmażył wtedy list do rosyjskiego monarchy, w którym roztaczał wizje wielkiego państwa słowiańskiego, państwa demokratycznego, państwa wolnych sfederowanych ludów, ale rządzonego przez... cara. Wielu czytelników i badaczy pism Mickiewicza widziało w tym dowód na umysłową zapaść, jaką przeżywał on w czasach trzymania z towiańczykami. Tymczasem nie ma w tym nic dziwnego, geneza tych poglądów tkwi w lekturze Biblii i w propagowanej przez Księgę władzy patriarchalnej. Mickiewicz, który był naturą na wskroś religijną i na politykę patrzył przez okulary gorącej wiary, nie miał wątpliwości, że możliwe jest połączenie wolności osobistej obywatela z monarchiczną, nawet autorytarną formą rządów – oczywiście pod warunkiem, że władca będzie prawdziwym chrześcijaninem. To był jeden z powodów jego uwielbienia dla Napoleona, w którym widział kontynuatora dzieła Chrystusa. Z liczeniem na chrześcijańskie cnoty władców, jak wiadomo, był jednak zawsze kłopot i przecież republikę z jej wybieralnymi i zmienianymi co jakiś czas władzami wymyślono właśnie po to, żeby zabezpieczyć się przed możliwością dorwania się do rządów jakiegoś Dżyngis-Chana. Dla ówczesnych Polaków było jasne, że Mikołaj jest właśnie kolejnym wcieleniem tatarskiego despoty i nie mogli oni zrozumieć, jak Mickiewicz mógł wyciągać do niego rękę. Poeta padł ponownie ofiarą swej prostackiej historiozofii, zgodnie z którą jeśli władca jest dobry, to od razu wszystko w państwie idzie dobrze. Zniżał się w ten sposób do poziomu zwykłego ludu, który jak świat światem wierzył, że król jest dobry, tylko nic nie wie o niedoli poddanych, gnębionych przez złych panów. Co ciekawsze – zniżał się z pełną tego świadomością i z własnej woli, wynosząc „naiwne" chrześcijaństwo prostaczków nad „wyrafinowane" chrześcijaństwo filozofów. Tak mściła się na nim po raz kolejny pogarda, z jaką traktował rozum.

Wadą Mickiewicza było to, że o wszystkim myślał z rozpaloną głową. Takim zapamiętali go Francuzi. W ich charakterystykach poety regularnie powtarzają się te same spostrzeżenia: rozwiany włos, błysk w oku, człowiek palony przez wewnętrzny ogień, bardziej prorok niż poeta. „Ja o Bogu przy herbacie nie gadam!"– huknął raz Lamartine'owi, gdy ten spotkawszy go na ulicy zaproponował, by poszli gdzieś pogadać. Owszem: prawie wszystkim im podobał się takim, ale jednocześnie, z wyjątkiem niektórych ortodoksyjnych katolików (przekonanych, że Mickiewicz jest najprzykładniejszym katolikiem) i niektórych chrześcijan rewolucyjnych (przekonanych, że jest on wrogiem Rzymu), zdecydowana większość dystansowała się wobec jego poglądów, sugerując, że te „mistycyzmy" dobre są może dla Polaków, ale dla Francuzów nie bardzo. Woleli oni zdecydowanie nieewangeliczną „letniość", pozwalającą na chłodny, rozumny ogląd świata, niż zalecaną przez Mickiewicza „gorącość". Jeśli uświadomimy sobie, że i najwięksi tyrani (na przykład Hitler) siłę brali często z owego „gorąca", ostrożność paryskich racjonalistów winniśmy darzyć przynajmniej zrozumieniem, jeśli nie szacunkiem.

O stosunku Mickiewicza do Zachodu decydował w dużej mierze kompleks niższości, wyrażający się, jak to często bywa, przekonaniem o własnej wyższości. Poeta był dumny z tego, że Polska pozostała wierna Chrystusowi, podczas gdy Zachód sprzedał się złotym cielcom: „Handlowi", „Dobrobytowi", „Budżetowi". Wieszcz zawsze przedkładał ewangeliczne ubóstwo nad bogactwo materialne, o co trudno mieć do niego pretensje; prawdziwy intelektualista powinien być odporny na takie pokusy. Ale obnoszenie się z polską biedą i podnoszenie jej do rangi cnoty (co i dziś wcale często się zdarza) było czymś śmiesznym, a do tego żałosnym. W znanym liście, wysłanym przez Mickiewicza tuż przed śmiercią z Turcji, opisuje on, jak to w Smyrnie zamiast podziwiać starogreckie ruiny przypatrywał się długo z oczarowaniem kupie śmieci na ulicy, bo mu ta kupa przypomniała takie same kupy leżące przed karczmami i chatami litewskich miasteczek. Cóż, zgadzam się, że miłe wspomnienia kraju dzieciństwa niekoniecznie muszą być przywoływane przez zamoczoną w słodkim lipowym naparze magdalenkę – może

to być nawet sterta gnoju. Ale opisywanie tej sterty z takim zachwytem, jakby chodziło o polski odpowiednik rzymskich łuków tryumfalnych czy egipskich piramid, to jednak gruba przesada.

Będąc Wielkopolaninem, zastanawiam się nad powodem niechęci poety do mieszkańców tejże części kraju, ujawnionej choćby w „Panu Tadeuszu", i dochodzę do wniosku, że brała się ona po części właśnie z zazdrości o gospodarczy awans zachodniej prowincji. Wielkopolanie przyjęli przecież Mickiewicza bardzo życzliwie. Przez kilka miesięcy gościli go w swoich dworach, nie wypominali mu, że może już czas przeprawić się przez Prosnę, a wręcz przeciwnie – doradzali, by z przekroczeniem granicznego kordonu czekać na sposobny moment. Jedna z ich córek nudę owego oczekiwania pozwalała mu nawet zabijać we własnych, ochoczo rozłożonych ramionach. W zamian spotkała ich czarna niewdzięczność. Dlaczego? Bo poetę kłuła w oczy zamożność Wielkopolan i porządek panujący w ich majątkach. W tej części Polski nie było w ogóle zaścianków, przeważali ziemianie średnio zamożni. Dwory nie przypominały chłopskich chałup, nie były nawet, jak dwór w Soplicowie, podmurowane, ale – murowane. Folwarki wzorowo prowadzone, nowoczesne, obejścia czyste. Słowem – wszystko w niczym nie przypominało okolic Wilna i Nowogródka. Przyznanie się do tego wprost byłoby jednak bolesne, dlatego Mickiewicz wolał odwrócić kota ogonem i oskarżać Wielkopolan o zniemczenie i wyzbycie się polskości. Panie Adamie, bój się pan Boga! Czyżby naprawdę na jej straży miała czuwać rozdeptana przed knajpą kupa końskiego gnoju?

Dla mnie najwspanialszym dziełem Mickiewicza jest „Ustęp" III części „Dziadów" w którym poeta najbardziej zbliża się do klasycyzmu. Żadnych romantycznych „wzlotów", żadnych bełkotów wysypujących się z ust szybciej niźli myśl zdoła zamienić je w rozumną mowę, żadnych histerycznych egzaltacji. Przeciwnie: spokojna opowieść, dystans, i w efekcie – przenikliwa wizja Rosji, zawierająca w kondensacji te wszystkie obserwacje, którymi dziesięć lat później zadziwi (i przerazi) Zachód markiz de Custine. Jednocześnie chłód narracji w „Ustępie" wyzwala ogromny ładunek emocji, ale nie tej krzykliwej, powierzchownej, ale

głębokiej, palącej jak kipiąca pod skorupą ziemi lawa. A wszystko dzięki temu, że pisząc „Ustęp" Mickiewicz na krótko odzyskał równowagę między wiarą i rozumem. W myśl tej równowagi serce – a i owszem – musi być gorące, ale za to umysł – zimny. Wtedy człowiek nie popada w zawsze zgubną skrajność, władze jego duszy są ze sobą w harmonii i dzięki temu może on się spełniać w całkowity sposób, z pożytkiem dla samego siebie i dla całego społeczeństwa.

Nicią, która scala utwory Mickiewicza – a nie tylko utwory, bo i działalność polityczną – jest bunt przeciw staremu światu, przekonanie o równych prawach wszystkich ludzi, a zarazem wstręt do każdego rodzaju politycznego i religijnego zniewolenia. Młodzian konspirujący w związku filaretów, początkujący poeta piszący „Ballady i romanse" i znany twórca ślęczący nad „Dziadami", wreszcie sekciarz i przedwcześnie postarzały organizator legionów, to cały czas jedna i ta sama osoba: buntownik próbujący wydostać się ze skorupy, w której próbuje zamknąć jego samego i jego żywych, cierpiących braci konserwatywne społeczeństwo. Słabością tego buntu było wszakże to, że miał on w całości charakter romantyczny, to znaczy opierał się wyłącznie na pragnieniu serca, a wypierał zupełnie rozum. Ta jednostronność spowodowała, że jako metoda walki zarówno o nowe społeczeństwo, jak i niepodległość Polski, musiał zawieść (co historia naszego kraju wykazała dobitnie), a przy okazji pokaleczył boleśnie dłonie tych, którzy użyli go jako oręża.

Gombrowicz zarzuca poecie, że jego dzieło jest zwierciadłem, przed którym mizdrzy się Polak i mówi do siebie: „Patrzcie, jakiż ja cnotliwy, jakiż w swej cnocie piękny!" I nuże z pretensjami do obcych, że tego nie dostrzegają i zamiast za to nagrodzić, na rękach nosić, to się z pogardą lub obojętnością odwracają, a i kijem potrafią niezgorzej dołożyć. Niewątpliwie Mickiewicz jest odpowiedzialny za ów onanizm dziewiętnastowiecznej literatury polskiej. Przy lekturze „Ksiąg" uderzyła mnie bardzo uwaga, by Polacy chcąc dokonać czegoś pożytecznego dla kraju, nie zastanawiali się nad swoją przeszłością „Mówiąc o przeszłości, jeśli powtarzacie: Oto w tej bitwie zrobiono taki błąd, a w owej bitwie taki błąd, a w takim marszu taki błąd; dobrze to jest, ale nie myślcie, żeście bardzo rozumni; bo łatwo widzieć niedostatki, a trudno zalety. (...) Gotując się do przyszłości, potrzeba się wracać myślą w przeszłość, ale o tyle tylko, o ile człowiek gotujący się do przeskoczenia rowu wraca się w tył, aby się tym lepiej rozpędzić." Można w tym pouczeniu widzieć wprawdzie jedynie nawiązanie do sporów o przyczynę upadku powstania listopadowego – sporów, które przetaczały się w chwili powstawania „Ksiąg" przez emigrację, dzieląc ją na skłócone ze sobą odłamy. Ale można też nadawać jej szersze rozumienie i uważać, że studiowanie tradycji w niczym nie pomaga w tworzeniu nowego ładu. Tymczasem każdy historyk, każdy prawdziwy intelektualista wie, że jest to oczywista nieprawda. Każde pokolenie jest dzieckiem wielowiekowej tradycji i jeśli chce zrozumieć, jakie samo jest, musi najpierw zrozumieć tę tradycję. Im lepiej ją pozna, im bardziej się w nią zagłębi, im więcej pytań postawi swoim przodkom i im bardziej bezkompromisowe to będą pytania, tym łatwiej ocenić mu będzie faktyczny stan teraźniejszości. A im więcej danych będzie miał o współczesności, tym łatwiej będzie mu kształtować przyszłość. Pokolenie Mickiewicza było pierwszym urodzonym po rozbiorach i ciążyła na nim olbrzymia odpowiedzialność za dokonanie analizy upadku Rzeczypospolitej – analizy niezmiernie ważnej, bo pierwszej, niejako archetypicznej. Istniała obawa, że analiza ta będzie wzorem dla przyszłych pokoleń, które przez jej okulary patrzeć będą na historię Polski. Tak się zresztą stało, niestety. Niestety – albowiem analiza była na ogół bardzo płytka. Mickiewicz jest tego najlepszym przykładem. Jego historiozofia, nieszczęścia Polski wpisująca w walkę Chrystusa z Szatanem, połączona z owym wytykanym przez Gombrowicza brakiem umiaru w pochlebnej ocenie siebie samych, uniemożliwiła kilku następnym pokoleniom Polaków racjonalną ocenę rzeczywistości. Zamknięci w otoczonym sztachetami folwarczku samouwielbienia, nie potrafili spojrzeć na siebie z innej perspektywy. Dzieło Mickiewicza i pisma czerpiących z jego przykładów pisarzy ówczesnych zachęcało do tego pierwszego, uniemożliwiało, a przynajmniej niezmiernie utrudniało, to drugie. W czasach gdy Balzak spoglądał na społeczeństwo jak przyrodnik na królestwo zwierząt, gdy z pasją szukał ostatecznej prawdy o cywilizacji ludzkiej, nawet jeśli miałaby to być okrutna prawda, gdy bez litości dokonywał

psychologicznej i socjologicznej wiwisekcji swoich bohaterów, a wszystko po to, by zedrzeć z człowieka historyczny kostium, zajrzeć pod miny i maski i odkryć człowieka nagiego, Człowieka Prawdziwego, wtedy Mickiewicz kurczowo naciska na głowę ową słynną czamarę, jakby człowieczeństwo Polaka właśnie w niej, a nie pod nią, się kryło. Ha, ha! Rastignac w Soplicowie! Lucjan de Rubempre opuszcza zaścianek dobrzyński i wyrusza na podbój Petersburga, plując na Warszawę zdobywaną właśnie przez Moskali! Vautrin trafia do celi u bazylianów za kradzież klejnotów gubernatorowej, po czym zbiegłszy z katorgi zostaje chanem chińskiego plemienia! Na samą myśl o tych ledwie hasłem zarysowanych fabułach rodzi się we mnie żal za straconymi szansami dziewiętnastowiecznej literatury polskiej. Ileż świeżego powietrza wleciałoby do niej gdy Tadeusz-Nucingen miast iść jako ułan pod Borodino, cynicznie zbijał krocie na dostawach przewalających się przez Litwę armii! Jacyż inni – bogatsi duchowo – byliby Polacy przez taką literaturę wychowani! Ale Mickiewicz na dziesięciolecia zamknął to okno, zabił je dechami i kazał wdychać woń narodowego kadzidła, zapalonego obok słoja z kiszonymi ogórkami.

Ci, którzy chcieliby dziś wpisać Mickiewicza na listę przeciwników Zachodu i uczynić zeń ojca Sienkiewicza, piewcę Polski zaściankowej, mają zatem wiele racji. Parafiańszczyzna jest mocno obecna w jego utworach. Z drugiej strony, można by też znaleźć w nich agitację dla społeczeństwa otwartego i zjednoczonej Europy. Czego jest więcej? Moim zdaniem tego pierwszego, a powody wyjaśniłem: „Gdy rozum śpi, budzą się upiory". W dziełach wieszcza hasa ich całe mnóstwo, zwłaszcza między wierszami.

Arkadiusz PACHOLSKI

Grotowski i jego wiek

Minęło zaledwie kilka tygodni, nie przestał być obecny, ale jest jakby inaczej obecny. Obecny w całym wieku, do którego należał. Wiek XX zaczął się kończyć jeszcze przed jego śmiercią. Oczywiście czas, i w nim historia, tylko umownie dzieli się na wieki. Ale przecież nie tylko dla komputerów nasz wiek się kończy. Tak, powiedział, na wieki nie jest tylko umowa, myślimy o kulturze i o historii wiekami. W stuleciach historia jak gdyby odrębnie się dzieje, bez myślenia stuleciami – wydaje mi się – bylibyśmy pogubieni.

Już w ciągu tych kilku tygodni, które nastąpiły po śmierci Grotowskiego, coraz jaśniej rysuje się, jak należał do swojego wieku, albo już ściślej, do dziejów i do miejsca teatru w XX wieku. Był w jego dziejach, w widzeniu teatru, w myśleniu o teatrze jedną z najznaczniejszych osób. I nie tylko polskich. Obok Kantora to jest drugie największe nazwisko, druga najważniejsza postać w teatrze europejskim i nie tylko europejskim tego wieku, który w naszych oczach, albo może nawet lepiej powiedzieć w nas samych, odchodzi.

Ten ciąg wielkich odnowicieli teatru, miejsca i myślenia o teatrze, w którym widzimy teraz Grotowskiego, można zacząć od Craiga i być może zakończyć na Peter Brooku, jeżeli w takim ciągu istnieje w ogóle jakiś koniec. Ale jeżeli myślimy o miejscu Grotowskiego, to wydaje mi się, że najważniejsi w drodze Grotowskiego byli Artaud i Stanisławski. Wpływ Artauda był krótki; i chyba tylko w okresie teatru Laboratorium we Wrocławiu. Najważniejsze chyba było dla Grotowskiego w tym wpływie Artauda wołanie, że teatr ma być czymś innym niż był dotąd. Wstrząsem. I ten wstrząs teatru ma być nie w tekstach, nie w dekoracjach, ale przede wszystkim w aktorstwie. Wpływ Stanisławskiego był długi i chyba coraz silniejszy w myśleniu o teatrze i w wypowiedziach Grotowskiego. Teoria działań fizycznych w szkoleniu aktora i w przygotowywaniu roli przejęta została często opatrznie i zbyt dosłownie przez większość szkół teatralnych

w Ameryce, ale w tym wpływie Stanisławskiego na Grotowskiego najważniejsze wydaje mi się rozumienie fizyczności aktorstwa. Wolałbym nawet sformułować to wyraźniej: cielesność aktora.

Swoje początki teatralne w Opolu i w Teatrze Laboratorium we Wrocławiu Grotowski nazywał teatrem ubogim. W teatrze ubogim jest tylko aktor i widzowie, albo może nawet jeszcze ściślej, aktor między widzami. To między wydaje mi się szczególnie ważne.

Pamiętam po latach, a przecież jest ich już niemal trzydzieści, „Akropolis", „Księcia niezłomnego" i ostatnie z tego wielkiego ciągu spektakli, które teraz już należą do legendy, „Apocalipsis cum figuris". „Akropolis" Wyspiańskiego dział się w tym teatrze w Opolu, w wizji obozu koncentracyjnego. Półnagie ciała ocierały się jak w męce niemal o kolana widza. W „Księciu niezłomnym" Cieślak umęczony nie tylko we wzroku, ale niemal w dotyku widza. Aktorstwo Cieślaka, a raczej fizyczność, cielesność jego tortur, nie zostało chyba nigdy przewyższone. Ostatnie z tych wydarzeń teatralnych, „Apocalipsis cum figuris", wstrząsające niemal bluźnierczo, dzieje się w Częstochowie pielgrzymek i jakby jednocześnie w przyjściu Chrystusa. Nie jest dla mnie do końca jasne, dlaczego Grotowski na tej wstrząsającej Apokalipsie zakończył swój teatr publiczny. Dwukrotnie o to pytałem Grotowskiego, ale nie odpowiadał tylko się zamyślał. Myślę, że Grotowski pojął, albo mu się wydawało że pojął, że dalej już iść nie może.

Następny etap poszukiwań Grotowskiego nazywany jest często teatrem źródeł. Znowu niejasne dla mnie, czym miały być te parateatralne poszukiwania. Ale właśnie wtedy przybywają do Grotowskiego nie tylko młodzi ludzie spragnieni czegoś co jest teatrem i nie jest teatrem ale i pielgrzymi, takie słowo mi się tutaj nasuwa, z Europy i z Ameryki, reżyserzy zamyślający o nowym teatrze. I wśród nich Barba, który potem prowadził własny teatr, w jakiejś mierze będący kontynuacją Grotowskiego, Czajkin, niedługo potem jeden z najbardziej niezależnych inspiratorów i realizatorów innego teatru, i chyba już wtedy Peter Brook.

I dopiero teraz zaczynam rozumieć, że w tym parateatrze nocnych wędrówek po lesie czy kąpieli w jeziorze, szukał

Grotowski tego, co można by nazwać międzyludzkim, co jest przeszłe, zmienne, ale zarazem niezmienne. Było w tym zawsze odnajdywanie czegoś, co jest poza ciałem, w ciele. Może najbardziej wtedy, i jeszcze później, i za jego lat w Pontederze, właśnie w śpiewie. W tych poszukiwaniach metafizyki i tradycji, właśnie w śpiewie jest fizyczność: ruch przepony i gardła, które jest materią, w której poczyna się śpiew.

W małym miasteczku Pontedera, o 10 kilometrów od Florencji, Grotowski prowadził aż do śmierci dla zamkniętej grupy uczestników to, co zostało nazwane „Centrum di lavoro". I tam padło ostatnie, jedno z tych wielkich zawołań, które potem podjął Peter Brook: „Sztuka jako wehikuł". Tym „wehikułem" na pewno dla Petera Brooka, a przecież i dla Grotowskiego był teatr. Ale, jeśli teatr pojmować jako wehikuł, to tym elmementarnym wehikułem w teatrze jest aktor. Albo może jeszcze ściślej, ciało aktora. Ciało jest wehikułem duszy we wszystkich ćwiczeniach medytacji, w umartwianiach ciała w zakonach kontemplacyjnych i w innej tradycji, ale dla Grotowskiego może jeszcze ważniejszej, w buddyjskim zen. I dla nas być może bliżej, w niezmiennym pochylaniu się i kołysaniu chłopców, którzy są często niemal jeszcze dziećmi w jarmułkach i pejsach kunsztownie skręconych nad wersetami tory. I może trzeba to jeszcze raz powtórzyć, wehikułem duszy może być właśnie umęczenie ciała. Jak umęczony został Cieślak w „Księciu niezłomnym", kiedy przekraczał granice aktorstwa.

Ostatnim z tekstów Grotowskiego z roku 1987 jest „PERFORMER" przez duże „P", po francusku, po angielsku, po włosku i w skontrolowanej przez samego Grotowskiego wersji polskiej.

> „Performer – jest człowiekiem czynu, a nie człowiekiem, który gra innego. Jest tancerzem, kapłanem, wojownikiem; jest poza podziałami na gatunki sztuki. Rytuał to *performance*, akcja spełniona, akt. Zwyrodniały rytuał jest widowiskiem. Nie chce odkrywać tego, co nowe, lecz co zapomniane".

Ten tekst jest hermetyczny. Nie wiem, jak oddać po polsku słowo *performer* przez duże P. Może jako sprawcę,

może jako mistrza, a może najlepiej po prostu „NAUCZYCIELA". Grotowskiego za życia nazywano czasem „guru". W pośmiertnych wspomnieniach parokrotnie nazwano go Magiem. Ale oba te określenia wydają mi się fałszywe, należą do innej semantyki, do innej, obcej tradycji. Grotowski wielokrotnie nazywał siebie „NAUCZYCIELEM". I tak w tym późnym tekście:

> „Jestem nauczycielem performera (używam liczby pojedynczej performera). Nauczyciel – jak w rzemiosłach – to ten, przez którego nauczanie przechodzi: nauczanie trzeba otrzymać, ale tylko osobisty może być fakt, jak praktykant na nowo odkrywa je i w nim się pamięta... Performer to stan istnienia".

Nauczanie pojmował i stosował Grotowski jak w dawnym rzemiośle: majster uczy czeladnika. Ale majster to skromniej niż mistrz. Grotowski był niewątpliwie mistrzem, ale przez wiele lat dla niewielu. Prowadził zajęcia w zamkniętych grupach, nawet jak w Pontederze niewielkich. Ale jego nauczanie było jak kamień rzucony w wodę, od którego fale rozchodzą się coraz dalej.

Grotowski opuścił Polskę jeszcze podczas stanu wojennego i pozostał aż do śmierci uchodźcą, nawet kiedy parokrotnie powracał na spotkania i na odebranie we Wrocławiu doktoratu honorowego. Przez wiele lat niemal do samego końca był naprzód ośmieszany, a potem lekceważony przez środowiska teatralne w Polsce. Pozostał jak Kantor do końca na dalekich marginesach oficjalnych struktur teatralnych. Uznanie przyszło dopiero, podobnie jak w przypadku Kantora, po tym wielkim miejscu, jakie zajęli obaj w świecie.

Zawsze mam pewien lęk przed symbolicznymi porównaniami. Ale istnieje chyba jakieś właśnie głębokie, symboliczne przyrównanie katedry Grotowskiego w Collège de France z wykładami w Collège de France Mickiewicza. Jedne i drugie zostały gwałtownie przerwane, u Mickiewicza przez zalęknioną władzę, u Grotowskiego przez śmiertelną chorobę. Lekcja XVIII prelekcji Mickiewicza stała się ewangelią narodowego teatru dla Wyspiańskiego, i potem dla Schillera.

W pewien sposób stała się przesłaniem dla polskiego teatru. Grotowskiego przesłanie jest jeszcze ciągle żywe i nie do końca przejęte.

Grotowski powiedział kiedyś: „Jestem jak ptak, który dziobie ziarno i sam siebie widzi". Piękny gnom i w jakiś sposób być może zagadkowy. Jak niejedno z pism i z wypowiedzi Grotowskiego. Grotowski już w tych paru tygodniach od jego odejścia staje się coraz bardziej legendą i wzorem. I to legendą i wzorem nie tylko dla polskiego teatru.

Jan KOTT

Jan Bloch w Petersburgu

Bohaterem parodniowej (24-27 II 1999 r.) konferencji międzynarodowej, która odbyła się w Petersburgu n.t. „Przyszłości wojny" jej niebezpieczeństw, natury i charakteru był Jan Bloch (1836-1902) mało znany u nas bankier warszawski, „król kolei", ekonomista, pionier statystyki i autor wielu cenionych do dziś monografii.

Czemu jednak akurat on został tak wyróżniony, że to ważne spotkanie zorganizowane przez prestiżową holenderską Fundation for War Studies z Groningen wespół z Uniwersytetem Petersburskim odbywało się nawet pod nazwą „Ivan Bloch Commemorative Conference"? Odpowiedź na to jest prosta: Jan Bloch vel Ivan Stanisławowicz, czy Jean de Bloch (imię w zależności od wersji językowej jego prac) jest autorem też słynnego 6-tomowego dzieła „Przyszła wojna pod względem technicznym, politycznym i ekonomicznym" (1898), pierwszego całościowo traktującego problematykę wojny, porównywanego w swym znaczeniu do prac na temat wojny i pokoju wielkiego Grocjusza, a które wraz z innymi dokonaniami Blocha przeciw wielkiej wojnie europejskich potęg przemysłowych, dały tytuł Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie do zgłoszenia kandydatury Blocha w 1901 roku do Pokojowej Nagrody Nobla której, jak

i otwarcia zorganizowanego i ufundowanego przez siebie pierwszego Muzeum Wojny i Pokoju w Lucernie, nie doczekał się niestety, umierając na serce w Warszawie 6 stycznia 1902 roku.

Blocha uważa się też za „duchowego ojca" I Pokojowej Konferencji w Hadze, do której zwołania namawiał cara Mikołaja II. Jego więc osoba, przemyślenia i dokonania, nadawały się znakomicie zarówno dla upamiętnienia tych wielkich wydarzeń przed stu laty, jak i do zastanowienia się jaki będzie charakter i przebieg konfliktów zbrojnych w nadchodzącym stuleciu oraz jak im należy zapobiegać.

Prof. Hylke Tromp, dyrektor Fundacji w Groningen i główny organizator spotkania w Petersburgu, zapewnił w nim udział wielu wybitnych znawców problematyki wojny i pokoju – naukowców tej rangi co G. Arbatov, Ch. Bertram, P. Hassner, E. Littwak, J. Keegan, czy S. Karaganov, wojskowych jak gen. M. Rose, b. dowódca sił ONZ w Bośni-Hercegowinie oraz szeregu osobistości ze świata polityki, w tym b. premiera Szwecji C. Bildta, Holandii – R. Lubbersa, K. Kleibera – asystenta Sekretarza Gen. NATO d/s Politycznych, czy pani E. Rehm – specjalnego przedstawiciela Sekretarza Gen. ONZ d/s Bośni–Hercegowiny. Otworzył i wziął w niej udział książę Orański, holenderski następca tronu i potomek Królowej Wilhelminy, która w 1899 roku udzieliła swej gościny inicjatywie Cara jak i następnym Konferencjom Haskim. Podobnie historyczny *entourage* posiadały same obrady. Otwarcie i pierwsza sesja konferencji, jak i ostatnia miały miejsce w Ermitażu. Pozostałe zaś spotkania i prace odbywały się w Pałacu Marmurowym. Tu też zorganizowano Blochowi wystawę, na której eksponowano m.in. jego „Przyszłą wojnę" w różnych językach jak i w jej polskim oryginale. Wśród blisko 20 referatów wygłoszonych na sesjach plenarnych, dwa poświęcone były monograficznie Blochowi – autorstwa prof. P. Van Den Dungena – znawcy jego pokojowej działalności i przyjaciela Polski, a drugi autorstwa niżej podpisanego. Ponadto, wielu mówców przy różnych okazjach odnosiło się do osoby Blocha, jego przemyśleń i działań.

Nie można też było pominąć, że Petersburg był dla Blocha miejscem rozlicznych wizyt i starań o wszystko co było koncesjonowane i reglamentowane w tym autokratycznym i niezwykle zbiurokratyzowanym państwie. Tu jednak Bloch w wieku 26 lat zarobił swój pierwszy milion rubli, tu wydawał też swoje książki na tematy gospodarcze, które jak „Wpływ kolei żelaznych na gospodarkę Rosyi" (1878) i „Finanse Rosyi w XIX wieku" (1882)

przyniosły mu wcześniej, niż „Przyszła wojna", międzynarodowe uznanie. One też dały mu członkostwo w Komitecie Naukowym Ministerstwa Finansów Rosji, tytuł radcy stanu, szlachectwo, a później ułatwiły dostęp i do dworu, i samego cara Mikołaja II.

Żegnając się z Petersburgiem wielu uczestników cieszyło się, że wkrótce zobaczy się na uroczystościach rocznicowych w Hadze (11–15.05.1999), gdzie również cała sesja poświęcona będzie Blochowi. Tylko w jego ojczyźnie – co trzeba stwierdzić ze smutkiem – panuje wokół niego uparta cisza.

Andrzej WERNER

VIII WSCHODNIA SZKOŁA LETNIA STUDIUM EUROPY WSCHODNIEJ

1–22 lipca 1999

Warszawa – Wrocław – Warszawa

WARSZAWA (1-11 VII)

John S. MICGIEL – historyk, Columbia University (Nowy Jork): **Stany Zjednoczone, Europa Środkowa, rozszerzenie NATO *(wykład inauguracyjny)*.**

●

Antonin MESTAN – slawista, prof. Akademia Ved CR (Praga,): **Stereotypy narodowe w Europie Środkowej i Wschodniej.**

Wiek komunizmu

Marek ŚLIWIŃSKI – politolog, prof. Uniwersytetu Warszawskiego: **Imperium komunistyczne: od apogeum do upadku.**

John S. MICGIEL – historyk, prof. Columbia University (Nowy Jork): **Wprowadzenie komunizmu w Europie Środkowej.**

Àkos ENGELMAYER – były ambasador Węgier w Polsce i Białorusi: **Ewolucja komunizmu w Europie Środkowej. Casus: Węgry.**

Andrzej PACZKOWSKI – historyk, prof. Polskiej Akademii

Nauk (Warszawa): **Partia komunistyczna jako machina władzy. Casus: Polska.**

Michael RYWKIN – prof. emer. City College of New York (Nowy Jork): **Polityka Rosji wobec krajów dawnego „obozu socjalistycznego".**

Okrągły Stół: ***Europa Wschodnia początków XXI wieku.***

WROCŁAW (12-17 VII, Ossolineum)

Andrzej ANANICZ – wiceminister spraw zagranicznych RP (Warszawa): **Europa Środkowo-Wschodnia w polityce europejskiej** ***(wykład inauguracyjny).***

●

Dieter BINGEN – politolog, historyk, Deutsches-Polen Institut (Darmstadt): **Niemcy a rozszerzenie NATO i Unii Europejskiej.**

John S. MICGIEL – historyk, prof. Columbia University (Nowy Jork): **Powrót Niemców do Europy Środkowej po Zjednoczeniu.**

Alex TOMSKY – publicysta, wydawca, dyr. wydaw. „Academia" (Praga): **Transformacja krajów Europy postkomunistycznej: Czechy i Słowacja.**

Adolf JUZWENKO – historyk, dyr. wyd. „Ossolineum" (Wrocław) oraz **Bohdan OSADCZUK** – historyk, prof. emer. Freie Universität Berlin: **Polska i Ukraina: wspólne wartości – wspólne dziedzictwo – wspólne konflikty.**

Csaba G. KISS – historyk, prof. Eötvös Loránd Tudomány Egyetem (Budapeszt): **Rozwój pojęcia narodu w Europie Środkowej.**

Wojciech WRZESIŃSKI – historyk, prof. Uniwersytetu Wrocławskiego: **Mniejszości narodowe w Europie Środkowej XX wieku.**

Jacek KOLBUSZEWSKI – historyk literatury Uniwersytetu Wrocławskiego: **Kresy wschodnie Rzeczypospolitej: historia i literatura.**

Michael RYWKIN – prof. emer. City College of New York (Nowy Jork): **„Wędrówka ludów" w Europie Środkowo-Wschodniej po II wojnie światowej.**

István KOVÁCS – historyk, konsul generalny Węgier w Krakowie, prof. Katolikus Egyetem (Pilicsaba): **Polacy i sprawa polska w Europie w poł. XIX w.**

Alois WOLDAN – historyk literatury, prof. Universitär Salzburg: **Zaginiony świat Austro-Węgier w polskiej beletrystyce i filmie.**

Richard PIPES – historyk, prof. emer. Harvard University (Cambridge): **Czy Rosja należy do Europy?** ***(wykład zamykający).***

WARSZAWA (19-22 VII)

André LIEBICH – politolog, prof. Institut Universitaire de Hautes Études Internationales (Genewa): **Pojęcie narodu na Wschodzie i Zachodzie. Analiza porównawcza.**

Zbigniew KRUSZEWSKI – politolog, prof. University of Texas (El Paso): **Problem pogranicza narodowego: Wschód – Zachód. Analiza porównawcza.**

●

Włodzimierz SIWIŃSKI – ekonomista, Rektor Uniwersytetu Warszawskiego: **Globalizacja gospodarki – szansa czy zagrożenie?** ***(wykład zamykający).***

WARUNKI UCZESTNICTWA:

1. Szkoła przeznaczona jest szczególnie dla słuchaczy z Litwy i innych państw bałtyckich, Białorusi, Ukrainy, Rosji, krajów Europy Środkowej, ale także Europy Zachodniej i Ameryki. Ma na celu umożliwienie poznania stanu nauki, nowych środowisk i wybitnych naukowców, zdobycie orientacji w zasobach archiwów i bibliotek polskich. Szkoła – wobec bardzo bogatego programu zajęć – nie daje możliwości samodzielnej pracy badawczej, przygotowuje raczej słuchaczy do przyszłych, dłuższych pobytów naukowych w Polsce.

2. Uczestnikami Szkoły mogą być wyłącznie absolwenci studiów wyższych, prowadzący własne badania naukowe, którzy nie przekroczyli 39. roku życia.

3. Od słuchaczy wymaga się znajomości obu języków wykładowych Szkoły: polskiego i angielskiego, obu w stopniu pozwalającym na rozumienie i korzystanie z wykładów.

4. Koszt uczestnictwa w całym programie wynosi $ 1200 (lub równowartość w zł) od osoby.

5. Słuchacze, którzy wypełnią wszystkie przepisane programem wymagania Szkoły otrzymają „Dyplom Wschodniej Szkoły Letniej".

UNIWERSYTET WARSZAWSKI – INSTYTUT ORIENTALISTYCZNY, Krakowskie Przedmieście 26/28, 00 927 Warszawa 64, Tel.-Fax (48 22) 828 53 69

Jan MALICKI
Kierownik
Wschodniej Szkoły Letniej

KOMUNIKAT O STYPENDIACH

FUNDACJI BANKOWEJ im. LEOPOLDA KRONENBERGA (Warszawa) i FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE I NAUCE POLSKIEJ (Paryż)

W ramach projektu stypendialnego realizowanego wspólnie przez warszawską Fundację Bankową im. Leopolda Kronenberga i paryski Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej w roku 1988 ze stypendiów skorzystało 30 osób.

Stypendia przyznawane są pisarzom, artystom oraz badaczom w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych, ze szczególnym uwzględnieniem historii. Stypendia służą pokrywaniu kosztów pobytu w zagranicznych (w przypadku osób zamieszkałych w Polsce) oraz – w odniesieniu do osób zamieszkałych za granicą – w polskich ośrodkach naukowych i kulturalnych.

Osobą uprawnioną do otrzymania stypendium jest każda osoba, która nie przekroczyła wieku 35 lat.

Podanie powinno zawierać :
– życiorys,
– informacje o dorobku twórczym oraz
– program pobytu za granicą wraz z informacją na temat przewidywanego czasu jego realizacji.

Wskazane jest załączenie opinii osoby kompetentnej w danej dziedzinie.

Stypendyści będą mieli prawo do wykorzystania stypendium w terminie nie przekraczającym 6-u miesięcy od daty wysłania zawiadomienia o jego przyznaniu.

Organizowanie podróży, ubezpieczenia i mieszkania nie leży w gestii fundatorów.

Najbliższy termin nadsyłania podań upływa z dniem 30 czerwca 1999.

Podania prosimy przysyłać do sekretarza Funduszu:

Wojciech Sikora, FPNLiNP,
31, rue de Garlande,
77-220 Tournan-en-Brie
Francja

Książki

Terror ekonomii

Zegar Pan Boga składa się z niezliczonej ilości doskonale zazębiających się błędnych kół. Co najmniej od miliona lat próbujemy zrozumieć ten mechanizm, ale im więcej mamy wiedzy cząstkowej, tym trudniej ogarnąć całość. W ostatnich latach pojawiła się nowa moda wyjaśniania wszystkiego (albo prawie wszystkiego) przy pomocy genetyki. W podpartej genetyką teorii ewolucji szuka się dziś wyjaśnień naszych zachowań ekonomicznych i społecznych, wyjaśnień naszych skłonności do egoizmu, ale również gotowości do współpracy oraz tajemnic samych podstaw moralności. Na nowo odżyły spory na temat tego co w nas jest dziedziczne, a co zostało ukształtowane przez wychowanie i kulturę. Engelsowski traktat o pochodzeniu rodziny, własności prywatnej i państwa (który również powstał pod silnym wrażeniem teorii Darwina) napisano by dziś zupełnie inaczej, odwołując się zapewne do setek przykładów z dziedziny genetyki i najnowszych obserwacji świata zwierzęcego. Na współczesnym rynku księgarskim najbardziej zbliżoną pozycją jest tu książka Matta Ridleya „The Origins of Virtue", która niebawem ukaże się w polskim przekładzie. W centrum uwagi brytyjskiego autora jest nie tyle kwestia pochodzenia rodziny i własności prywatnej, ile od dawna dręcząca biologów zagadka kooperacji niespokrewnionych ze sobą jednostek. Początkowo sądzono, że tego typu zachowania są głęboko sprzeczne z samą istotą doboru naturalnego, zgodnie z którą z egoizmem jednostki konkuruje tylko egoizm samych genów, dyktujący altruizm, ale tylko wobec jednostek mogących zapewnić ciągłość linii genetycznej. Taka koncepcja od początku wzbudzała pewne

wątpliwości skłaniające już to do podważania teorii ewolucji jako całości, już to do ograniczania pola jej wpływu na ludzkie i zwierzęce zachowania. Matt Ridley, długoletni korespondent naukowy *Financial Times*, próbuje pozbierać osiągnięcia współczesnej nauki i udowodnić, że nie ma tu sprzeczności i że ewolucja w pewnych sytuacjach nagradzała umiejętność współpracy między niespokrewnionymi jednostkami. Zdaniem tego autora dotyczy to przede wszystkim ssaków, a wśród ssaków naczelnych, czyli istot mających najbardziej pojemne mózgi. Tego rodzaju skłonność do współpracy ma bowiem bardzo osobliwy haczyk – może być wzmacniana genetycznie, czyli może być dziedziczna, ale wymaga jednostkowej pamięci. Innymi słowy, ponieważ opiera sie na wzajemności, musi być połączona z jakąś buchalterią. Tam jednak gdzie wkracza pamięć i zachowania wdrożone przez wychowanie, zaczyna się kultura. Nasza kultura oparta jest w ogromnym stopniu na zapamiętywaniu wzajemnie świadczonych sobie usług. W grupach szympansów zachowania społeczne przyjmują postać prymitywnych sojuszy i manipulacji. Sojusze słabszych mogą być przeciwstawiane nagiej sile jednostki i szympansy doskonale o tym wiedzą. Historia ludzkości jest historią prostych i wielopiętrowych sojuszy, prowadzących nieodmiennie do złożonej struktury społecznej, w której część (niezależnie od toczących się wojen na górze) jest lub czuje się brutalnie wykorzystywana. W każdej (nawet najbardziej prymitywnej) społeczności ludzkiej widzimy jednak przewagę kooperacji nad walką każdego z każdym. Sama sytuacja walki jest z reguły połączona z kooperacją jednostek, zaś zapoczątkowany na samym progu istnienia naszego gatunku podział pracy zmusza każdą jednostkę do nieustannej kooperacji z innymi.

Ta zdolność do współpracy nie wyklucza zorganizowanego wyzysku. Nie trzeba być marksistą, żeby zauważyć, iż owa zdolność do współdziałania niemal równie często służy osiąganiu wspólnego dobra jak i zniewalaniu słabszych jednostek i grup. Widzimy to zresztą również w przyrodzie gdzie na przykład kolonie mrówek potrafią napadać na inne kolonie tego samego gatunku i kraść jaja, żeby mieć z nich armię niewolników. Samce lwów z reguły pozostawiają trud zdobycia pożywienia lwicom, przychodząc na gotowe i odganiając je jednym warknięciem od zdobyczy. Jeśli idzie o społeczeństwa ludzkie, geografia średniowiecznych zabytków w Europie Zachodniej nie pozostawia wątpliwości – w górzystych terenach widzimy często górujące nad okolicą ruiny zamków, zawieszone jak pająki nad żyznymi dolinami, z których można było przemocą ściągać haracz.

Matt Ridley nie odwołuje się do Fryderyka Engelsa, jego idolem jest zapomniany dziś Kropotkin, a Kropotkin o tym, że państwo jest narzędziem ucisku i wyzysku pisał znacznie ładniej niż Engels. Co więcej, Piotr Kropotkin przeciwstawiając się opisom społeczeństwa (tak zwierząt jak i ludzi) wyłącznie w kategoriach wilczych praw jednostkowej walki o byt, jako przyrodnik wiedział o czym mówi, zaś jego argumenty sprzed stu lat w niemałym stopniu zostały potwierdzone przez współczesną naukę.

Matt Ridley jest nie tylko bystrym obserwatorem najnowszych osiągnięć biologii ewolucyjnej, antropologii, związków między odkryciami nauk ścisłych a ekonomią i socjologią, ale również fanatycznym niemal zwolennikiem teorii liberalnej w ekonomii, co prowadzi go do przesadnych być może wniosków o pełnej zgodności liberalizmu z wyewoluowaną przez tysiąclecia ludzką naturą i do przekonania, że nowoczesny kapitalizm to nie wilcze prawa, a właśnie szlachetna kooperacja, której cnoty wynikają z naszego egoizmu, z głębokiego i podpartego zakodowanym w genach doświadczeniem, że uczciwość jest na długą metę opłacalna.

Można powiedzieć, że wszystko się zgadza oprócz kasy. Uczciwość wobec innych jest z pewnością na długą metę opłacalna, ale większość mieszkańców naszego globu nie ma tak długiej perspektywy aby móc to dostrzec. Prezentacja tezy Ridleya brazylijskiemu, hinduskiemu czy afrykańskiemu chłopu mogłaby się spotkać z mieszanymi reakcjami. Z mieszanymi, gdyż głęboki sens wzajemnej uczciwości zostałby zapewne ograniczony przez nich do rodziny, klanu, szczepu czy kasty. Matt Ridley nie jest oczywiście naiwny i doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Jego skłonności utopijne (obawiam się, że mamy stosowny gen popychający nas w kierunku ustawicznego budowania utopii) wyrażają się w przekonaniu, że oparty na prywatnej własności i na naszym wrodzonym egoizmie system wymiany jest tym ideałem, ku któremu

popychała nas cała nasza dotychczasowa droga.

Osobiście uważam, że oddaliliśmy się od natury do tego stopnia, iż obserwując ją teraz przy pomocy coraz lepszych metod i instrumentów, trochę na siłę próbujemy się w nią ponownie wcisnąć. Twierdzenie, że milion lat zajęło nam dojście do monetaryzmu, wydaje mi się pewną przesadą, ale żeby to dostrzec musiałem skorzystać z moich własnych skłonności do przesady i wyostrzyć twierdzenia Matta Ridleya.

Liberalizm gospodarczy jest wszelako modny i trudno nie poddawać się jego urokowi. Nie ma wątpliwości, pisał Matt Ridley, że konformizm jest jedną z tych cech, które wykształciliśmy w sobie w drodze ewolucji.

Konformizm wobec czegoś zaczyna się zwykle jako zjawisko lokalne i rozszerza się *ad absurdum*, bez trudu przekraczając ciasne granice racjonalności. Każdą modę ktoś jednak musi zapoczątkować i jeśli chce mieć liczącą się grupę naśladowców, powinien zacząć od idei chwilowo niemodnych, ale dobrze już znanych potencjalnym konformistom. We Francji od dłuższego już czasu na liście bestsellerów utrzymuje się książka znanej pisarki, Vivianne Forrester pod znamiennym tytułem „L'horreur economique". Lektura książki Matta Ridleya pozostawiła mnie w przekonaniu, że samodzielnym wysiłkiem zdobyłem tylko dyplom uniwersytecki, a wszystko inne dostałem w spadku w moich genach. Po lekturze książki Vivianne Forrester miałem wrażenie, iż autorka próbowała mnie przekonać, iż jest dokładnie odwrotnie, że odziedziczyłem dyplom uniwersytecki (a dokładniej ułatwione prawo jego zdobycia) oraz pozycję społeczną, a wszystko inne było konsekwencją spisku. Rzecz interesująca, gdyż obydwie książki kojarzą mi się z odległą lekturą tego samego dzieła Engelsa. Podczas gdy książka Ridleya jest fascynująca ze względu na argumentację prowadzącą do zbędnego moim zdaniem ostatniego rozdziału, praca Vivianne Forrester jest fascynująca jako zjawisko. Francuska autorka, podobnie jak Fryderyk Engels, zdaje się być przekonana, że własność prywatna jest stosunkowo świeżym wynalazkiem i nie kryje swojego żalu z powodu tego, iż niedawna próba jej likwidacji zakończyła się całkowitym niepowodzeniem. Jej zdaniem, w obecnej szarży własność

prywatna całkowicie podporządkowała sobie państwo i ponownie odzyskała prawo bezkarnego pomiatania szarym człowiekiem. Ponadnarodowe koncerny i instytucje finansowe narzuciły modę intelektualną, której nikt nie odważa się przeciwstawić. Liberalizm stał się dyktatem, zysk jedyną filozofią społeczną. Jednostki i całe społeczeństwa stały się pionkami w grze spekulantów, którzy w swoich koszmarnych grach komputerowych przerzucają masy pieniędzy z jednego krańca świata w drugi, rujnując przy okazji całe państwa. W pogoni za zyskiem przenoszą swoje przedsiębiorstwa tam, gdzie jest aktualnie tańsza siła robocza, nie licząc się zupełnie z konsekwencjami społecznymi. Współcześni kapitaliści (znów w pogoni za zyskiem) nieustannie zmniejszają zatrudnienie w istniejących jeszcze zakładach pracy i świadomie dążą do sytuacji, w której praca staje się towarem rzadkim, a coraz większa ilość ludzi pozostaje poza rynkiem pracy i pozbawiona zostaje społecznego sensu istnienia.

Vivianne Forrester oburza się na prywatyzację i na upór z jakim rządy dążą do zlikwidowania deficytu budżetowego (mimo, że jej zdaniem pieniądze na pokrycie tych deficytów są, tylko są źle rozmieszczone), oburza się na obcinanie miejsc pracy w szpitalach i szkołach, na istnienie całych przedmieść, w których człowiek od dzieciństwa skazany jest na pozostawanie na marginesie społecznym, a wreszcie, na największą plagę naszych czasów – czyli na bezrobocie. Zdaniem tej autorki samo słowo bezrobocie zaczyna dziś zakrawać na jakiś koszmarny neologizm. To słowo ciągle jeszcze sugeruje, że mamy do czynienia z jakimś stanem wyjątkowym. Dyktat liberalizmu tworzy jednak nową rzeczywistość społeczną, w której stan wolny od pracy (i dochodów) staje się normą. Wczorajsi robotnicy marzą o powrocie piekła pracy najemnej. Tymczasem rządy prześcigają się wzajemnie w tworzeniu coraz lepszych warunków dla „dynamicznych sił", a te nie ustają w wysiłkach na rzecz zamykania jednych zakładów pracy, „odchudzania" innych i tworzenia nowych miejsc pracy, które nieodmiennie stanowią zaledwie ułamek liczby zlikwidowanych miejsc pracy, nie wspominając już o tym, że są one niedostępne dla lwiej części tych, którzy utracili swoje dotychczasowe źródła zarobku.

Zdaniem Vivianne Forrester najwyższy czas powiedzieć

głośno, że to wszystko jest oszustwem. Autorka nie proponuje żadnego rozwiązania, oczekuje go od polityków. Jej rolą jest – jak pisze – wyrażenie protestu, powiedzenie, że król jest nagi.

Fenomenem tej książki jest jej niesłabnąca popularność. Jest to książka pełna głębokich uczuć, przepojona współczuciem i niepokojem. Spójność przedstawionej w niej argumentacji pozostawia jednak wiele do życzenia. Autorka ani jednym słowem nie wspomina o kryzysie państwa opiekuńczego, o stopniowym wygasaniu społecznej i ekonomicznej skuteczności państwowych przedsiębiorstw. Stylistykę jej eseju można by porównać z soczystą prozą Thomasa Morusa, ale i sens tego protestu wydaje się być podobny, bo cała jej Utopia zbudowana jest na nostalgii za niedoskonałościami minionej przeszłości. Są jednak w tej książce obserwacje banalnie oczywiste. Międzynarodowy Fundusz Walutowy krytykowany był ostatnio nie tylko przez Vivianne Forrester, ale i przez Sorosa, przez amerykański Kongres, przez wielu ekonomistów, którzy jeszcze niedawno głosili filozofię tej instytucji jak katechizm. Idea globalizacji przestała być gwiazdą zaranną i coraz więcej ludzi zastanawia się, czy nie czeka nas gwałtowny odwrót, czy owa globalizacja nie zakończy się jakimś horrendalnym trzęsieniem ziemi, w postaci załamania się światowego systemu finansowego. Jeszcze kilka lat temu ekonomiści z OECD przekonywali nas radośnie, że zakończenie Rundy Urugwajskiej GATT przyniesie ludzkości trzysta miliardów dolarów sprawiedliwie rozłożonych zysków. Oczywiście wówczas nikomu nie przychodziło do głowy, że zamiast tego będziemy świadkami znacznie większych strat spowodowanych załamaniem się azjatyckich rynków finansowych, kryzysem w Rosji, samą groźbą załamania się rynków finansowych w Ameryce Południowej. Na początku jesieni 1998 z kilku drobnych notek w prasie można się było dowiedzieć, że 25 września świat był o krok od załamania się światowego systemu finansowego. W czym rzecz? Long Term Capital Management miał jak się okazało trzy razy większe zadłużenie niż sądzono. Większość ludzi unosi w tym momencie brwi i pyta co to jest Long Term Capital Management i jakie miał zadłużenie? Jest to rzeczywiście stosunkowo mało znana amerykańska

instytucja finansowa, która miała (ma?) zadłużenie w wysokości 1,25 biliona dolarów. Fundusz powstał w 1993 roku i zajmuje się operacjami spekulacyjnymi o podobnym charakterze co fundusz Sorosa. Na ratunek wezwano największe banki świata. Nie dowiedzieliśmy się na czym ów ratunek polegał, ale jeden z wysokich urzędników amerykańskiego Funduszu Rezerw Federalnych przyrównał to wydarzenie do „ataku nuklearnego na światowy system finansowy". Na czołówkach biznesowych stron gazet, w których zamieszczono notatki o tym „incydencie", znajdowały się głębokie analizy na temat tego, czy i kiedy można wypłacić cztery miliardy dolarów na ratowanie rosyjskiej gospodarki. W takich momentach trudno się oprzeć wrażeniu, że otacza nas jakiś tajemniczy spisek.

Vivianne Forrester i Matta Ridleya łączy głęboka niechęć do postaci Georga Sorosa. W odczuciu Ridleya, tego typu działalność, którą prowadzi ten znany filantrop i finansista, może zrujnować wspaniałe funkcjonowanie wolnego rynku. Zdaniem pani Forrester jest to raczej typowy przykład gangsterskiej dyktatury wolnego rynku. Odnosi się wrażenie, że obydwie te postawy cechuje misjonarska pasja i daleko posunięta radykalność sądów, zmierzająca do przyciągnięcia maksymalnej ilości wyznawców do własnej religii.

Profesor Bartoszewski wystąpił niedawno z gwałtowną tyradą przeciw ludziom broniącym się przed zajęciem wyraźnego stanowiska przy pomocy osobliwego stwierdzenia, że „prawda leży pośrodku". W naszym przypadku kłopot polega na tym, że przez sto lat, od czasów Bismarcka, samo słowo reformy kojarzyło się jednoznacznie z reformami społecznymi, że stopniowym ograniczaniem woluntaryzmu właścicieli środków produkcji, z poszerzaniem praw pracowników najemnych, z nacjonalizacją działów produkcji i usług, które miały służyć społeczeństwu i w związku z tym nie powinny były kierować się wyłącznie kryterium zysku. Państwo opiekuńcze po stu latach od swoich prapoczątków stało się groteskowe, zamiast chronić wolny rynek przed zwyrodnieniami, w coraz szybszym tempie prowadziło do zawieszenia praw ekonomicznych. Jego najbardziej karykaturalną postacią był oczywiście komunizm, ale również kraje zachodnie znalazły się w sytuacji, w której argumenty krytyków państwa

opiekuńczego stały się w końcu oczywiste również dla wyborców. Radykalny zwrot dokonał się wraz z wyborami prezydenta Reagana, premier Thatcher, kanclerza Kohla. Stopniowo fala zaczęła zataczać coraz szersze koła i nurt liberalny zaczął dominować w dziesiątkach krajów azjatyckich, południowo-amerykańskich, afrykańskich, w Europie Centralnej i w byłym Związku Sowieckim. Na peryferiach uprzemysłowionego i demokratycznego świata ten zwrot, po swojej groteskowej formie państwa opiekuńczego, przyjmował formę karykatury wolnego rynku. Kliki wykorzystujące wcześniej system własności państwowej przekształciły się w kliki korzystające z możliwości zawłaszczania tej własności. Gdyby Vivianne Forrester pisała o Meksyku, Rosji czy Azerbejdżanie, jej książka byłaby dość wiernym opisem rzeczywistości. Jest to jednak książka, która traktuje głównie o Francji i świecie zachodnim. Nie uwzględnia ona przyczyn, które doprowadziły do tego zwrotu (a więc wszystkich patologii sektora publicznego), zmian w technikach produkcji, które pociągnęły za sobą kryzysy całych branż przemysłu, zmian w komunikacji, które zrewolucjonizowały system usług. Świata, do którego tęskni Vivianne Forrester nie ma i ten świat już nie wróci. Jej lament jest poruszający, ale intelektualnie ułomny, co nie znaczy, że niektóre z jej niepokojów nie są głęboko uzasadnione. Ponowny zwrot w postawach zachodnich wyborców zdaje się świadczyć o odczuwanej przez wielu potrzebie ponownego przemyślenia roli państwa i poszukiwania odpowiedzi na nowe zagrożenia. Nie jest tak, jak chciałoby wielu entuzjastów wolnego rynku, że ludzkość dotarła wreszcie do źródła absolutnej prawdy i że wraz z globalizacją zaczyna się okres powszechnej szczęśliwości. Vivianne Forrester obawia się, że trend zanikania miejsc pracy najemnej jest już trendem stałym, że w tym nowym świecie systematycznie rosnąć będzie ilość ludzi pozbawionych przydziału w społecznym podziale pracy. Za tym obrazem kryje się lęk, że nasz zamożny i cywilizowany świat upodobni się do wysypisk śmieci w Mexico City. Z charakterystyczną naiwnością Vivianne Forrester sugeruje spisek ciemnych sił broniących dzieciom ze slumsów dostępu do nauki. Ta prostota argumentacji ma ogromną siłę przebicia i gwarantuje dobre zyski ze sprzedaży książki, informuje też jednak o

rosnącej frustracji, którą widzimy również w rosnącej sile radykalnych ruchów społecznych. Problem jest całkiem realny. Nie umiemy odpowiedzieć na pytanie jak będzie wyglądał zachodni rynek pracy za dziesięć czy dwadzieścia lat. W jeszcze mniejszym stopniu jesteśmy w stanie przewidzieć konsekwencje obecnych zmian w krajach słabo rozwiniętych. Z pewnością stwierdzenie, że nie znamy przyszłości, ale możemy się do niej przygotować, brzmi racjonalnie, ale nie zawiera ono jeszcze szczegółowych wskazań. Postulat zmasowanej stawki na oświatę jest głęboko słuszny i jest on podzielany przez wszystkich polityków. Jego realizacja wymaga jednak znalezienia środków finansowych na ten cel (i to nie przez dodrukowywanie pieniędzy czy zwiększanie presji podatkowej) ale również radykalnej zmiany postaw nauczycieli, postaw rodziców, samych uczniów wreszcie, bo (o czym Vivianne Forrester również nie pisze) okazało się, że darmowa i obowiązkowa nauka okazała się zabójcza dla motywacji wielu młodych ludzi.

Najprawdopodobniej pejzaż wielkich zakładów pracy zatrudniających dziesiątki tysięcy robotników należy tak samo do przeszłości, jak świat samowystarczalnych gospodarstw chłopskich. Wolny rynek otwiera możliwości dla ludzi z pomysłami, dla ludzi, którzy wymyślą rzeczy i usługi, na które znajdzie się popyt w nowej rzeczywistości. Obrona ostatnich szańców starego świata jest nie tylko beznadziejna, ale i kontrproduktywna, i wszystko jedno, czy chodzi o obronę deficytowego przedsiębiorstwa, bo jest ono kolebką społecznego ruchu w Polsce, czy o sprywatyzowane zakłady samochodowe we Francji, które redukują liczbę zatrudnionych, żeby sprostać konkurencji. Tęsknota do gwarantującej miskę zupy pańszczyzny może być jednak czasem zrozumiała, bardziej być może w świecie, w którym nauczycielom wypłaca się wynagrodzenie butelkami wódki (niedawne doniesienie z Syberii) niż w świecie, w którym dziesięć procent ludności będącej na zasiłkach pozwalających jakoś przeżyć zastanawia się co dalej począć ze swoim życiem. Rozbrajający optymizm niektórych liberałów coraz częściej natrafia na pytania, na które dziś nie ma jeszcze odpowiedzi praktycznej, ale których z pewnością nie należy zbywać machnięciem ręki. Tymczasem jednak tektoniczne wstrząsy w

światowych finansach mogą przybrać formę kataklizmu, po którym wszystkie nasze dzisiejsze dylematy okażą się błahe i nie warte wspomnienia. Chwilowo żyjemy nadzieją, że obecna groza jakoś się rozejdzie i że jeszcze przez pewien czas będzie można budować system, w którym da się wykorzystać pozytywy wolnego rynku i jakoś okiełznać jego patologie. Możemy narzekać na terror ekonomii, ale ponieważ nasi przodkowie zdecydowali się na podział pracy, a ten prowadził do wynalezienia pieniądza, obawiam się, że mamy jakiś gen skłaniający nas do zabiegania o zysk kiedy przystępujemy do aktu wymiany. Marksowska utopia zastąpienia terroru ekonomii dyktaturą proletariatu nie była ani pierwsza, ani ostatnia. Jej powrót jest nieunikniony, ale intensywność tego powrotu zależy w dużym stopniu od postaw piewców nowego wspaniałego świata, od rozmiarów ich ślepej ufności w sprawność niewidzialnej ręki.

Osobiście zdecydowanie wolałem lekturę książki Matta Rydleya. Książkę Vivianne Forrester czytałem po szwedzku i miałem dziwne wrażenie *déjà vu*, lektury płomiennych wystąpień szwedzkich działaczy lewicowych z początków lat siedemdziesiątych. Pamiętajmy jednak, że książka Vivianne Forrester osiągnęła wielokrotnie wyższe nakłady i znalazła wdzięcznych odbiorców w wielu krajach. Z socjologicznego punktu widzenia jest to zatem książka znacznie ważniejsza.

Andrzej KORASZEWSKI

Błazen – wielki mąż

Książka Józefa Hena „Błazen – wielki mąż" (Iskry, 1998) pojawia się w czasie, gdy publicystyka Tadeusza Boya-Żeleńskiego, autora „Naszych okupantów", wydaje się pisana zaledwie wczoraj, by ukazać się dzisiaj, w porannych dziennikach. Na pierwszych stronach można by drukować całe

zdania z Boya-publicysty; nie tylko ich treść, ale i styl jest dzisiejszy: „Społeczeństwo nasze ma dość naiwny stosunek do prawa". „To, co było zbrodnią w zeszłym roku, przestaje nią być w roku następnym", „To pewne, że religii nie dała szkoła nikomu, odebrała ją niejednemu". „Ofensywa klerykalizmu (niewiele mająca wspólnego z religią) na wszystkie dziedziny życia staje się tak gwałtowna, że danie jej odporu stanowi w obecnej chwili jedną z najważniejszych pozycji w kształtowaniu naszej przyszłości." „Zrównanie startu, ułatwienie dostępu wszystkim zdolnościom i chęciom, celowość wykształcenia – powinny być dzisiejszym hasłem."

Józef Hen konfrontuje słowa Boya, wypowiadane przed kilkudziesięciu laty, z dzisiejszą polską rzeczywistością. Miał rację, mówi Hen, był mądrzejszy od innych, a to znaczy od swych oponentów, przeciwników, co tu kryć – śmiertelnych wrogów, i cóż z tego? Ich jest na wierzchu. W gruncie rzeczy aktualność diagnoz Boya, jego przestróg, jego argumentów, nauk, a nierzadko i krzyku rozpaczy, przygnębia.

Józef Hen pisze opowieść o Boyu-Żeleńskim z pasją, z miłością, ale i z rozpaczą. Gdzieś na jej spodzie kołacze się myśl: tak wielka praca, czy aby nie całkiem daremna? Praca o zakroju niewyobrażalnie śmiałym. Bo przecież nie szło Boyowi tylko o „kulturalne przeorientowanie" społeczeństwa polskiego. Na tym polu odniósł niejeden sukces. Zdaniem Hena, szło mu o nieporównanie więcej: o gruntowne przeorientowanie mentalności Polaka. Zmienić język Polaka, jego obyczaj, stosunek do tradycji, do wieszcza, do historii, do Matki Polki, do religii, do państwa, do świata, do samego siebie. Zamienić „nagą duszę" na „czysty rozum".

Stąd pytanie: czy Boy użył właściwego instrumentu? Czy przekuwanie nagiej duszy na czysty rozum, przy użyciu literatury francuskiej, miało w ogóle szanse powodzenia? Czy było to zadanie wykonalne?

Tragizm tej postaci – tak rozumiem Hena – polega na tym, że opór materiału był zbyt wielki jak na siły jednego człowieka. Polak nie chciał, nie dawał się skroić na modłę francuską, choćby najbardziej rozumną. Owszem, Boy miał wiele kapliczek ku swojej czci, wielu adoratorów, lecz prawdziwych sojuszników zabrakło. Co więcej: bezlitosne uderzenie przyszło od człowieka, który, na zdrowy rozum,

powinien być sojusznikiem Boya. Nie od umysłowego niechluja, lecz pierwszorzędnego intelektualisty, Karola Irzykowskiego, który był całkowicie głuchy na literaturę i kulturę francuską. Hen nie zgadza się nawet na określenie „Beniaminka" jako „kapitalnego paszkwilu". Pyta, „czy paszkwil w ogóle może być kapitalny?" W Irzykowskim widzi zawistnika. Słusznie. Gdyby nie to skrzywienie charakteru, powstałby nie paszkwil, lecz pamflet. A to całkiem inna kategoria.

Józef Hen przeczytał „całego Boya". Każdą linijkę, wszystko, każdą recenzję, tysiące recenzji! A że Boy pisał recenzje nie tylko z przedstawień sztuk Szekspira, Moliera, Fredry, Zapolskiej, Wyspiańskiego czy Słowackiego, ale i z J.A. Hertza, Grzymały-Siedleckiego, bliżej nieznanej pani Grabowskiej, zapomnianych dziś autorów rodzimych i obcych, zachodnich i sowieckich, jego biograf, gdy tylko udało mu się dotrzeć do tekstów, przeczytał je, czego daje niepodważalne dowody. Jest to więc opowieść dokumentalna. W sferze zdarzeń, ale i myśli, także uczuć, jeśli za dokument uznamy listy (do Niusi choćby i od Niusi), czy pamiętniki-wspomnienia, na przykład „Wyznania gorszycielki" Ireny Krzywickiej.

Hen czytał Boya przez całe życie, od bardzo wczesnej młodości. Bez wątpienia został uformowany przez autora „Brązowników", czego w swojej książce nie kryje. Mówiąc najprościej: w osobie Hena Boy trafił na doskonały materiał: boyowska energia została w tym przypadku wchłonięta i przetworzona. We własnym pisarstwie Hena, w światopoglądzie, w widzeniu i rozumieniu charakteru polskiego: inteligenci, centralni bohaterowie „Milczącego między nami" i „Odejścia Afrodyty" – wyśmienitych, współczesnych powieści Józefa Hena, wychowali się na Boyu, to pewne. I na francuskich encyklopedystach. Co więcej: sam Hen miał w sobie potrzebę spojrzenia na życie i dzieło Boya. Wchodząc w to życie i w to dzieło tak głęboko, jak to tylko możliwe. Tak, jak Boy wchodził w materię spektaklu teatralnego, w czytaną książkę, w tłumaczone dzieło, w życie autora wreszcie. Hen, chwilami, półżartem, identyfikując się z bohaterem swojej książki: „Zobaczymy, Fuśku, co nasz przyjaciel zmajstrował" – mówi biograf-Hen do pani Zofii Żeleńskiej, jakby to sam pan Tadeusz mówił do swojej żony, kiedy wybierają się do teatru, na

sztukę „Spadkobiercy" Adama Grzymały-Siedleckiego. Tym różni się ta opowieść od dziesiątków „opowieści biograficznych", że jej autor jest nie tylko kronikarzem, nie tylko badaczem, dokumentalistą i komentatorem. Nie tylko, co nieczęste, acz się zdarza – wielbicielem, czy zgoła wyznawcą swego bohatera; tutaj bowiem zachodzi to, co za Goethem, zwykło się nazywać powinowactwem z wyboru.

„Błazen – wielki mąż" – jest to mistrzowski portret literacki, lecz w realizacji Hena ów tradycyjny portret to zarazem esej i wspomnienie, uczona rozprawa i nowela, swobodna gawęda i wnikliwe studium psychologiczne. Także najprawdziwszy romans. Sprzymierzyły się tutaj wszystkie talenty i umiejętności Józefa Hena. Jako powieściopisarz zna zarówno wagę ujęcia panoramicznego, jak i detalu. Na przykład: Paryż, czyli świat w pierwszym roku XX wieku, a na równi z tym szeroko zakrojonym obrazem, zapach książki, jaką dwudziestosześcioletni Żeleński czyta w nieogrzewanym pokoju. Jako nowelista szanuje słowo i opowiada zwięźle. Jako dramaturg i scenarzysta filmowy ma bezbłędne wyczucie konstrukcji. Jako eseista zna granice, do których sięga literatura, erudycja, domysł, cytat, paradoks. „Nie podejmuję się odtworzyć doznań Boya na chwilę przed rozstrzelaniem. Niech nas nie kusi tworzenie 'literatury'. O czym myślał Mędrzec? Jak żegnał się z życiem? Wobec wymierzonej lufy karabinu nie ma mędrca."

Lecz najpierw był krzyk. Józef Hen przywiązuje dużą wagę do krzyku, jaki rozległ się po północy, 8 listopada 1901 roku, w Krakowie. Człowiek szedł od ulicy Siennej ku głównej poczcie, i wedle raportu policyjnego „krzyczał w okropny sposób. Człowiek miał 26 lat, nazywał się Tadeusz Żeleński. „Doprowadzony, zupełnie trzeźwy, przyznaje, że krzyczał, bo jest cierpiący na nerwy". Dla biografa ten krzyk nigdy nie umilkł. Ten krzyk słychać wyraźnie w tej książce, która nie stała się nagle, bo teksty o autorze „Słówek" pisał Hen i publikował w ciągu paru dziesiątków lat („Co dziesięć lat, w każdą okrągłą rocznicę rozstrzelania Tadeusza Żeleńskiego-Boya przez batalion SS we Lwowie, zasiadam do kolejnego o nim artykułu"), tak i ów krzyk zastanowił Hena już wcześniej. „Najpierw był krzyk – potem dopiero twórczość". To zdanie z drugiego tomu „Nie boję się bez-

sennych nocy" gdzie można przeczytać nieomal konspekt „Błazna – wielkiego męża". Dyplomowany lekarz: „Krzyczał z czymś nie pogodzony. Z czym? Najwyraźniej nie chce tego wyjawić. Otacza ten krzyk tajemnicą". Józef Hen-prozaik wie, że ten krzyk jest dramaturgicznym nerwem opowieści o Tadeuszu Boyu-Żeleńskim. Wracał do tego krzyku sam Żeleński; w roku 1931 (Hen te słowa przytacza) napisał: „jakiś kosmiczny ból ziemi krzyczał przez moje gardło w tę noc jesienną".

Może to wtedy rodzi się pisarz? Młody człowiek, ukończył studia medyczne, lecz nie wpadł jeszcze na trop samego siebie. Józef Hen, czuły psycholog, bezbłędnie wyławia i definiuje to, co w młodym Żeleńskim było nieprzystosowaniem, zagubieniem, frustracją. To było coś innego, niż cieszący się w owym czasie wielkim wzięciem Weltschmerz – dolegliwość bardzo literacka. Tadeusz Żeleński krzyczy, ponieważ czuje, że nie mieści się w ramach. Socjalnych (szlachecko-mieszczańskich), rodzinnych (jako syn znakomitego ojca), państwowych (jako materiał na c.k. oficera), estetycznych (fałsz, sztuczność, wtórność Młodej Polski), zawodowych (jeszcze nie wie, ale właśnie przeczuwa, że zawód lekarza nie poszerza go, lecz ogranicza), uczuciowych (zaczadzenie Przybyszewskim, miłością do Dagny Juel). Co jeszcze: krzyczy, okropnie (!), bo, być może, zaczyna rozumieć, że w tej Polsce (nie chodzi o jej byt państwowy, który jest niebytem, lecz o jej substancję duchową, parafiańszczyznę, lokalny, swojski samodur) on się nie mieści.

Stagnacja i uroczysta głupota osiągnęła taki stopień kumulacji, że musiała nastąpić eksplozja. Eksplodował fenomen artystyczny i jednocześnie socjologiczny. Zrazu kilkanaście, a w rezultacie kilkadziesiąt wierszy, tekstów piosenek, utworów satyrycznych, które zdefiniowały rozliczne ułomności polskiego charakteru. Czesław Miłosz: „Ale to, co wydawało się tylko błahostką, stało się ważnym wydarzeniem w historii polskiej poezji, właśnie z powodu bezpretensjonalności i kolokwialności języka".

Przypadkowe zastępstwo w fotelu sprawozdawcy teatralnego miało następstwa nieobliczalne! Hen wydobywa tę chwilę, ponieważ krótkie „Tak" Boya zaowocuje cotygodniową recenzją w ciągu dwudziestu lat. Można zrozumieć, iż

wybitna publicystyka zdolna jest zachować siły żywotne przez dziesiątki lat. Przez wiek cały. Dwa, trzy stulecia. Ale recenzja z przedstawienia teatralnego? Czy to w ogóle da się czytać? Po sześćdziesięciu, siedemdziesięciu, osiemdziesięciu latach? A oto każdy fragment recenzji, jaką przytacza Józef Hen, świadczy o tym, że czas się ich nie ima. Dlaczego? Hen rozszyfrowuje ich sekret: Boy pisał inaczej, niż chcieli ludzie teatru. Gdyby ich posłuchał, mielibyśmy „(...) uzupełnienie do teatru polskiego, ale – dla teatrologów". Na szczęście poszedł, jak zawsze, swoją drogą, dzięki czemu, pisze Hen: „mamy jedyną w swoim rodzaju panoramę dwudziestolecia, zapis życia i myśli. Jeśli żywił jakieś tęsknoty do fabuły, to teraz je zaspokaja: streszczenia sztuk – bo ta metoda przeważa – zamieniają się w noweletki, z iskrzącymi się życiem postaciami".

Ów instrument, za którego pośrednictwem chciał przebudować polską duchowość: francuska literatura. W słowach Gombrowicza wyczuliśmy łagodne szyderstwo. Józef Hen wierzy, jak wierzył Boy, że gdyby na polskim gruncie zaowocowały idee francuskiego oświecenia, musiałoby to w konsekwencji wytworzyć nowego Polaka, który stałby mocno na ziemi, bliższy byłby mu Kandyd, niż Czterdzieści i cztery. Ważniejszy pieniądz, seks, praca, niż duchowe mgławice. Bliższa bezwzględna prawda, niż tchórzliwe załganie.

Józef Hen napisał książkę o człowieku, o którym niemało wie każdy polski inteligent. Którego rodowód, kariera pisarska, pasje społecznikowskie, niezrównany dowcip, pracowitość i nieustępliwość w walce – są to rzeczy powszechnie znane. Na ogół wie się także o okupacyjnym, lwowskim okresie Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Hen: „Aha, jest jeszcze sprawa owego nieszczęsnego podpisu pod oświadczeniem pisarzy", „Pamiętam swoją ówczesną reakcję: wzruszenie ramion". „Przecież to nic nie znaczy, tutaj...". „Podpisał – widać musiał". Hen wie, co mówi, był tam, żył, ocalał. Czytał *Czerwony Sztandar* każdy tekst Boya witał z radością. Słowa Boya to był – dla czternastoletniego Józefa Hena – kawałek Polski. Zachowanie Boya we Lwowie ma różnych sędziów. Nie zamykam oczu na znaki zapytania, lecz rozumiem stanowisko Hena: na życie i dzieło Tadeusza Boya-Żeleńskiego, na wszystkie jego uczynki należy patrzeć poprzez jego śmierć. Nad ranem, w piątek, 4 lipca 1941 roku. Na stokach

Wzgórz Wuleckich, możliwe też, że na dziedzińcu bursy. Tego nie wiemy na pewno. Nie ma tu miejsca na robienie literatury. Hen: „Padł strzał. Nie ma Boya-Żeleńskiego". Ktokolwiek wpisuje Boya na listę kolaborantów – ten, boję się, nie słyszy tego strzału. Czy to możliwe? Niestety, tak.

„Błazen – wielki mąż" – to znakomita książka. Moim zdaniem, jest to najlepsza polska książka roku 1998, bardzo silna kandydatka do Nagrody Nike. Wiemy o Boyu „prawie wszystko" a jednak... czyta się tę książkę jak pasjonującą powieść, której fabuły nie znamy, a losy bohatera są dla nas zagadką. Nie zmyślone, lecz prawdziwe „przygody człowieka (dodajmy: Polaka) myślącego" w dwu ostatnich dziesięcioleciach XIX wieku i pierwszych czterech dekadach mijającego stulecia.

Feliks NETZ

Polska widziana z Nieświeża

Przedwojenna Polska była mozaiką odmiennych ziem o swoich specyficznych charakterystykach, a na kresach wschodnich również mozaiką narodowościową. „Wielka polityka" powstawała w Warszawie, gdzie, przy nadmiernej centralizacji, były podejmowane wszystkie poważniejsze decyzje, jak też wiele decyzji trywialnych, co w praktyce nie oznaczało ich wprowadzenia w życie w terenie, zatem zrozumienie prowincji jest konieczne dla zrozumienia przedwojennej Polski. Dlatego książka Genadiusza Szymanowskiego*, doświadczonego administratora i lokalnego polityka z Nieświeża, jest nie tylko ciekawym przyczynkiem do smutnej historii polskiej

* Genadiusz Szymanowski, „Dwanaście lat – wspomnienia z lat 1927-1939", Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń, 1998.

polityki mniejszościowej ale też pomaga w zrozumieniu funkcjonowania Drugiej Rzeczpospolitej.

Genadiusz Szymanowski pochodził z polskiej prawosławnej rodziny z dalekich kresów; po pierwszej wojnie światowej osiadł w Nieświeżu, gdzie zajmował się gospodarowaniem majątkiem i pracą administracyjno-finansową jako dyrektor banku i prezes spółdzielni rolniczych i urzędnik Ordynacji Nieświeskiej Radziwiłłów. Z przekonań bezkompromisowy piłsudczyk, był on posłem na sejm w kadencjach 1930, 1935 i 1938. Wspomnienia Szymanowskiego są opisem trudnego powstawania struktur społecznych, administracyjnych i finansowych dalekiej kresowej prowincji i dziś trudnych do wyobrażenia typów ludzkich.

Powiat nieświeski był raczej ubogim terenem rolniczym; na wsi przeważali Białorusini, w miasteczkach Żydzi, mniejszość polska składała się z zamożniejszej i biedniejszej szlachty, urzędników i inteligencji. Nieśwież wszedł do historii Polski jako siedziba Radziwiłłów. W okresie między wojnami ordynacja nieświeska była ciągle jeszcze ogromna i książę-ordynat był naturalnym przywódcą ziemiaństwa północno-wschodnich kresów. Szymanowski pracując przez lata w administracji finansowej ordynacji miał doskonały punkt obserwacyjny na zarządzanie tą specyficzną instytucją. Albrecht ks. Radziwiłł, ówczesny ordynat, był człowiekiem inteligentnym i dobrej woli, świadom swoich zobowiązań społecznych i politycznych. Pragnął on, aby ogromna ordynacja nieświeska służyła jako przykład dobrej gospodarki, ale w praktyce w osiągnięciu tego ideału przeszkadzała niepisana zasada tolerancji w stosunku do nadużyć i niesprawności książęcych urzędników, zwłaszcza tych z dobrych rodzin. Opis Szymanowskiego jak książę-ordynat wypisywał czek aby pokryć malwersacje swojego urzędnika doskonale charakteryzuje panujące stosunki (inny urzędnik ordynacji został poproszony o podanie się do dymisji dopiero po przedstawieniu rachunku za kolację na 10.000 złotych, co było dobrą roczną pensją).

Smutniejsze, bo ważniejsze, były korupcja i malwersacje w sektorze finansowym, w bankach i spółdzielniach kredytowych, co odbijało się fatalnie na z trudem rozwijającym się rolnictwie w biednym województwie (województwo nowo-

grodzkie, do którego powiat nieświeski należał, było jednym z najbiedniejszych w Polsce).

Aczkolwiek administracja II-ej Rzeczpospolitej była zorganizowana centralistycznie i hierarchicznie, w praktyce funkcjonowała raczej bezładnie. Rozporządzenia wydawane w Warszawie przechodziły przez wiele instancji i urzędników, którzy interpretowali je na różne sposoby, wzajemnie przeciw sobie intrygując. Ponieważ większość ludności nieświeskiego powiatu i województwa nowogródzkiego stanowili prawosławni Białorusini, Szymanowski, jako poseł, uważał za swój obowiązek bronić ich interesów, słusznie uważając, że różne pomysły warszawskie szybkiego ich polonizowania mogą wywołać na dłuższą metę antypolską reakcję. Jego opis kariery poselskiej zaprzecza mniemaniu, że sejmy sanacyjne były całkowicie bierne. W rzeczywistości, aczkolwiek daleko im było do prawdziwego parlamentaryzmu i wśród posłów było wielu karierowiczów, ale wielu z nich starało się coś robić dla swoich wyborców i, wprawdzie w bardzo ograniczonym stopniu, o poprawę sytuacji politycznej. Aczkolwiek w okresie rządów sanacyjnych, wojewodowie i starostowie brali czynny udział w wyborach i byli odpowiedzialni za sukcesy kandydatów prorządowych, ich stosunki z administracją były raczej dziwne. Szymanowski opisuje jak dyrektor departamentu trzymał go godzinami w poczekalni a następnie podał mu dwa palce na przywitanie – czy było to podkreśleniem, że dyrektor jest ważniejszy od posła, czy daniem do zrozumienia, że Potocki jest ważniejszy od Szymanowskiego, pozostaje zagadką.

Kiedy w Warszawie powstał poroniony pomysł wprowadzenia języka polskiego do nabożeństw cerkiewnych, Szymanowski walcząc z tym bezsensem odkrył, że było prawie niemożliwym znalezienie autora tej idei, a jeszcze trudniej, mimo poparcia wielu wpływowych osobistości, odkryć kto może tę akcję zatrzymać. Jeszcze dziwniejsza była reakcja metropolity prawosławnego, Dionizego, do którego Szymanowski poszedł szukając sprzymierzeńca, aby z ogromnym zdziwieniem od niego usłyszeć, że on ten pomysł „pobłogosławił". Trudno zrozumieć, czy metropolita był ascetą „nie z tego świata", czy był całkowicie przesiąknięty tradycją cerkiewną zgadzania się z każdą władzą.

Pamiętnik Szymanowskiego nie jest wolny od potknięć; pisany był przez starszego już człowieka bez dostępu do archiwów i bibliotek. Wielu czytelników może być zrażonych bezkompromisową lojalnością autora do obozu sanacyjnego, którą zachował będąc świadomym jego błędów i nieprzyjemnych przejawów ówczesnych rządów, które obiektywnie opisuje i surowo osądza. Tym niemniej pamiętnik jest wartościowym wkładem do zrozumienia problemów i stosunków istniejących na kresach północno-wschodnich i do błędów pseudopolityki mniejszościowej II-ej Rzeczpospolitej. Opisy osobistości, osóbek i epizodów, przedstawione przez Szymanowskiego w sposób spokojny i obiektywny, bez idealizacji i bez potępień, mają poważną wartość historyczną jako uzupełnienie prac naukowych o Polsce między wojnami.

Konrad W. STUDNICKI-GIZBERT

KSIĄŻKI POLSKIE
ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE
DAWNE I NOWE
W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE
POLECA
ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI
7, rue de la Bûcherie 75005 Paris
Telefon 01 40 51 76 40
Fax 01 40 51 78 32
Metro: Maubert-Mutualité
Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87
od wtorku do soboty od godziny 10 do 19
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

POLSKA – WSCHODNI SĄSIEDZI

23.3.99
Nagrody *Przeglądu Wschodniego* za 1998 rok otrzymali: Barbara Stoczewska z Krakowa oraz Leon Popek z Lublina w kategorii autorów krajowych; Andrzej Grejewski z Bielska-Białej w kategorii publicystyki i badań współczesności; Jerzy Kłoczowski z Lublina „Nagrodę specjalną *Przeglądu Wschodniego*". W kategorii autorów zagranicznych nagrody nie przyznano.

27.3.99
W Muzeum Narodowym w Warszawie została otwarta wystawa poświęcona pamięci Jana Białostockiego pod hasłem „Sztuka cenniejsza niż złoto". Wystawa obejmuje obrazy, rysunki i ryciny dawnych mistrzów europejskich ze zbiorów polskich. Poprzednio, 19-go marca, w Muzeum Narodowym była otwarta wystawa „Spojrzenie na Wilno. Fotografia wileńska 1839-1939".

ZACHÓD

1.2.99
Zmarł w Brisbane (Australia), w wieku 91 lat, ppłk dypl. Stanisław Żochowski. Podczas wojny był szefem sztabu Narodowych Sił Zbrojnych. Był później wysłany z meldunkiem do Naczelnego Wodza w Londynie w sprawie scalenia Podziemia. Ta misja nie dała żadnych rezultatów. Płk Żochowski został na Zachodzie. Był autorem szeregu bardzo kontrowersyjnych prac dotyczących historii ostatniej wojny.

2.2.99
Zmarł w Sydney (Australia) w wieku 92 lat Edward Bończa-Tomaszewski, wieloletni prezes Związku Polaków i Macierzy Szkolnej w stanie Nowa Południowa Walia.

24.2.99
Zmarł w Tours (Francja) Stanisław Maria Rey. Po wojnie dotarł do Francji do Montrésor, majątku matki Jadwigi z Branickich. W ciągu tych lat przekształcił Zamek w Montrésor w muzeum polskie, które zawiera wiele polskich pamiątek.

1.3.99
Nagroda Polskiej Fundacji Kulturalnej im. prezydenta Edwarda Raczyńskiego za najlepszą książkę historyczną lub polityczną w języku polskim za rok 1997 została przyznana równocześnie dwóm autorom: Januszowi Zuziakowi za „Generał Marian Kukiel – żołnierz, historyk, polityk" (Wyd. Ajaks, 1997) oraz Albinowi Głowackiemu za „Sowieci wobec Polaków na ziemiach wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej 1939-1941" (Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, 1997).

10.3.99
W Bibliotece Polskiej w Paryżu miało miejsce spotkanie z członkami Sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą. Byli to: Andrzej Zakrzewski (przewodniczący), Juliusz Braun, Aleksander Hall i Wit Majewski.

11.3.99
W Stacji Naukowej PAN w Paryżu p. Krystyna Pawlak z Uniwersytetu Warszawskiego wygłosiła odczyt *La situation actuelle de la langue française en Pologne.* ■ W Bibliotece Polskiej w Paryżu miał miejsce odczyt z cyklu „Spojrzenie na świat" p. Heleny Kolanowskiej na temat „Wietnam – Hongkong – Singapur".

14.3.99
Zmarł w Palo Alto (Kalifornia) wieloletni przedstawiciel *Kultury* Jerzy Szwede. Wspomnienie o nim zamieścimy w następnym numerze.

25.3.99
W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego i Oddziału Żołnierzy AK we Francji Tadeusz Wyrwa wygłosił odczyt pt. „Bezdroża dziejów Polski".

26.3.99
W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór dla upamiętnienia przyjaciela Centrum, Jerzego Turowicza, pt. „Polsko-francuskie świadectwo przyjaźni" z udziałem Adama Bonieckiego, Jeana Offredo i Alaina de Penanster. Poprzednio, 19-go marca, miało miejsce spotkanie z Adrzejem Wajdą „Wokół 'Pana Tadeusza' na ekranie", zaś 5-go marca prof. Wojciech Kurpik, rektor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, wygłosił odczyt na temat „Wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej w sztuce cerkiewnej".

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziesięciolecie obalenia „żelaznej kurtyny", które obchodzić będziemy w tym roku, wymaga dorzucenia łyżki dziegciu do beczki miodu, którą ta rocznica na pewno otworzy.

Po 16 latach pracy w Radiu Wolna Europa i jej likwidacji, wróciłem jedną nogą do Kraju, aby tam wykorzystać swoje emigracyjne doświadczenia. O codziennych kłopotach nie będę pisał, demokracja w Polsce jest daleka od demokracji zachodnich, chcę zatrzymać się na jednym jej ważnym aspekcie: kulturze współżycia.

Moja praca w Kraju zmusza mnie do prowadzenia szerokiej korespondencji i tu zaczynają się problemy. Nie wiem skąd to przyszło, gdyż za „komuny" tego nie było, chodzi tu o odpisywanie na listy. Okazuje się, że nie ma teraz takiego obowiązku ani obyczaju.

Moje doświadczenia: listy do posła Krzaklewskiego, senatora Piesiewicza, ministra Taylora – pozostały bez odpowiedzi przez ponad pół roku, dopiero interwencja u marszałków Sejmu i Senatu, i Biura Premiera przyniosła połowiczne rezultaty – bez słowa przepraszam.

Dalej adresaci: Polska Akademia Nauk, Uniwersytety Warszawski i Wrocławski, nie wspomnę o kilkunastu pomniejszych instytucjach państwowych i samorządowych, nie znaleźli chęci i czasu na odpowiedź na konkretne zapytania skierowane do nich.

Widocznie Kodeks Postępowania Administracyjnego został w nowym porządku politycznym odłożony na półkę. A może kasa państwowa nie ma pieniędzy na znaczki pocztowe, należy wtedy przez ustawę zobligować obywateli do dołączania do korespondencji znaczków na odpowiedź.

Inne poletko z Kraju: Biblioteka Narodowa: po kilku latach od wydania wielu pozycji książkowych nie uświadczysz ich w BN. Wydawcy nie dosyłają, chociaż obowiązek ten reguluje ustawa z wszystkimi jej konsekwencjami. Niektóre wydawnictwa są finansowane z kasy państwowej i te też nie poczuwają się do ustawowego obowiązku. Naukowiec, badacz, czy zwykły czytelnik dowiaduje się o wydawnictwach z bibliografii, do źródłowych materiałów nie może dotrzeć nawet w BN.

I dalej z tej samej łączki, już za „komuny" istniała instytucja

Ośrodek Rozpowszechniania Wydawnictw Naukowych Polskiej Akademii Nauk (ORPAN), która rejestrowała i sprzedawała wszystkie wydawnictwa uniwersytetów, wyższych szkół i instytutów naukowych Polskiej Akademii Nauk, mieściła się i mieści w Pałacu Kultury w Warszawie.

Dzisiaj placówka ta dogorywa, nie wie w większości kto i co wydaje (chodzi tu głównie o pozycje naukowe), wydawnictwa wyższych uczelni sprywatyzowano i ich kierownictwo nie poczuwa się do obowiązku zawiadamiać o tym co wydają ORPAN-u.

Należy współczuć tylko naukowcom, którzy w dżungli kilku tysięcy wydawnictw, będą poszukiwać pozycji, o której dowiedzieli się ze wspomnianej wyżej bibliografii dołączonej do pracy naukowej.

Na rynku książki panuje chaos, pozycja wydana np. w Lublinie, jest nie do dostania w Szczecinie, hurtownie obsługują bliskie sobie rejony kraju, najlepiej działają jeszcze hurtownie warszawskie, rozprowadzające wydawnictwa warszawskie po całym kraju. Bogaci wydawcy, albo mają księgarnie firmowe, albo dobrych komiwojażerów.

Ciekawe, dlaczego w erze coraz nowocześniejszych komputerów, nie próbuje się stworzyć centralnej bazy danych, która byłaby pomocą dla wydawców, a przede wszystkim dla księgarzy. System taki działa już od kilkudziesięciu lat na Zachodzie i powstał jeszcze przed erą komputerów. Sukces książki to jej sprzedaż i do tego dopłaca tutaj i wydawca, i księgarz.

Obserwując przepychanki „na górze", odnosi się wrażenie, że gdzieś na marginesie pozostaje kultura, pomimo, że stale rządzącym przypominają o tym media, tylko nie te, którym daje się posłuch, są to media nie z właściwej strony politycznej.

Z poważaniem

Adam ROSENBUSCH

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Waldemar A.L., Polska: **– Wiersze Pana, bez wątpienia czerpiące z doświadczeń Białoszewskiego, nie wnoszą jednak nic nowego – przeciwnie: są przegadane i momentami, jak choćby w grze „folia-foliał-in folio", naiwne.**

Andrzej Z., Francja: **– Cykl Pana utworów, skądinąd świadczący o wrażliwości emocjonalnej, jest poetycko mało przekonujący: metafory „krew nadziei", „ptak miłości" czy „ptak przebudzenia" raczej nie zaskakują odkrywczością.**

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

– Literatura piękna i fachowa,

– Albumy, plakaty, pamiątki,

– Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2ème trimestre 1999.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obł., 164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1999		
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: **Barbara Malak-Minkiewicz**, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260,fax: (613) 789-1051; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	$ can.13,00	$ can.75,00	$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; **POLONIA Bookstore,** 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books**, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»**, 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	$ US 11,00	$ US 60,00	$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.

***Przesyłka* pojedynczego numeru – F 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (*z Francji*) lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA" (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE" (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464 Cena F. 200,00

●

Tom 506 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO DWUDZIESTY SIÓDMY

zawiera opracowania: K. Jonca: *Postawa Niemiec w czasie wojny polsko-sowieckiej 1920 r.;* G. Mazur: *Między Stambułem a Lwowem. Z dziejów Bazy Łączności „Bey" w Stambule 1940-1941;* M. Christian: *Urząd Bezpieczeństwa w Nowej Hucie w latach 1951-52;* A. Grzywacz, M. Kwiecień: *Sikorszczycy kontra Sanatorzy 1939-1940. (Z dziejów konfliktów politycznych uchodźstwa polskiego);* M. Jastrun: *Pamiętnik. Lwów (grudzień 1939 – grudzień 1941);* M. Stępień: *Z notatnika;* I. Modelski: *List do gen. Sikorskiego;* A. Bocheński, A. Werner: *Jan Bloch (1836-1902);* T. Wyrwa: *Wspólna droga Kajetana Morawskiego z Rogerem Raczyńskim. Wspomnienia*; P. Waingertner: *Zaolzie i Ruś Zakarpacka;* P. Daszkiewicz: *Francuska książka o Białowieży;* E. Kupper: *Wspomnienia gdańskiego Bówki;* Nadesłane nowości wydawnicze i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240 Cena F. 90,00

Cena 55 F

I.N., 93400 St-Ouen – 3888 -1999